



<http://rain.or.jp/>

PRZEZ BARWNE SZKIELKA.

Szkice i obrazki.

Romuald Theodorowicz.

PRZEZ BARWNE SZKIEŁKA

Szkice i obrazki.



INSTYTUT
BADAŃ LITERATYKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Piłsudskiego 72
Tel. 26-68-63

LWÓW.
JAKUBOWSKI i ZADUROWICZ.
Z Drukarni Pillera i Spółki.
1894.

<http://rcin.org.pl>



TYPY KARNAWAŁOWE.

Królowa balu.

— Kto to?

— Królowa balu!

Hiszpan nazywa ją „bellera,“ Anglik „finess,“ Włoch „bellissima sopra modo,“ Lwówianin zaś określa dosadniej jeszcze swój zachwyt mówiąc: ależ ładna niech ją dunder Pani Desborde-Valmore napisałaby na jej cześć elegję, Pindar Lebrun opiałby jej wdzięki odą, autor zaś niniejszego szkicu twierdzi, że bellera jest sama przez się nicością i co ma, to ma wszystko wypożyczone (excusez!)

Niewierzycie? Oto wierzyciele się schodzą. Róża polna mówi: oddaj mi moje rumieńce, perły na dnie morskiem szemrzą: zwróć nam nasz blask i naszą białość, które masz na ząbkach, lilja wodna płacze za swoją postacią smukłą i wiotką, podczas gdy słońce natarczywie dopomina się swych promieni, które spływają z pod djademem królowej.

Każdy chce odebrać swoje; cóż pozostanie? Chyba jedno serce. Ba! kiedy mitologia uczy, że rusałki czarodziejki nie mają serca, więc analogicznie biorąc, ich siostry królowe balu cierpią na ten sam błąd familjny. Tyle z poezji i mitologii. W ekonomii politycznej robi królowa balu ogromny przewrót i zadaje stanowczy cios teoryom Malthusa. Najzagozalszy zwolennik celibatu, najbardziej rozgoryczony, uciekający od kobiet hipochondryk, stary czy młody kawaler, jednym słowem nikt nie może się oprzeć urokowi królowej balu.

Poprawia krawatę, pociera łysinę, krzaka, wreszcie zaczyna: Znałem dawniej jej matkę, bądź tak dobry przedstaw mnie jej.

Przedstaw. Nie tak to łatwo. Dokoła tłum wazali suwerena w pośrodku, obok sekretarz z karnecikiem i porządkiem tańców, dalej kuzynek Syndulcio o zadartym nosku, trzyma biała puchową zarzutkę, dalej dwóch młodych hrabiów słabowymawiających niektóre litery alfabetu, jak „ł“ i „r,“ trzech epuzerów pierwszej klasy, dwóch epuzerów drugiej klasy, w końcu cały sztab fikalskich, froterów i scyzoryków. Od czasu do czasu sekretarz przerywa cercle słowy: pan masz dopiero numer 31, teraz tańczy numer 15.

Numer 31 spuszcza nos na kwintę, szczęśliwa pietnastka kłania się, obejmuje wiotką kibię

królowej i oboje wśród tonów walca znikają w wirze tańczących.

Na placu zostaje mama, po prawej siedzi epuzer o jakich takich szansach, po lewej słoń (słoń rodzaj przyjaciela-protektora bawiącego mamy). Epuzer stara się być przyjemnym, co mu się w części udaje.

— Świetny bal — powiada — masa pięknych twarzy.

Mama: Rzeczywiście ale pan dziś nie nie tańczysz.

Słoń: A szkoda, bo danser z niego doskonały,

Epuzer: Wychodzę już z użycia, zresztą przenoszę miłe towarzystwo...

Mama (z wdziękiem:) Pan mieszka we Lwowie?

Epuzer: Chwilowo podczas karnawału, stale na wsi „u siebie“ na Podolu.

Słoń: No teraz odziedziczasz majątek po wuju pod Lwowem, będziemy cię tutaj częściej widywać.

Epuzer (od niechcenia:) Sam go nie będę administrować, puszczam w dzierżawę.

Mama (coraz milej:) Spodziewam się, że będziemy miały przyjemność.

W tej chwili numer piętnasty z królową kończą turę, z kolei jako szesnastka staje wysmukły jednorocznik od ułanów, jednocześnie

zaś z bufetu wysuwa się kuzynek Syndulcio. Syn jest słuchaczem pierwszego roku prawa, kocha się od miesiąca szalenie w pięknej kuzynce i jest zazdrośny jak Otello. Przed chwilą pił „bruderszaft“ z „jednym“ od adwokata, kilka kieliszków moëta, pasztet z trutli perigordzkich, wonie chypru i essbouquetu, a w dodatku widok falujących białych łon pięknych kobiet oszołomiły i rozmarzyły chłopięcą głowę. Syndalcio zdolny jest teraz do poświęceń, walki i wielkich czynów. Niepodoba mu się ten ułan nachylony i szepeący coś do ucha królowej. Zbliża się niepewnym krokiem i objawia powzięte postanowienie:

— Kuzynka zmęczona, nie będzie tańczyć, rozumiesz pan!

Syn Marsa mierzy go pogardliwym wzrokiem.

— Cóż pana to obchodzi?

Syndulcio zbliża się doń bardziej i z naciśkiem wymawia trzy słowa: Pan jesteś impertynentem.

Mars odpowiada: Cymbał, — do jutra i podaje ramię królowej, w tej chwili muzyka grać przestaje.

Ciocia przywołuje Syndulcia, Syndulcio dostaje burę, wreszcie znika w bufecie. Koło królowej cerele da capo. Mirliflory dyndają z nogi na nogę, półmiesiące się uśmiechają, miesiące patrzą lubieżnie, epuzery opowiadają cuda o swoich dobrach,

seyczoryki o miłości fikalscy o nowej figurze w kotylionie. Królowa potrzebuje powiedziec tak lub nie, z resztą nikt nie wymaga od niej patrząc w jej modre oczy ani rozumu pani George-Sande, ani dowcipu pani Muchanow, ani konwersacji à la księżna Metternich. Królowa balu może być na balu nawet pięknym manekinem z „Opowieści Hofmana“.

Następuje kadryl, który królowa tańczy zwykle z głównodowodzącym aranżerem. Po kadrylu przedstawia jej znajomy adwokat blagier, poetę. Genjalny człowiek jest blady, włosy żółte w tył rzucone niedbale, na jego twarzy maluje się boleść, której nikt nie ukoi, smutek, którego nie nie złagodzi. Poeta jest natchniony.

— Pani — mówi on — są nieraz w życiu sympaty niewyjaśnione, dwie dusze...

Przerywa mu adwokat-blagier; Masz go, już ideały, proza przede wszystkim, jestem dziś w złym humorze, zrobiłem interes na trzy kroć sto tysięcy.

Mama do adwokata (z wdziękiem): A powinszować, powinszować.

Poeta (niezważając): Dusze, te cząstki bóstwa, cząstki nieśmiertelności, każdy z nas nosi...

Muzyka zaczyna grać galopa, adwokat blagier: Noś sobie co chcesz, ja idę tańczyć — podaje ramię królowej, znikają.

Syndulcio, który się na chwilę pokazał z bufetu, chce odejść znowu.

Mama do Syndulcia: Kostuś, gdzie idziesz, poczekaj.

Syndulcio: Proszę cioci, kiedy muszę iść.

Mama: Zostań z nami trochę.

Syndulcio: Sprawa nie cierpiąca zwłoki (odchodzi).

Dla objaśnienia czytelnika dodajemy, że Syndulcio ma jutro pojedynek, więc idzie szukać sekundantów.

Dotychczas idzie wszystko dobrze, muzyka gra galopa z „Barona cygańskiego“ a znakomity poeta który nie dokończył traktatu o duszach, postanawia wyjaśnić go królowej podczas tańcu. Widocznie jednak nie jest to dzień poety, ledwo wyjechał z przystani, z lekka przymknąwszy oczy, lecąc z królową na skrzydłach poezji w nieskończoność, z drugiej strony jednocześnie nadlatuje huragan: wściekły danser z mężatką w pewnych latach — następuje karambol straszniejszy może jak pod Monte-Carlo. Pary zaczynają się walić jedna na drugą, koniec końców rezultat jest taki; że dwie damy mdleją, jedna dostaje paroksyzmu, a zaciekły danser wywichnął nogę. Królowa wychodzi bez szwanku z katastrofy, poetę więc nie wyrzucają tym razem za drzwi, lecz mu przyobiecują to uczynić przy najbliższej sposobności.

Po burzy zwykle pogoda, ponieważ zaś wkrótce ma nastąpić kotylicjon, zarzucają królowę buketami tak obficie, że mama dobrodziejka nie mogąc wszystkich utrzymać, siada na trzech kameiliowych jakby na poduszce.

* * *

Godzina 4-ta z rana. Kotylicjon w całej pełni. Genialny aranżer z dwoma attaché urządza figurę, jakiej jeszcze nie było i kto wie, czy jeszcze kiedy będzie. Zaczarowany ogród w świetle księżycowem! Białe suknie, polne róże, błękitne niezapominajki, różowe gwoździki, żółte tulipany, białe kamelje, a wśród tych oblana całym snopem światła elektrycznego... królowa.

O piękna kameljo, królowo balu, gdyby można wstrzymać bieg czasu i na wieki zaczarować ten piękny obraz!... Lecz niestety, lata pomkną, listki kamelii oblecą, jesień zmrozi ci bellero uśmiech na twarzyczce, wiatr jesienny zetrze puch jagód z twych lic i będziesz kiedyś siedzieć w kącie sali jak teraz biedna mama, drzemiąca, półsenna, kiwająca głową, patrząc na córą hasającą i wspomniesz, jak przez sen... o pięknej młodości i zaczarowanym ogrodzie wśród światła księżycowego.

Mama i papa.

O ile papa jest cierpliwym przez rok cały, siedząc pod pantoflem mamy, o tyle w dobie karnawałowej, chcąc okazać się głową domu, bierze na kiel.

— Nie rozumiesz wyższej taktyki — mówi mama, dziewczęta muszą się trochę „ruszać w świecie,“ muszą się czasem zabawić, — tyle ich, — biedactwo i tak dosyć nasiedzi się w domu.

— Cóż znowu -- odzywa się papa — bawią się ciągle, były na muzycznym niedawno, onegdaj na technicznym, w sobotę u nas bal i tak ciągle, myślisz że ja pieniądze rodzę.

— Ot bredzisz, do soboty daleko, a na wieczorku Koła literackiego być muszą, zwłaszcza, że był u nas z zaproszeniem jeden z komitetu i ani o tem słyszeć nie chce, byśmy nie poszły, a zresztą to się robi dla ich losu i szczęścia.

W obec tego więc, że „był z komitetu i ani słysześ o tem nie chce“ i że się „to robi dla ich losu i szczęścia“ cała familja idzie na piknik.

Mama w sukni „terracotta“ z koronkami, Tynia w gazowej „rosa“, Luncia w niebieskiej „surah“, papie zawiązano biały krawat, sterczący jak drogowskazy w prawo i lewo i ubrano w białe rękawice, w których mu jest okrutnie nieswojsko i „zweiszpenerem“ — jazda!

Pominąwszy tę przykrą okoliczność, że papa mamie przy wysiadaniu oberwał kawał ogona u sukni a Tynia zapomniała wachlarza w domu, — wszystko idzie doskonale. Panny wyglądają świetnie, są angażowane z miejsca do wszystkich tańców, wyjąwszy kotyliona, a nawet mamę zaproszono do pierwszego kadryla.

Papa prezentuje się na sali wszystkim, nawet bileterowi z ogromną kokardą, którego bierze za jednego z komitetowych, a — pokręciwszy się trochę tędy i owędy, wysuwa się do bocznych pokoi na trzy robry „licytowanego“.

Ledwo miał czas przepłukać gardło Grien- zingerem i przerznąć kontrę na jedenaście kierów, staje przed nim Fonsio, ten z rudemi „baczkami“ od adwokata.

— Panie ...brodzieju — mówi Fonsio — pani ...brodzika prosi na minutkę.

Pan ...brodziej więc, chcąc niechcąc, przeprasza partnerów i za Fonsiem rusza do pani ...brodziki.

— Wstydź się, — odzywa się mama, — dałbyś choć dziś pokój tej szulerce, bądź raz przynajmniej ojcem, rusz się po sali, zaprosz na sobotę tego, owego, ot tak z kilku porządnych chłopców a oprócz tego Fonsio zaprosi jeszcze kilku „swoich“.

Papa rusza się więc, pije wino jak wodę, a że jest trochę w „sztosie“ prosi na wszystkie strony kogo trzeba i kogo nie trzeba.

Fonsio tymczasem, który „się ma“ do młodszej Lunci, asystuje jej zapamiętałe, przynosi naprzemian limoniadę i orszadę, a mama z nudów z sąsiadkami krytykują bez litości. Mecenasowa, według ich zdania, wygląda jak papuga — dyrektorowa nie ma gustu za centa, a konsyljarszowa znów ma koronki chyba psu z gardła wyjęte. Ponieważ do drugiej godziny, co się dało w tym kierunku powiedzieć, już się powiedziało, a Tyncia nie ma kotyljona, więc Fonsio dawszy bukiet kotyljonowy Lunci musi wybaczyć i familja jedzie do domu.

Na drugi dzień po wyweczasowaniu i odpoczynku ogromna narada — pełne posiedzenie, rozchodzi się bowiem o rzecz ważną o „menu“ na sobotę. Mama, prowadząca prym — jako pra-

wica chce na pierwsze danie majonezu z ryb, panny reprezentujące centrum, głosują za auszpi-kiem z drobiu, a papa jako lewica domaga się gwałtem marynaty. Sarnina, indyki i kuropatwy z kompotem pomarańczowym na madeirowym sosie, przechodzą jednogłośnie. Debaty zaczynają się dopiero ożywiać przy torcie hiszpańskim i blamanzach. Lewica musi z kretesem kapitulować, gdyż prawica połączywszy się z centrum, większością głosów święcą zwycięstwo blamanza. Dla starszych panów tokajskie od Ludwika po trzy guldeny, dla pań ruster i Liebfrauenmilch, dla młodzieży i do tańca przez protekcyę lekki austryak po pięćdziesiąt centów butelka.

— Po królewsku będzie — mówi papa na godzinę przed balem, zacierając ręce i szastając nogami po posadzce, jak szkło woskowanej — po królewsku powiadam wam!

— A czyja zasługa, jak nie moja — repostuje mama, — nie szafuj ty tylko po swojemu winem, bo będziesz widział, że zabraknie i uważaj, by Wojtek nie ściągnął do kuchni.

Uwaga ta ostatnia jest o tyle na miejscu, że Wojtek *anticipando*, zwędziwszy dwie butelki, tak sobie podciągnął z dodanym mu do posługi lokajem z sąsiedztwa i Rózią pokojówką, że z miejsca stłukł siedm kieliszków i dwa półmiski.

Wreszcie goście zaczynają się już zjeżdżać, dzwonek sygnalizuje co chwila nowego przybysza, a młodzieży nabierało się tyle, jak gdyby worek z fikalskimi się rozsypał.

Salon jest tak napchany danserami, że o tańcu nie ma ani mowy, a co minuty jeszcze przybywają rozmaite nieznanne figury, czarne, białe, łyse, grube, małe i wielkie.

Papa jest zachwycony. Po królewsku — powiada — a że jest z natury nadzwyczaj gościnnie, każe więc odkorkowywać butelki i gdy ma szczerą i nieprzymuszoną chęć przepić na zachętę i wypić zdrowie gości, nieszczęsny Fonsio chwyta go za połę.

— Panie ...brodzieju, pani ...brodzijka prosi na minutkę.

Mama jest w rozpacz.

— Cóżes ty niedołego — mówi cała czerwona — zrobił! Naspraszales hołodrygów pół Lwowa, nietylko, że niema się gdzie obrócić, ale ja na tyle „czerecy“ nie mam nawet jedzenia. Co ja im dam!

Na dobitek w tej chwili przychodzą z kuchni to przez Rózię, to przez Wojtka groźne i niepokojące wieści, że sarnina się przypiekła, to że Azor ściągnął pół indyka, to znów że blamanże zrobiły blamaż i rozlały ąę kompletnie. Mama

odchodzi od zmysłów, skandal będzie — szepcze do ucha papie — skandal!

Papa pociesza jak może, przyznaje wprawdzie, że może być skandal, nie przeczy, że może trochę za wiele danserów na pikniku zaprosił, ale jednocześnie robi uwagę, że danserów nigdy za wielu i że można uratować sytuację posłaniem, dopóki Underka nie zamknięty, po poważną ilość mięszaniny.

Mama na tę propozycję wypowiada słowo bardzo ciężkie i bardzo przykre, a że Fonsio opodał stoi w pozycji wyczekującej, zwraca się do niego po poradę.

Idea zbawcza, która w chwilach krytycznych wciska się w mózgownice geniuszów, błyska Fonsiowi w okamgnieniu i na poczekaniu.

— Mam myśl pani ...brodziko. Opodał tylko, przez ulicę, u mego mecenasa także dzisiaj bal — biore z sobą dwadzieścia „sztuk“, odstawię ich tam i za minutkę jestem z powrotem.

A gdy zbita czarna masa fraków z pod pieca i fortepianu zaczyna się przeredzać i ochocze pary ruszają w tremblankę, papa wonezas wiawszy się pod boki, mówi na cały głos do sąsiada.

— A co? Niech każdy się napatrzy, taże to królewski bal!

Pączek.

Nie wspominam tu o pączkach na maśle, *hony soit qui mal y pense*, tem mniej na smalcu, nawet nie mówię o pączkach róży, ale o pączkach z fiołkowemi ślepkami, karminowemi usty, perłowemi ząbkami, buzią okrągłą jak jabłko i z nieodzownym dołeczkiem koło ust.

Ten dołeczek dodaje jej uroku, rozlewa na twarzyckę wdzięk niewinności, graniczącej z naiwnością i te razem dla złośliwych składają się w jedno na epitet „gąski“.

Cała postać przypomina powiewy wiosny i zanosi wonią róż, na ustach igra wieczny uśmiech pół anielski, pół demoniczny, a w całej postaci maluje się zadowolenie, będące odgłosem stroju duszy i serduszka.

Cóż bo w takim serduszku dziać się może? Przeczucia jego są wyrocznią, słowa mamy pi-

smem świętem, cały świat salą balową, a wszyscy mężczyźni... danserami.

Za tańcem ginie i nie wie, czy kiedy w życiu wytańczy się do syta — pasjami lubi karmelki i jadłaby je funtami.

Robi jej wielką przyjemność, gdy ją uważają za dorosłą pannę, choć są chwile, w których chciałyby być dzieckiem. Pierwsza długa sukienka jest dla niej — erą rachuby czasu, pierwszy wieczorek z tańcami — baśnią z tysiąca nocy, pierwszy bal ziszczeniem snu czarodziejskiego.

Ach, bo to życie twarde i ciężkie! Skończyła pensję, a jednak każą się jej uczyć jeszcze muzyki i angielskiego, to barbarzyństwo! Czytać, to co innego; czytać lubi, ale tylko powieści i romanse autorów zagranicznych. Cieszy się ogromnie, bo obiecano jej dać Zoli „Marzenie“, ale mama wprzód musi przeczytać, bo „ten Zola pisze czasem nieprzyzwoite rzeczy.“ Więcej jednakże cieszy się obiecany pierwszym wieczorkiem z tańcami. Nie ma się czemu dziwić, pierwszy w życiu — jest już nawet zaangażowaną do kontredansa i drugiego mazura, pietruszki boi się jak ognia i hańby tej nie przeżyłaby nigdy.

Zna na pamięć datę wszystkich balów, wie którego dnia bal prawników, którego techników, a którego muzyczny, wie nawet kto będzie gospo-

dynią; niekłamana ma ochotę iść na wszystkie, żeby tylko mama zechciała.

W dniu pierwszego wieczorku z tańcami, ma ogromną tremę; chimery i fochy na porządku, dąsa się bez przyczyny, napłacze się to prawda, gdy ją czeszą i co chwila coś nowego przyczepiają i odczepiają, ale potem — co za przyjemność!

Bo cóż może być przyjemniejszego? Wielka sala, wielu panów w frakach i białych krawatach, kawalerów, prawdziwych kawalerów, nie gimnazjalistów, jak na „kinderbalach“ w konwikcie, muzyka tnie od ucha walca, a ona sama w białej długiej sukience, gotowa czeka zaproszenia do tańca.

Ciekawa, kto pierwszy się zbliży, ach... ten gołowąsy smarkacz! takim nie rada, choć lepszy taki jak żaden, wolałaby tego bruneta z czarnym wąsikiem, taki — to co innego, choć najlepiej lubiłaby tańczyć z ułanami — bo jak oni tańczą — świat się kończy!

Nieznośny grajek przestał grać i to właśnie, gdy zaczęła nową turę; znowu utrapienie, wypiłaby dwie szklanki wody od razu, ale cóż mama nie pozwala... „Mamusiu złota, jedyna, troszeczkę, kropelkę, pół?“ Nie i nie. Mniejsza o to, żeby choć dalej tańczyć, ale i tu los zawistny — podano do kolacyi.

Ponieważ tam najweselej, młodzież usadowiła się przy „katzentischu“ — „pączek“ siedzi z jednej strony między wojskowym a z drugiej cywilnym, bardzo przyjemni kawalerowie, naprzemian piją zdrowie sąsiadki, a choć skończyła pensję ze „znakomitym“ postępowaniem nawet z geografii, dają jej czasem takie pytania, iż nieraz sama nie wie, co odpowiedzieć i żałuje, że niema mamy „pod ręką“.

Lecz niepotrzebna obawa, mama z drugiego pokoju wszystko widzi i choć niby to z panem radcą rozmową żywo zajęta, oka z córki nie spuszcza, nie ma bo też i dziwu, takie bo „to“ jeszcze młode i niedoświadczone.

Po kolacyi kotyljon, śliczny to taniec, ach figury, jakie figury, można się na śmierć zatańczyć. Bardzo się jej tu wszystko podoba, ale cóż twarzyczka czegoś się nagle zasepia. Ma powód do tego, mój Boże, jacy to źli są ludzie na świecie, słyszała dobrze na własne uszy, jak przed chwilą, Icia, ta z czerwonym nosem, powiedziała do Fici, że „pączek“ ma zrobioną sukienkę „niżej wszelkiej krytyki.“ „Pączek“ nie daruje jej tego nigdy, zemści się — przybliży się więc do Ici i głośno, słowo za słowem, dobitnie mówi do Meci, swej przyjaciółki: że osoby z ogromnym czerwonym nosem powinny chodzić tylko na maskaradę.

Jednocześnie dostaje ogromny bukiet „za kotyljona;“ to poprawia jej humor, z góry więc patrzy na Icie, a że obecnie figura „panie wybierają“, więc czterema kokardkami chciałaby wynagrodzić wszystkich najlepszych danserów, obrywa więc listki z bukietu i dekoruje jednego po drugim.

Wreszcie wszystko ma swój koniec; mama wstaje z kanapy, trzeba jechać do domu, mocny Boże, tak prędko — nie ma jeszcze piątej, jedną tylko turę... nie i nie -- niedobra mama!

Po drodze do domu, w karecie dostaje jeszcze „burę“, za to, że zapomniała wachlarz i zamieniła narzutkę. Trudno — tyle było osób!

W domu czuje, że jest bardzo zmęczoną, lecz z wszystkiego spowiada się mamie: co mówił ten, co mówił tamten, co Icia powiedziała i jaką jej dała odprawę, wreszcie poczyną się plątać, nie wie o czem opowiada, mama całuje ją w czoło i „pączek“ usypia snem niewinnych szesnastoletnich pączków.

Ach, śnie ty piękny, śnie na złotych skrzydłach, wśród róż i walca, śnie o aniołkach w czarnych frakach, o czerwonym ogromnym nosie i olbrzymim bukiecie kotyljonowym — czemu trwasz tak krótko?...

Dobry numer.

Przyjechał na karnawał i chce się bawić...

Sąsiadom powiedział na wyjezdne, że sprawę z propinacją chciałby raz załatwić i wyrobić „drugi kontyngent,” a matce pod sekretem, że tego roku przywiezie jej już na pewniaka synowę.

W hotelu, do którego zajechał, rejwach okrutny, kelnery i komisyonery prześcigają się w usługach, bo takiego dobrego, pana, to rzadko.

Rzeczywiście, że dobry pan; trzy lata dopiero, jak po ojcu objął majątek, a połowy go już nie ma, ale za to i on żyje i ludzie żyją, lecz co to ma do rzeczy... Jak się ożeni, to się odmieni; weźmie w posagu huk monety, będzie cicho siedzieć i składać, a teraz jeszcze kawaler, to hula.

Jest bo też i komu! Twarz ogorzała, was sumiasty, bary jak u tura, postawa gdyby ciosana z młodego dęba, a humoru w pozeciwej twarzy

tyle, iż, jak się spojrzy na tę zawadyacką facyatę, mówi się mimowolnie: „Oho, dobry numer!”

Tego samego zdania jest i faktor Aron, który od samego rana biega z tuzinem żydków, kupców zbożowych, bo pan z Pustogłówek chce sprzedać „dwieszczę par“. Biegają i czekają cierpliwie, bo Aron powiedział, że to *gutes Haus* i choć *gutes Haus*, nie chce spuścić ani szeląga z pierwotnej ceny, mimo to stoją cierpliwie, bo wiedzą, że to *gutes Haus* i że karnawał kosztuje „ładny grejcar“. Ale *gutes Haus* z żydami dziś nie chce nawet „gadać;“ przyjechał do Lwowa, bo chce się żenić — „żeby nie wiedzieć co“. Pieniądzy bardzo wiele nie potrzebuje, ale zawsze panna musi mieć choć „coś,“ ot tak, jakie pięćdziesiąt sześćdziesiąt tysięcy na zaczepkę, lecz przedewszystkiem musi być ładna, bardzo dobra i co główna — z „porządnego“ domu.

Przecież to nie tak wielkie wymagania! Mama już w tym względzie porozumiała się z ciotką, mieszkającą we Lwowie, z łaski której właśnie ma na dziś zaproszenie na wieczór „tańczący“ do państwa Dreptalskich.

Oprócz tego na godzinę przed balem, ciocia wyraźnie na rozum mu mówi:

— Słuchaj, Olesiu, Dreptalscy mają córkę, nie ładna, ale za to dobra i majątna, bierz się więc

powoli, nie „po waryacku,“ a wszystko się zrobi; panna „w sam raz“ dla ciebie.

Dzięki ciotce więc, gdy wchodzi do salonu, wszyscy go znają i wszyscy wiedzą, że miał kilka romansików z sukcesem, że jedna mężatka, „bardzo nawet porządna,“ chciała z nim uciekać do Ameryki, że jedna się truła główkami z zapalek, że miał siedm pojedynków na pałasze a trzy na pistolety, że zabił dwa niedźwiedzie kordelasem na polowaniu, że mama z domu „hrabianka,“ że jest bardzo dobrym synem, że ma ładny majątek, a wreszcie i to, że co mama i ciocia mają, ze sobą do grobu nie zabiorą.

Oleś pływa więc jak pączek w maśle.

Wszystkie mamy wziął za serce za dobre synostwo, pannom podobał się z „wejrzenia“, a ojcowie dobrodzieje zgodzili się jednogłośnie, że to *extra numer*.

Nie ma w tem żadnej przesady; wytańcowuje wszystkie panny po kolei, jedną po drugiej w prawo i lewo, tnie hołupce aż piec się trzęsie, a na faceta, gdy potrąci jego danserkę, bundziuczając się, woła na cały głos: „*Place monsieur!*“

W entrakcie między galopem a mazurem siada do fortepianu i gra walca z „Nanon“ aż klawisze podlatują, a na prośbę panien śpiewa barytonem: „*O Mädchen!*“ i „Nad ruczajem“.

Na Tyńcię, panne domu, nie chce nawet spojrzeć, bo mówi, że wygląda na Katiszę z „Mikada,“ ale za to podoba mu się nad wyraz nadobna Yum-Yum, szatynka z czarnemi oczyma, miła jak przylepka, zdrowa jak orzech, a ciekawa jak wiewiórka.

Cioci się to nie podoba i daje mu poznać swoje nieukontentowanie, bo panna prócz wdzięków, więcej nie ma i dopóki ciocię „nogi noszą,“ z tej mąki chleba nie będzie.

Mimo to, Oleś się nie zraża, tańczy z Yum-Yum oberka na jednej nodze do upadłego i przytupując, wyśpiewuje: „Czarne oczy miała, czarnemi patrzyła, czarnemi patrzyła, bo innych nie miała“. I co mu kto zrobi, Yum-Yum mu się podobała i tę prowadzi do kolacyi.

Przy kolacyi je za trzech, pije za sześciu, sypie dowcipy jak z rękawa i wnosi toasty na cześć wszystkich panien w ogólności, a w szczególności nadobnej Yum-Yum.

I to wszystko wierszami *ex abrupto*, bez namysłu, lecz biada blademu facetowi, który zrobił w tym kierunku złośliwą uwagę.. Oleś czerwienieje i wtedy niebezpieczny nachyla się przez stół do krytyka i mówi „jutro panie o tem pogadamy“.

Przy deserze, pani Wściubskiej, damie „towarzystwa dobroczynności,“ daje bez wahania

pięćdziesiątkę dla wdowy po konduktorze kolejowym.

— Bo u mnie, mówi tak, mam serce nie złe, i jestem baranek, ale jak mi kto na nogę nastąpi — (tu patrzy w odnośną stronę niefortunnego krytyka) — to wtedy... to wtedy nie zazdrościć nikomu.

Po kolacyi naturalnie kotylion, ogrodnik przynosi zamówionych kilkadziesiąt bukietów, temi sieje na wszystkie strony, a Yum-Yum dostaje trzy najpiękniejsze i najwspanialsze...

Tyńcia dostaje migreny, ciocia żółta ze złości, jedzie do domu...

Oleś dekorowany orderami od stóp do głowy. Dla wypoczynku wychodzi do bocznego pokoju na papierosa, gdzie grają tymczasem, także dla odpoczynku, w „krótkiego“.

Nie dając się długo prosić, siada i w przeciągu kwadransa zabiera mieszczuchom wszystką gotówkę i „trochę lapy,“ grałby mimo to dalej, lecz licho nadnosi krytyka od kolacyi, wstaje więc zaraz, bo „fanfaronów, krytyków i cacanych lal nie lubi i nie znosi“.

Robi się poruszenie, jedni popychają krytyka, drudzy Olesia razem ku sobie... „Krytyk tak nie myślał, a Oleś źle zrozumiał, o co tu zresztą chodzi — o głupstwo, pocałujcie się!“ Nie! nie! nie!



i nie! lecz zresztą dobrze, ale on mię pierwszy...
zgoda!

No, jak tak, więc proszę panów jutro na
dwunastą wszystkich jak jesteście na śniadanie,
tylko bez wymówek i gdzie?

— Jak to gdzie, chyba nie znasz Lwowa, natu-
ralnie u Szkowrona!

— A więc do Szkowrona!

I gdy po różnych kolejach losu całe towa-
rzystwo jeszcze we frakach i białych krawatach
znachodzi się w handlu wyźwspomnianej firmy,
a po dwudziestej butelce szampana przychodzi do
rachunku... gospodarz handlu zaciera ręce, uśmie-
cha się, pokręca węża i mruczy pod nosem: Ta-
kich więcej, nie ma co mówić, dobry numer!

Z ERY POKARNAWAŁOWEJ.

Z pamiętników śledzia

Nikommu nie życzę podobnego losu jak mój.

Wylęgam się, zostałem schwytyany, nasolony, włożony do beczułki wraz z tysiącem innych towarzyszy i wysłany w daleką podróż.

W drodze dowiedziałem się, że jedziemy na Popielec do Lwowa, gdzie mamy spełnić szczytną misję gastronomii i pietyzmu.

Z początku gniewała mię ta myśl, że jestem śledziem marynowanym i że mam być zjedzonym przez jakiego pijaka lub starą dewotkę, marzyłem o wcale innej karierze, dowiedziawszy się jednak, że szczytem filozofii jest poddanie się konieczności, oswoiłem się z mojem obecnem położeniem.

Stanąwszy na miejscu przeznaczenia w handlu korzennym pod godłem „złotego raka,“ skoro tylko odbito beczułkę, usłyszałem jakiś barani głos: Antoś, dajno śledzia!

Doznałem niemilego wrażenia, niemiłosierny Antoś ulokowawszy mnie wraz z dwoma innymi

kolegami śledziami na talerzu, polał nas octem, posypał kaparkami i cebulą i położył na stole przed dwoma młodymi jegomościami, którzy wydzielali z siebie aromatyczną woń jodoforu i opoponaksu.

Będąc z natury nikłej postaci, jestem przytem jednak ogromnym weredykiem, w pierwszej chwili obaczywszy moich katów, chciałem zrobić awanturę, przekonawszy się jednak, że to do niczego nie prowadzi, rzuciłem im spojrzenie pełne wzgardy i oburzenia, co musieli zauważyć, gdy podzieliwszy się obaj moimi kolegami, mnie zostawili w spokoju na talerzu.

Z za szkańców kaparkowych począłem obserwację. Jeden z nich miał rude włosy, był hrabią (o czem dowiedziałem się od Antosia) i jadł zawsze na rachunek (wiadomość z tego samego źródła), drugi miał te same przymioty, z tym dodatkiem, że był tak mizerny, tak wymokły, jak gdyby przed chwilą wraz ze mną wylazł z beczułki.

Nieszczególny ten wygląd przypisywał karnawałowi i nadmiernemu szczęściu w miłości.

Ponieważ jednak temat ten wkrótce wyczerpał się, ożywiona porterem, kawiozem i śledziami ofiara karnawału i miłości, przeniosła swoje spostrzeżenia na pole więcej towarzyskie i z wdzięcznego sposobu wyrażania się i miłego określania

przymiotów rozmaitych osób, domyśliłem się, że jest tu mowa o najbliższych przyjaciółach.

Tymczasem zawartość butelek porteru zniknęła jak kamfora i w miarę jak czerwony facet zieleniał, mizerny czerwieniał jak piwonia, co w całości robiło nadzwyczaj zajmującą grę barw. Przytem los, któremu wiele zależało na tem, aby młodzi panowie się nie nudzili, zesłał im nowych towarzyszy w postaci dwóch osobników z których grubszy krzyczał ciągle: „Haringszmaus,“ kapitalnie i śmiał się do rozpuku, podczas gdy cienki uznał za stosowne nie wydawać żadnych okrzyków i miał minę skazańca, który za pół godziny ma być powieszonym, co w gruncie rzeczy było o tyle prawdziwem, że jak się z rozmowy przekonałem, był żonatym i żona czekała go z objadem. Powyższe skonstatowanie faktu było pobudką do trzechgodzinnego posiedzenia, podczas którego gruby sześciokrotnie tubalnym głosem wołał: Antos szampana, Antos tyleżkrotnie odpowiadał: zaraz — i całe towarzystwo z braku innego zajęcia zastanawiało się nad kwestyą radykałów, klerykałów, i federalistów, nad wyżynami i nizinami ducha, przyczem dla różnaitości mówiono wiele o metempsykozie, nieśmiertelności duszy i korniszonach, czego jednakże wszystkiego jako pospolicity śledź marynowany zrozumieć nie mogłem. Nadto, gdy gruby z mizernym, poczęli omawiać

kwestyę, które swoją treścią nadawały się do uzupełnienia trzeciego tomu utworów Bocaccia, żonaty uznał, że najwyższy czas do opuszczenia lokalu, a obawiając się niemiłego sam na sam z magnifiką, kazał Antosiowi zawinąć parę śledzi do papieru, do których sprytny Antoś nie omieszkał i mnie dołączyć.

Przykro mi było, że się tak mną porzucają, chwilowe to jednak poniżenie zostało wynagrodzone w chwili, gdy nieszczęsny małżonek przedstawił mnie swojej żonie, uroczej blondynce. Blondynka była tak piękną, tak ponętą, że pierwszy raz w życiu pożałowałem, że jestem tylko śledziem, co jednakże wcale nie przeszkadzało uroczej damie nazwać małżonka pijakiem i nicponiem. Tego samego zdania byłem i ja, a zapatrywania moje były o tyle usprawiedliwione, że podпиты jegomość swoją nieobecność tłumaczył w nędzny i kłamliwy sposób, który przeplatał całowaniem rączek i stokrotnem użyciem wyrazów „gołąbku i aniołku“.

Aniołek chcąc okazać namacalnie, że nie jest aniołkiem, całym pakietem z pod „Złotego raka“ cisnął tak skutecznie w fizyonomię małżonka, że rozlecieliśmy się na wszystkie strony, z tą tylko różnicą, że trzech z nas poleciało pod kanapę, ja zaś zostałem ulokowany pod łóżkiem.

Następstwem tego małego intermezzo był fakt niezbity, że mąż zaczął okropnie krzyczeć i trzymał się za prawą część policzka, piękna pani dostała spazmów, a przezorna pokojówka nie chcąc byśmy byli świadkami gorszącej sceny, pozbiierawszy nas z ziemi, wyniosła do kuchni.

W kuchni podzielono się nami po bratersku, jednego z nas dostała kucharka, drugiego pokojówka, trzeciego jej wielbiciel amant-führer, a najmniejszym i najbiedniejszym mizeractwem, to jest mną, obdarowano posługaczkę, której zadaniem życia było nosić wodę, palić w piecu i karmić czworo drobnych dzieci.

Uszczęśliwiona niezwykłym darem pocziwa kobiecina owinąwszy mię starannie w szmaty, zaniosła do brudnej izdebki w podziemi, gdzie kwartet wygłosił na jej przybycie kantatę streszczającą się w krótkich a dobitnych słowach: mammo jeśé!

Z pompą i namaszczeniem ustawiono mnie na honorowem miejscu na środku stoła, obok kawałka suchego chleba. Cztery wynędzniałe twarzyczki pochyliły się nademną, oczy migotały, zębki szczyrzyły się żarłocznością jak u młodych wilczków a wygłodniałe biedactwo szeptało już ciszej: mammo daj go nam, daj go nam!

Widziałem zbliżającą się ostatnią moją chwilę, a przecież byłem niewysłownie szczęśliwym, że

cieszę się mną, że pożądam mnie, że nie jestem wzgardzony. Czułem moją wyższość nad opasłym gurmandem, nad zblazowanym facetem, nad płochym małżonkiem i nad wymokłym Don-Juanem i byłem po raz pierwszy dumny z tego, że jestem marynowanym śledziem, który choć chwilowo zaspokoi głód małego biedactwa i nieraz jest więcej użytecznym w wszech społeczeństwie świata, aniżeli ci co piją szampana, okłamują żony, ogadują przyjaciół i wygłaszają czeze frazesy o polityce, filozofii, metempsykozie, filantropii i kwestyi socyalnej.

W marcu.

Szkic obyczajowo-historyczny z dziejów Lwowa.

Było to na wiosnę roku pańskiego 1890. Słońce przygrzewało rankami, po południu padały deszcze, a wieczory były naprzemian to ciepłe to chłodne. Współczesny kronikarz malując ówczesną fizjognomię miasta pisze: „Z dachów kapą, chodniki świeciły błotem, brudne dziewczęta i obdarte urwisy sprzedawały fiołki, handełesy obnosiły tandetną odzież wiosenną, filozofowie i literaci przechadzali się jeszcze w zimowych paletotach, podczas gdy inna część ludności chodziła jużto w strojach wykwintnych, jużto bez butów“.

Lwów posiadał wówczas wielką ilość cukierni, kilka banków zastawniczych, czarną giełdę, bazary zagraniczne i ku ucieście publiczności przeróżne krotochwilne widowiska. Ponieważ pomór influenzy i karnawału minął, o propinacyi nie

było już mowy, a post zbliżał się ku końcowi, więc czarne tablice „centralnego biura ogłoszeń“ zalapane były samemi ogłoszeniami koncertów i przedstawień amatorskich a afisz teatralny zapowiadał krotoczwilę p. t. „Książę pan“ napisaną przez jowialnego komedjopisa Adolfa Abrahamowicza.

Na miejskim ratuszu zegar właśnie bił dwunastą, żołnierz stojący na odwachu krzyknął *gwer- aus*, gdy z austeryi przy ulicy Karola Ludwika wyszedł młody człowiek ciemno ubrany, w kapeluszu mocno nasuniętym na czoło. Rysy twarzy jego wskazywały determinację, a w oczach malowała się jakaś ukryta tęsknota. Młody człowiek nie oglądając się po za siebie przeszedł szybko trotuar i pewnym krokiem wszedł do pobliskiego korzennego handlu.

— Koniaku i kawioru — rzekł krótko.

Przetrąciwszy tak, zażądał następnie od chłopca sklepowego numeru *Gazety Narodowej*. Chłopak popatrzał nań przez chwilę uważnie, poczem odrzekł głucho: „skonfiskowany“.

Opodał siedzący, jasno ubrany mężczyzna w sile wieku, machnął ręką i szepnął: Bismark — poczem wyciągnąwszy z kieszeni paczkę biletów, podał z niej parę młodemu człowiekowi, mówiąc: Czy mogę służyć?

Tak zagadniony, skrzywił się, a przeczytawszy na bilecie napis: „koncert na cele dobroczynne“ — wyjął z grubo nabitego pugilaresu dwa floreny, podał je tamtemu, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Na ulicy, uszedłszy parę kroków, napotkał blondyna z długą brodą, uścisnęli się w milczeniu.

— Masz bilet na dzisiejszy raut? — zapytał blondyn.

— Nie! — brzmiała odpowiedź.

— Oto jest, daj guldena.

Młody człowiek, z pewnem wahaniem podał żadaną kwotę, odwrócił się i wstąpił do słynnej w tych czasach cukierni Kosteckiego.

Była to pora objadowa. Cukiernia była próżna; młodzieniec odetchnął pełną piersią, a ująwszy pasztecik, zagłębił go w ustach do połowy.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszło towarzystwo, złożone z dwóch dam i dwóch mężczyzn; starsza z dam potrzasała torebką skórzaną, a młodszy z panów rzekł: kwesta wielkocna!

Ciemno ubrany młodzieniec kuczowo schwytał za pugilares, odłączył zeń pewną część

monety papierowej, wrzucił do torebki, połknął resztę pasztecika, a chwyciwszy w prawą rękę laskę a w lewą rękawiczki, wybiegł spiesznie z cukierni na objad do Europejskiej austerji.

Tu przy długim stole siedziało kilku młodych ludzi i piło *curacao*, napój sporządzony z pomarańczowych skórek.

Z uśmiechu, jaki rozlewał się na ich obliczach, poznać było, że trunek był wyborny, a sposób przywitania się z nowoprzybyłym nie pozostawiał żadnej wątpliwości, iż znali go nie od dzisiaj. Poczem, jakby na dany znak, wyjęli z kieszeni czerwone, żółte, niebieskie i różowe kartki i wręczyli je przybyłemu. Były to bilety na koncert dla wykupna Chińczyków, na odczyt dla moralnie zaniedbanych dzieci, na wykład towarzystwa wzajemnej adoracyi i na przedstawienie amatorskie dla szerzenia oświaty we wschodniej części Teneryffy.

Młody człowiek ledwo miał czas rozplącić swoich towarzyszy, wszedł mężczyzna szczupły, blady, na którego twarzy niezwykła dobroć i ujmująca słodycz łączyły się w przyjemną całość. Ten sięgnął za zegarek, a akcentując dobitnie każdy wyraz, rzekł:

— Ostatni czas, chodźmy...

Kompania solidarnie ruszyła się z miejsc i w milczeniu podążyła za bladym. Przeszedłszy kilka ulic, weszli do olbrzymiego domu, w którym, przy wejściu do sali, widniało olbrzymie inscriptum: „wenta!“

Miejsce to przedstawiało niezwykle ożywiony widok, muzyka załogi wojskowej grała marsza, na ścianach wisiały kołdry, kwiaty, wstążki i obrazy, małżonki rajców miejskich i grafinie dostojnie siedząc wieńcem do koła, sprzedawały losy, bukiety i smakowite placuszki. Środkiem płynęła fala publiki, a zastęp wykwintnych zalotników z udatnym uśmiechem płaśał około nadobnych białogłów.

Ciemno ubrany młodzieniec okazywał, iż praktyki te sprawiają mu wielką przyjemność, kupował losy, licytował kołdry i połykał smakołyki. Ponieważ wilkirz miejscowy brzmiał, że wszystko za gotówkę, spojrział do pugilaresu i zadrżał — świeciły tam przerażające pustki.

Z twarzą boleśnie zmienioną, podszedł do wykwintnego pana z czarną brodą, pokazał mu dziesięć palców i szepnął:

— Do jutra.

Zagadniony wyjął obie kieszenie, potrząśnięmi symbolicznie i westchnął.

Poczem obaj wziąwszy się pod ręce, nasunęli kapelusze na głowę i wyszli na ulicę w noc cichą i ciemną.

Na horyzoncie zbierały się czarne chmury — po bruku miejskim toczyły się głucho karetki, nad zamkową górą wschodził księżyc...

Tak było w tych czasach.

I n f l u e n z a.

Nie będę cię nudzić, piękna czytelniczko, nadającymi się do przedmowy filozoficznymi sentencjami i suchymi teoretycznymi dysertacjami, mimo, że mam na myśli jedną sążnistą maksymę Humboldta i kilkanaście fachowych uwag drów Zdekauera i Filatowa.

Sam nie znoszę wszelkich systemów, gardzę pedantyzmem i dla tego wpadam w sam środek.

...A więc — influenza jest najmodniejszą z modnych chorób, a w dziedzinie mody nabrała w krótkim przeciągu czasu takiego rozgłosu, jak kolor sukni Eiffel, parasolka Mikado, lub walec z nowej operetki.

Co więcej, leży nawet w dobrym tonie — tak samo bowiem dobrze brzmi powiedzieć w towarzystwie, że się było na raucie u hrabiny X., lub widziało się w Paryżu podczas wystawy ory-

ginalną pagodę chińską, jak przyznać się, że przez kilka dni cierpiało się na influencję.

Mogę dalej zapewnić, że kosmopolityczny jej zarodek ma w sobie oprócz cech demokratycznych i pospolitych, wiele porywów arystokratycznych. Najlepszym dowodem tego ta okoliczność, że uległo jej dotychczas wielu dostojnych dygnitarzy, znakomitych dam, walecznych rycerzy i arystokratycznych dziewic.

Ale wracam do djagnozy lekarskiej i teorii, podług której powstanie influenzy przypisują zmianom atmosferycznym i... Powiesz mi pani na to, że nic cię one nie obchodzą i że pomiędzy dyagnozą choroby a kataklizmem powietrznym zachodzi ten stosunek, co pomiędzy pięścią a nosem. Przyznaję ci całkowitą słuszność, dążę jednakże do całkiem czego innego — chciałem się przygotować tylko do pogodzenia się z losem... jesteśmy ludźmi, może uledez jej ktoś z najbliższego twego otoczenia, przypuszczam w pierwszym rzędzie, że twój własny mąż! W tej chwili słyszę donośne: ach! Nie przestraszaj się tem pani, poświęcam na pierwszy ogień twego męża, by ci dać poznać wyższość kobiet nawet w influenzy.

A zatem, szanowny małżonek dostaje na przód kataru i poczyna „sapać“ jak miech kowalski, dostaje lekkiej gorączki i ogromnego pragnienia (dzień przedtem był na dobrem śniada-

niu), — jesteś tem zaniepokojoną, kładziesz go do ciepłego łóżka i przyrządzasz mu napój, złożony z gorącej wody, dobrego cognacu i czerwonego wina. Następnie przykładasz mu chłodną rączkę do skroni i pytasz, czy mu lepiej? Naturalnie, mówi: tak. Tem pocieszona, poczynasz mu opowiadać rozmaite zabawne historye o rautach, wieczorach i balach nadchodzącego karnawału... poczem go całujesz. Mężowi poczyną być coraz lepiej... Przechodzisz więc z kolei na magazyny mód i na przepyszną suknię, widzianą na wystawie u Szajera i zdradzasz niezwykłą chęć nabycia jej na własność. Mężowi pogarsza się nagle, mówi ci, że nie pojmuje cię, jak możesz myśleć o nowej sukni, gdy on ma influencę, zniecierpliwiony zacha się, „macha“ ręką i usypia. Zamykasz mu usta pocałunkiem i z powodu właśnie tej oznaki życzliwości, dekoracya się zmienia, influenza jest epidemią i niestety z kolei ty pani jej ulegasz.

Gdybym był poetą, na uczczenie tej niemiłej okoliczności, powodowany współczuciem, napisałbym ode, sonet lub epopeję w rodzaju Anakreonta, Petrarki lub Dantego; gdybym był magnetyzerem, uspiłbym cię na całe długie trzy dni. Ponieważ nie jestem ani jednym ani drugim, potrzebuję przedewszystkiem w tej chwili kropli laurowych, rozpryskiwacza z wodą kolońską i jakiego takiego francuskiego autora.

Puls 130 na minutę, termometr wskazuje 39·5° C. pod ramieniem.

...Lekka gorączka wypiekła ci rumieniec na twarzy (jest ci z nim bardzo dobrze), układasz się malowniczo w koronkowym negliżu na szezlongu, jedną rączką przyciskasz czoło, a drugą opuszczasz bezwładnie. Przestraszony mąż traci głowę, wylewa całą flaszkę wody kolońskiej, tłucze karafkę z wodą, woła po kolei wszystkich domowników i od czasu do czasu zapytuje cię, jak się czujesz? Odpowiadasz mu, że źle, bardzo źle! Małżonek całuje cię w jedną rączkę, potem w drugą (zazdroszczę mu tego) wzdycha i pyta o dalsze objawy? Odpowiadasz, że cię... nudzi... Symptom ten przestrasza go jeszcze bardziej, aniżeli wszystkie inne, ty jednak na to nie zważasz, przymykasz oczy i wpadasz w sen goczączkowy, pełen zachwytów, czarów, róż, brylantów, sukien balowych, gaz i koronek. W maglinie bredzisz o wystawie u Szajera, a w szczególności o tej przepysznej wiadomej sukni, do której dodajesz jeszcze narzutkę. Następnie otwierasz naraz oczy i pytasz się, gdzie jesteś? O influenzo, influenzo! Małżonek jest zrozpaczony i bez żadnych wstępów zadaje ci pytanie, czy wolisz tę suknię z wystawy, czy narzutkę. Przez chwilę nie odpowiadasz nic, a potem wyciągając w dal ramiona, odpowiadasz, że obie. Widzę w tej chwili czarowny

uśmiech na twojej twarzy piękna pani, jesteś zadowolona z epilogu, lecz niestety widzę i srogięgo marsa na obliczu twego dozgonnego towarzysza, gdy czyta te wyrazy.

Przebacz pan, nie moja w tem wina, lecz —
influenzy.

W i o s n a.

Było jeszcze bardzo rano, gdy Renio, ten z koźlą bródką i baraniami oczyma, wleciawszy jak bomba do mojej sypialni, wrzasnął mi z całej siły nan uchem: bracie ratuj! — Co za licho — zawołałem, zrywając się na równe nogi strejk jaki, ogień czy Moskale?

— Jeszcze gorzej, na godzinę jedenastą, jak uciał, mam mieć gotowy fejleton dla „Dzwonniczy“ a tu popatrz, prócz nagłówka: „wiosna“ i kilku zaczętych wierszy ani rusz dalej.

— A bodajże cię z twoją wiosną, przestraszyłeś mnie, swoją drogą ale, temat dobry i na czasie a teren znakomity, po którym można wybornie jechać szparagami, sałata, rakami, bandą w ogrodzie, garniturami wiosennemi, gustami wiosennemi.

Renio machnął ręką, — wszystko już wyzyskane, a zresztą za płytkie.

— To jedź głębiej — odrzekłem — bierz się aż do dna serca ludzkiego, w którym na samym spodzie budzą się drzemiące pragnienia, zaczepek o dziwne drzenia rozbudzającej się natury, do-trzej do...

— Właśnie tak samo myślałem, zresztą posłuchaj początku, — to rzekłszy wyciągnął z zanadru zmięty zwitek papieru i począł czytać:

„Wiosna!

Cała w niej chromatyczna skala barw! Liście zielenieją kolorem *vert émeraude*, (Renio ma słabość do wszelkich makaronizmów) kwiatki pstrzą się najrozmaitszemi niansami, począwszy od *jaune citron* aż do *bleu de prusse*, a słońce świeci czysto roztopionem dukatowem złotem.

W taki czas robi się człowiekowi poniekąd także różowo *rose malade*, a refren dawno zapomnianej piosnki wiosennej „dort in der Waldin-gau, dort ist der Himmel blau“, echem odbija się po najskrytszych zakątkach serca.

Dusze marzycielskie, tęskniące...“

Na tem miejscu rękopis się kończył a Renio spojrzawszy na mnie dodał jednocześnie — dotychczas dobrze, ale co dalej?

— W tem sęk, ale co dalej?

— Wiesz co — mówię po namyśle — twój fejleton możliwy, wiele w nim poezyi, wiele rzeczy nowych, ale mało prawdy życiowej, ubieram

się i idziemy razem szukać między ludźmi dalszych akwizycyj do twojej wiosny.

Wyszliśmy. Ranek był cudowny, a wiosna roztaczała w całej pełni swoje czary mniej więcej w podobny sposób, jak to Renio powyżej opisał.

Dla dodania natchnienia, pielgrzymkę naszą zainaugurowaliśmy w pierwszej cukierni kropnięciem po kieliszku wonnej wioselnej ziołówki. Tę samą czynność wykonywał opodał stary radca, wspólny nasz znajomy.

— Jakże szanowne zdrowie? — zapytałem.

— Źle panie kochany źle — odrzekł wskazując palcem na żołądek — z wiosną co roku zawsze tu coś wierci i kręci.

— Ha! to trzeba do doktora!

— A niechże was! myślicie, że mi życie nie miłe, ja sobie sam doktorem.

— Jak to radca rozumie?

— A tak! Ordynuję sobie od jutra karlsbadzką. U mnie wiosna, to dwadzieścia butelek karlsbadzkiej.

Trąciłem Renia w bok: a co, szepnąłem, może zły punkt do twojej wiosny, chodźmy tylko dalej. Renio uściskał mi dłoń w milezeniu. Na skrócie ulicy Trzeciego Maja napotykamy urzędnika bankowego, marcowego kawalera.

Metamorfoza Owidjusza!

Z zimowej larwy futra wyleciał wiosenny motylek, wylenił się, wystroił w jasny garnitur przyczesał łysinę i na dwadzieścia kroków z uśmiechem na jaki go stać było, przesyła nam ręką od ust całusa.

Co się stało? wołamy jednocześnie unisono, sekretarz dziś taki lekki, rzeźki, uśmiechnięty.

Nie dziwnego — odpowiada, posyłając dalszą seryę całusów, wiosna panie, wiosna! Renio dostał znów takiego szturhańca w bok aż jęknął. Weszliśmy do ogrodu miejskiego.

Na trawniku setki malców wyciągały pyzate buziaki do słońca i grzechotały jak młode żabki, starsze bawiły się w wolanta cerceau i „kotka i myszkę“, a jeszcze starsze przeglądały zielniki i grały w *grünes Gras*. Renio dostał trzy razy w bok. Skręciliśmy w boczną aleję. Renio idąc, zapisywał skrętnie na kartce nagromadzone materiały, a ja rozglądałem się do koła, nagle... omal nie krzyknąłem, obaczyłem epizod, o którym można czytać w ogólności w sielankach Gessnera, a w szczególności bliżej oglądać na starej saskiej porcelanie lub obrazkach *à la Watteau*.

Na ławeczce, osłoniętej zieleniejącymi się świeżo bzami siedziało ich dwoje, słowiki grały melodyę wiosenną, ona pochyliła główkę, a on całował w różane usteczka, w takie usteczka,

o których poeta powiedział: „te usteczka brzmiały zawsze jakąś piosnką świeżą, nową, każdy uśmiech był melodją, śpiewem było każde słowo“...

A szczęśliwcze... szepnąłem, znowu jeden punkt więcej, patrzaj, masz najpiękniejszą wiosnę! — Ach! — zawołał Renio odskakując na bok celem uniknięcia potężnego kiksa — dziękuję ci serdecznie, mój fejleton już gotów.

R ó ż e

Gdy patrzysz na różę piękna dziewczyno, powiedz ile twych westchnień spłynęło nad nią, ile powierzyłaś jej cichych spowiedzi serca. Nie masz przed nią tajemnic, jest ona podobną tobie, jak ty świeżą, jak ty piękną, jak ty czystą. Uzupełniacie się nawzajem.

Z wonią jej zalatują cię powiewy wiosny, biją tętna młodości, szemrzą szepty miłosne.

Dla nas miłość i różę! — woła poeta, lecz różne są różę, dziewczyno.

Są majestatyczne i pełne godności, lecz są i takie, które przesuwają w wyobraźni wieńce Messalin i bachantek.

Są różę alkoranu, lecz są i różę przywołujące do życia historię jeziora Lukryńskiego, fontany wezyrów i kiosku Padyszacha.

Są białe święte niewinnością, lecz są i czerwone złane krwią.

Są zresztą róże odpowiadające przeróżnym stanom duszy.

Są takie, przy których ogarnia się tęsknota.

Są złudne, przy których marzysz rozkosznie.

Są święte, przy których się modlisz.

Są dziwne, przy których płaczesz.

Wszystkie je rozrzucił Bóg po ziemi, by wraz z promieniem słońca ożywiały serca, budziły nadzieję, krasiały życie, a same... kaprysiły.

Pełne są uroku wszędzie, czy wijące się dumnie wśród pysznych ogrodów, czy rosnące skromnie w leśnej ustroni, lecz najwięcej czaru mają one zawsze w jedwabistych twych splotach, piękna dziewczyno!

W y ś c i g i.

Bebe Sportmeński, zwany lordem i Lulu Wściubski, zwany Mirliflorem, od kilka dni prowadzą zawziętą polemikę. Lord twierdzi z całą stanowczością, że nagrodę „Klubu nieubłaganych“ w kwocie 2000 funtów szterlingów weźmie Little Miss po Marmurze od Belladonny, podczas gdy Mirliflor zapewnia go słowem honoru, że nagrodę tę może wziąć jedynie taki koń, jakim jest Mydeare po Everydayu od Szarybury.

Ponieważ obaj w tym względzie są kompetentni, gdyż noszą kraciaste ubrania, angielskie krawatki i sznurowane trzewiki, więc jedynie zakład może rozstrzygnąć ten spór, o którym nie tylko już wspominały *Times* i *Nev-Herald*, ale nawet japoński sportowy organ „*Chabuczi-Schapuczi-Schum-Bum*“ poświęcił tej kwestyi dłuższy artykuł.

Stanowcza chwila nadchodzi. Droga prowadząca na miejsce wyścigów, przepełniona powo-

zami, jeźdźcami, kurzem i pyłem do tego stopnia, że jedynie tylko jeden reporter *Dziennika Polskiego* mógłby złożyć w tej mierze wyczerpujące sprawozdanie. Trybuny i miejsca przeznaczone dla widzów, ozdobione kolorowemi chorągwiemi, zaludniają się tymczasem coraz bardziej, a kiosk w którym się kryje elita strojonych pań, wygląda zdala jak bukiet róż turkiestańskich, rzucony na oazę Nadhira — turf zaś, zapełniony rżącemi końmi, biegającymi dzokiejami i nawołującymi startarami robi z małemi zmianami wrażenie Epsom, Derby albo Doncaster. Około totalizatora, który zaczyna już funkcyonować, przesuwiają się jak w kalejdoskopie postacie w czekoladowych paletotach, którym konik wiszący u guzika, widoczną sprawia satysfakcyę i kilkunastu ryzykownych sportsmenów, którzy dokazują prawdziwych cudów zręczności i lekceważenia życia, utrzymując tułów z głową i cylindrem na cienkich jak piszczałki nogach. Życie sportmenlike fashionable zaczyna wrzeć dokoła tętnem sportowom, dyrekcya i sędziowie zajmują miejsca honorowe, startery wywijają chorągwiemi, a nadzorcy toru aż ochrypli od ciągłego nawoływania do porządku.

Hrabia Alfons, który przed kilku dniami wrócił z zagranicy, nie pojmuje, jak mogą egzystować kursa bez bookmakerów.

— Słowo honoru — mówi do lorda — nie rozumiem tego i nie pojmuję, byłem naprzykład na całkiem małym „Toboggin-Race“ w Baden-Baden, gdzie dostałem Pudelpreis, a od bookmakerów nie można się było opędzić, co cztery kroki stał bookmaker.

Rozmowa o bookmakerach byłaby może szersze przybrała rozmiary i korzystnie wpłynęła na dalszy rozwój wyścigów i Towarzystwa chowu koni, gdyby nie facet wyglądający na wpół na gentemena na wpół na dzokieję nie przerwał tej dySSERTacyi krzyząc:

- Cynadrowski nie poznajesz mnie, pięć lat nio byłem we Lwowie.

Hrabia Alfons, mimo, że wysiła całą inteligencję na agnoskowanie sportsmena, z smutkiem jednak a szczerą prawdą odpowiada: Nie poznaję.

Sportsmen oglądnąwszy bliżej hrabiego, przychodzi sam do przekonania, że rzeczywiście nigdy w życiu nie miał przyjemności znać nie tylko hr. Alfonsa, ale nawet nikogo z jego rodziny. Ponieważ hrabia i obecnie nie okazuje wiele chęci do nawiązania znajomości, więc Cynadrowski po pięcioletniej nieobecności, idzie dalej szukać dawnych znajomych.

Tymczasem w tłumie słychać przeciągły szmer podziwu, a z trybun dolatują okrzyki: och!

ach! Na turf wprowadzono nowe dwa konie Little Miss i My-deare. Little Miss, kuzynkę nieśmiertelnej Kincsem po Cambuscanie od Water-nymphy, dosiadł niezrównany dzokiej Hrytce of Bel-Bass (czytaj Hryć Belbas), podczas gdy na grzbiecie My-deare usadowił się znany w kołach sportowych sławny John Bour-Lake (czytaj Iwaś Burłaka). Oprócz wyżej wymienionych stają do biegu następujące konie: Wyrwinoga, Skaczybruzda, Pędziwiatr i Zawołoka, wszystkie czystej krwi orientalne w wadze od 56 do 60 kilogramów.

Ponieważ lord, na którego twarzy apatya, przesyta i angielska flegma dały sobie redenzvous jest przed stanowczą chwilą, trochę wzruszony, a nie chce tego okazać, więc idzie między panie. a że te są także sportmenlike, więc i tu zawiązuje się rozmowa o turfie, w której lord zaznacza, że jego Little Miss jest tylko dziś wypadkowo na torze galicyjskim, gdyż zwykłym jej przeznaczeniem brać Goodwood coup w Derby albo grand prix Deauville w Trouville. Ponieważ mówiąc to ma tak kwaśną minę, jak korniszon, piękna pani Amelia pyta go czemu właściciel boskiej Little -- Miss przybrał szatę rycerza o smutnej postaci. Lord zapomina na chwilę, że jest Anglikiem i na turfie i głosem nadającym się tylko do gondoli na lagunach Wenecyi, odpowiada prawie szeptem: — Szukam istoty któraby mnie zrozumiała.

Piękna pani rączką wskazuje lordowi w milczeniu Little Miss, a ponieważ w tej chwili sygnał dany i konie poczynają ruszać, więc lord na powrót wraca do równowagi angielskiej.

Widocznem jednak, że w księdze przeznaczeń nie było zapisanem ani My-dear ani Little Miss zbierać laury w dniu dzisiejszym, gdyż o ile My-deare okazuje się konserwatystką i stara się pozostać na miejscu wraz z Johnem Bour-Lacke, o tyle Little-Miss okazuje się postępową, ruszając w stronę ku stajniom, usiłując jednocześnie, co się jej w końcu udaje, nadać Hrytceowi of Bel-Bass kierunek równoległy z turfem.


Podczas tych niefortunnych obrotów Bell-Bassa i Bour-Lacke, lord z pomarańczowego robi się czerwonym, a Mirliflor z czerwonego pomarańczowym, co mu jednak nie przeszkadza wcale zrobić złośliwą uwagę lordowi, iż szlachatna rasa Little Miss odbiła się w niej przed chwilą. Podrażniony gentlemen czyni natomiast więcej z potrzeby jak z przyjemności dwuznaczny przytyk do wątpliwego szlachectwa samego Mirliflora.

— Ród mój sięga potopu, mój panie, odpowiada z godnością Mirliflor.

— A tak, przypominam sobie z biblji, replikuje właściciel Little-Miss, że Noe w swej arce miał parę osłów.

Najbardziej niedomyślny czytelnik domyśli się, że w dwadzieścia cztery godzin po tym epizodzie sekundanci Lorda i Mirliflora mieli wiele do czynienia z wyszukaniem broni, miejsca spotkania i tym podobnych pendant pojedynkowych, już innym zresztą razem dokładnie opisanych, na razie więc tylko tyle podaje się, że tak Lord jak i Mirliflor z prawdziwą przyjemnością i zadowoleniem winszują sukcesu właścicielowi „Zawołoki,“ która wyprzedziwszy współzawodników o dwadzieścia metrów, święciła swój tryumf wśród okrzyków publiczności i fanfar muzyki.

Z następnych biegów, możemy tylko to naznaczyć, że w biegu o nagrodę dam, nikt karku nie skręcił, (nie jest to aluzya do dzisiejszych czasów), w Hurdle-race trzech jeźdźców odłączyło się od swych koni, a w ostatnim biegu włóściańskim pokazało się dowodnie, że dobry koń roboczy, zwany Maćkiem albo Motryną, wiedziony przez niewprawnych i nieokrzęsanych Iwasiów Burłaków i Hryciów Belbasów dla kraju ma większą wartość, jak nieśmjerne Little-Missy i Mydeary, kierowane mistrzowską ręką Hrytzeów of Bel-Bass i Johnów Bour-Lake.



LATEM.

Do kąpiel.

Dziś się rozłączają!

Pani wyjeżdża do Krynicy, — mąż zostaje słomianym wdowcem. Smutna rozłąka na całe długich sześć tygodni.

Mimo to ranek wstaje cudowny, na niebie ani jednej zmarszczki. Przed domem dwaj woźnicy ze służbą porają się z kuframi, koszami, sakwożażami i pudełkami.

W całej kamienicy rejwach. Wlatują, wylatują, biegają, krzyczą, wracają co chwila tam i napowrót.

Na górze scena godna pędzla Pio-Ricciego: meble ponakrywane pokrowcami, firanki pozdejmowane, story pospuszczane, a tu i ówdzie w nieładzie leżą porozrzucane rzeczy, paletoty, kawałki sznurów i rozlicznych strzępów.

Pani w lekkim płaszczyku z pelerynką i kapeluszyku *à la touriste*, z torebką z juhtu ro-

syjskiego, przewieszoną z fantazyą przez ramię, wygląda czarująco. Małżonek co chwila spogląda na zegarek.

— Czy będziesz czasem o mnie myśleć? — pyta pani, pokazując medalion.

— Także dobre pytanie... — ciągle!

— Zdaje mi się, że masz zanadto zadowoloną minę, trochę za wesołą jak na chwilę rozłączenia?

— Zdaje ci się — jestem smutny jak Hiob. (pogwizduje).

— Czegoż się więc cieszysz?

— Zdaje ci się; cieszę się chyba z tego, że im prędzej pojedziesz, to tem prędzej powrócisz (spogląda na zegarek). Maniusiu... (po chwili nieśmiało) trzy na siódmą, — spóźnimy się...

— Chcesz się mnie już pozbyć, czy ci tak zawadzam?

— Cóż znowu! ale jak jechać, to jechać, albo lepiej całkiem zostać w domu.

— No, to zostanę!

— To znowu nie ma sensu, wszystko przygotowane, spakowane, pozawijane, chodźmy.

— Dawniej byłbyś mnie na klęczkach zatrzymywał, a teraz to... (zaczyna płakać). Zostanę, na umyślnie zostanę; Andziu, każ rzeczy pozdejmować z powozu.

Z wysiłkiem wydaje ten rozkaz i pada na szezlag.

— Maniu, Manieczko uspokój się.

— Jesteś tyranem...

Mąż w poczuciu tyraństwa, spuszcza głowę i na pozór spokojnie przechadza się po pokoju.

— Niedługo już będę ci się naprzykrzać. Dr. Opolski i tak głową już kiwał. Pożałujesz kiedyś...

Po tej pogroźce następuje cała chromatyczna skala od wzdychań do płaczu i napowrót.

— Ach Maniu, nie mów czegoś podobnego — rzecze małżonek i przyobleka stoicką cierpliwość, olimpijski spokój, łagodność jagnięcą i inne tym podobne moralne draperye, a zwracając ku drzwiom od kuchni woła głosem odnośnym. — Zdejmywać rzeczy z powozu.

Pani zrywając się, rzuca się ku niemu i pyta: To jeszcze mnie troszeczkę kochasz?

— Nie troszeczkę, ale ogromnie!

— Mnie bo się zdawało... przebacz... Andziu... rzeczy napowrót do fiakra — zarzuca rękę mężowi około szyji i głosem czułym woła — chodźmy.

Na dworcu ścisk i tłum nie do opisania. Dzwonki elektryczne sygnalizują jak najęte, konduktor biega jak opętany.

— Panie kondukerze, dla pani osobne coupé (wtyka mu coś w rękę).

— Słowo honoru nie mogę, naczelnik sam chodzi, chyba później od Przemyśla (po chwili) proszę tymczasem tutaj.

— Bądź zdrowa, najdroższa.

— Bądź zdrow, a szanuj się.

Całują się raz, drugi, trzeci i dziesiąty.

Jegomość w długim makintoszu czyni uwagę głośno:

— Będzie deszcz! będzie deszcz!

Tymczasem do *coupé* chce wsiadać elegancki facet.

— Przepraszam pana, ten przedział dla dam — a pod nosem dopowiada sobie: Widzisz go, — mądry.

Nareszcie pani znalazłszy się w *coupé*, walczy z oknem, by je opuścić, a gdy się i to jej udaje — poczyną uzupełniać wydane polecenia:

— A niech tam Andzia podlewa kwiaty, szczególnie róże *thea*. Nie zapomnij też przysłać mi tę popielatą suknię. Wisi w drugiej szafie, — może być chłodno. Masz tobie, — woła dodatkowo po przeglądnięciu torebki, — zapomniałam kluczyków od wielkiego kufra. Ta Andzia to takie ciele. Mój drogi przyslij je zaraz..

Konduktor tymczasem zamyka przedziały, wołając:

— Proszę odstąpić, — trzecie dzwonięcie.

— Wieczorami, mój drogi, bierz okrywkę; postaraj się też, by w pierwszym pokoju postawili prędko piec nowy.

— Gotów! — Odjazd!

— Wiezorami nie wychodź...

Lokomotywa wydaje ze siebie świst i odpowiednią ilość pary — a pani, powiewając chusteczką, woła jeszcze z okna wagonu:

— Do widzenia, aniołku, — a pisz.

Świst ponowny — pociąg rusza i słycać tylko dwa wołania:

— Pa, duszo! — Pa, serce!

W kąpielach.

Przedewszystkiem każde kąpielowe miejsce z reguły leży wśród dziko romantycznej natury i jest otoczone wysokopiennymi lasami, a z zasady posiada balsamiczne powietrze, wodę nasyconą całą mineralogią, uroczę spaceru, wytworne urządzenie i łazienki najnowszej metody.

Potem następują liczne ewentualności, które być mogą i rozmaite historye, które być muszą.

Azatem być może śliczna pogoda, przyjemne towarzystwo, dobra i zdrowa kuchnia, kilka panien z wielkim posagiem i kilkadziesiąt z o wiele mniejszym.

Z kolei naodwrot musi być deszcz, złe jeźdzenie, niewygody, dwudziestu Jazonów posagowych, masa żydów, kilka reunionów, parę koteryi, półtora skandalu i wiele plotek.

* * *

Rankiem po deptaku przewija się cała „kurlista” poczawszy od osobistości reklamowanych w dziennikach, aż do figur na które nikt nie zważa.

Na pierwszym planie nie braknie nigdy młodzieńca nadzwyczaj przyjemnego, który jest „duszą sezonu” i posiada zwykle wielkiego psa nazywającego się Hektorem.

Każdego zna (naturalnie pan a nie pies) i pełno go wszędzie o każdej porze i na każdym miejscu.

— Jestem ten i ten, — mówi przedstawiając się. Bardzo mi przyjemnie...

— Pańskiego brata znam bardzo dobrze, kolegowaliśmy, poczciwe chłopczysko.

— O panie!...

— Grywa pan w croqueta, czy wolisz pan *lawn-tennis*? Nie gra pan, to się pan jeszcze nauczy, nie łatwiejszego. Po południu preferansik, szton po 50 centów z wiecznym żydkiem, bez żydka nie gramy, szkoda rękawów. Jeżeli pan lubi kotlety po warszawsku, wyborne w górnej restauracyi. Zna pan mecenasową Y. Nie! Nic nie szkodzi, przedstawię pana, cudowna kobietka, jesteśmy u niej codziennie na herbacie! Przepraszam... otóż i nasz hreczkosiej, paradny, zapoznam was, Hektor są tu, do nogi. Panowie pozwolą. Pan X. pan Z. obywatel z N.

Szlagun zdrów jak rydz, a mocny jak dąb, zdaje się mówić:

— Lubię kiełbasę z kapustą, jaja na twardo mój dziadek umarł mając 107 lat, a ja jak wytnę chłopca, to się musi wywrócić.

Mimowolnie nasuwa się pytanie:

— Co pan dobrodziej tu porabia, chyba nie dla zdrowia?

— Co ja tu porabiam — odpowiada — siedzę panie dla zdrowia żony, „stoimy“ pod Krakusem; te terazniejsze kobiety, to psu na budę, tam, panie, żniwa na wsi, najgorętszy czas, a ja tu siedzę jak na rozżarzonych węglach. Dyabli mnie biorą. Napijmy się wódki, co? dobra myśl. Całuję rączki pani dobrodziki.

Naprzeciw idzie dama na sto kroków wyglądająca na lat 17, na pięćdziesiąt kroków na 35, całkiem z bliska na 60, lubi pasyami *cruchon*, bezika i oficerów od kawaleryi.

Wita się serdecznie z kobietką fertyczną, ubraną we wszystkie barwy tęczy.

Całują się obie jak najczulej, a nie cierpią się na przechód.

Zjawiają się po chwili i „dwie Eleonory“, matka i córka, jedna na pewno młodsza od drugiej, nie wiedzieć tylko która?

Obie cierpią na *Neura asthenia*.

Te panie są wiecznie otoczone rojem bardzo młodej młodzieży, biorą kąpiele borowinowe i zmieniają toaletę pięć razy dziennie.

Obok druga para, matka uosobienie piwonii, zbytek zdrowia, córka anemiczna lilia, pija cacao holenderskie, rosół z bulionem i używa wszelakich przetworów żelaza z winem.

Pyszny materyał na żonę!

Po sześć razy dziennie wlatują do lekarza zakładowego, wiecznie jakieś niepewności.

Wśród tego towarzystwa kręci się cała falanga figur częścią chorych, częścią znudzonych, po największej części ze wszystkiego niezadowolonych.

* * *

Godzina obiadowa!

Goście zaczynają się schodzić, właściciel restauracyi uśmiecha się i kłania się na wszystkie strony, płatniczy poprawia białą krawatę, garsony recytują stereotypową litanię: rosół, zupa, sztuka mięsa, cielęca, wołowa, skopowa.

Zamówienia krzyżują się w powietrzu: rozbratel dobrze wysmażony, kotlety z groszkiem od dwóch godzin zamówione. befszyk tutaj, panie konsyliarzu, czy Munci wolno poziomek z kwaśną śmietaną.

Przy bocznym stoliku usiada jeden pan, który z nikim nie mówi i unika towarzystwa, jedni stanowczo twierdzą, że ma bzika, drudzy powiadają, że jest mocno uczonym.

Towarzystwo rozlokowuje się partyjami, przedzielonemi chińskim murem.

Bez koteryi nie byłoby zabawy.

Gdyby nie było pani sekretarzowej, pani naczelnikowa nie miałaby nad kim okazać swej wyższości hierarchicznej, pani mecenasowa nie mogłaby mówić: nasz koncypient, pani konsyliarzowa dostałaby żółtaczkę gdyby aptekarzową obsługowano prędzej i lepiej niż ją, a wreszcie gdyby nie było żony dzierżawcy pani A., właścicielka dóbr pani B. nie mogłaby wynurzyć swego ubolewania: że jak męża kocha, nie pojmuje za co właściwie ci A. tak żyją i z kąd ich stać na to? Lecz nieba są sprawiedliwe!

Wchodzi towarzystwo, wobec którego wszystko w ką. Służący w liberyi niesie pledy. Siadają przy stole, na którym ustawiono bukiety i serwety ułożone w wachlarze. Rozmowa prowadzi się po francuzku, czuć wyższą sferę, newmown-hay Atkinsona rozchodzi się w powietrzu, na chusteczkach wielkie korony i wiele pałeczek... *nous entre nous...*

*

*

*

Na werandach pija się herbatę i tam podają świeże dzienniki.

Nic nowego! Rytualne morderstwo, cholera w Tyflisie, proces przeciw mordercom Belczewa, król Aleksander serbski bardzo dobrze się uczy i ma wszystkie „znakomicie“. Następują nuda i ziewanie. Mascagni omówiony na wszystkie strony, Cavalerię już prawie każdy słyszał po kilka razy. Na wystawie wiedeńskiej... fiasco. Na flirt już się nikt nie łąpie, reuniony i koncerty przejadły się. „Dusza sezonu“ wysiliła się na wszystkie pomysły, były już wycieczki, odczyt o cholery, fajerwerki, wyścig do mety i kiermasz na cel dobroczynny. Oprócz niedoszęłego pojedynku żadnego więcej epizodu wstrząsającego nerwami żadnego -- to okropne! Z miłości nikt się nie chce strzelać, a wypadek otrucia chyba z niedopieczonej cielęciny lub nieświeżych raków.

Chodzą głucho pogłoski o dwóch zamierzonych marjażach i o spodziewanym przyjeździe wielkiej osobistości *incognito*, o którym to *incognito* wróble na dachach już ćwierkają.

Muzyka zakładowa w kiosku rzempoli stare uwertury aż do znudzenia.

Słońce zaczyna zachodzić, głosy dochodzące z promenady milkną, publiczność kąpielowa poczyną się rozchodzić, jedni do domów, drudzy do

restauracyi na kolacyę, o której wszyscy z góry wiedzą, że będzie „pod psem“.

* * *

Zalega cicha piękna noc, na niebo wypływa czerwona pyzata tarcza księżycowa.

Rozpoczyna się flirt pokjówek, przed kurhausem dziewczęta kąpielowe od źródła kokietują z garsonami obcierającymi talerze.

W klombach brzęczą komary i od czasu do czasu słyhać chrząkanie.

Przez otwarte okna dolatują pojedyncze rozmowy i wlatują ćmy, chorzy zażywają krople i biorą zimne okłady, żony piszą listy do mężów.

Neura asthenia, bronchitis, hysteria i hypochondria udają się na spoczynek.

Minister świeżego powietrza.

Teka jego ministeryalna jest tego rodzaju, jaką posiada np. minister temperatury w „Mikadzie“ — Godność ta wielce zaszczytna, ale mniej intratna, jest powodem, dla którego minister powietrza oprócz swego urzędu w wysokich regionach azotowych, piastuje jeszcze ze względów finansowych inną skromniejszą posadę, bądź to rady manipulatoryjnego, bądź kwieskowanego oficyała, bądź pensjonowanego inspektora.

Minister ubiera się „porządnie“ i począwszy od maja, nosi pikową białą kamizelkę, którą zdejmuje aż w październiku. Rano pija kawę z cykorią, pasyami lubi kwaśne mleko z chlebem Grahama, a dzień cały przesiaduje albo w Jezuickim ogrodzie, albo na Wysokim Zamku, gdzie się delectuje świeżem powietrzem.

— Świeże dobre powietrze — powiada — to grunt, u mnie w domu cały dzień okna otwarte,

spie nawet zimą i latem przy otwartych oknach. Na wszystkie dolegliwości wszystkim doradza Luftkur — i kapitanowej na ból zębów i komisarzowi na katar żołądka i asystentowi pocztowemu choremu na piersi a siedzącemu w biurze dziennie dziesięć godzin — wszystkim mówi jednako: będziesz zdrow jak ryba, tylke bądź ciągle na powietrzu, ciągle na powietrzu.

Na palcach zna topografię każdego miejsca publicznego, a szczególnie ogrodu Jezuickiego — wie, w którym miejscu jest wilgoć, która część jest ochroniona od wiatrów, a gdzie najbardziej „operuje„ słońce. Ma swoją ulubioną ławeczkę, na której zwykle przesiaduje i zkad robi wszystkie spostrzeżenia. Wie, kto jest owa elegancka zakwefiona dama, która codzien o jednej i tej samej godzinie spieszy w górną część ogrodu, wie, kto jest ów tajemniczy facet, który podąża tamże ukradkiem drugą stroną, — wie, które drzewo pierwsze poczęło pączkować, — wie, którego dnia nad ogrodem przeleciało stado zórawi, — wie, ile stopni ciepła na słońcu, a ile w cieniu, wie i słyszy, nawet, jak trawa rośnie.

Jest dumny ze swej wiedzy klimatyczno-astro-nomicznej. Gdy go pytają czy będzie deszcz, czy pogoda, puszy się wtedy, podnosi z ławki, przy-mruża lewe oko i patrzy naprzód nad Jura, po-tem nad górę zamkową, a wreszcie na cytadelę

i decyduje według okoliczności, czy deszcz „na pewniaka,” czy pogoda „jak bułka za grajcar”. Ma pewne swoje nieomyłne wskazówki, które są dla niego barometrem.

Gdy go lewa noga swędzi, deszcz, — gdy dym idzie w górę, pogoda, — gdy słońce zachodzi czerwono, wiatr.

Mówiąc, zapala się łatwo i wtedy wpada w „sztos” reformowania wszystkiego. Wygaduje na czem świat stoi na rząd w ogólności, — na radę miejską w szczególności, robiłby wtedy ulepszenia, znosiłby stare budynki, czyściłby i zamiatął ulice, skrapiał, desynfekcyonował. bo mówi: z tego niechlujstwa powstają choroby i innego rodzaju pestelencye.

Gdy go kto umie pociągnąć za język, wypaple wszystko, — nawet na „rodzoną” żonę, a jak przyjdzie na rok 48 i gwardyę, tak bądź zdrów, na wskroś ci dziurę wywierci.

Serce ma złote, wprawdzie nie cierpi widoku żebractwa w ogrodzie, lecz gdy zobaczy zebraczkę z dzieckiem na ręku a bachor wrzeszezy, to dałby wszystko, co ma na sobie. Co ono winno — mówi — nie prosiło się na świat. Gdy kiedy indziej znów obaczy chłopców, męczących psa lub obrywających chrząszczom skrzydła, to wpada w pasję. A smarkaczu ty jakiś — krzyczy — dałeś mu życie, że mu odbierasz. Tak samo nie znosi,

gdy woźnica bije konia; wybiega wtenczas na ulicę i zaczyna naprzód łagodnie: dobry człowieku, — a gdy to nie pomaga to wtenczas: a ty drabie, ty siaki, taki, chcesz, bym zawołał policyanta. Za dziećmi przepada, nie da przejść żadnej bonie, by jakiegoś małego bobaka nie pogłaskać pod brodę, uszczypnąć w policzek i zapytać, jak mu na imię, ale lubi tylko grzeczne, bo jak widzi, że łamie gałęzie i zrywa kwiaty, to wtenczas z daleka grozi i wymachuje laską w powietrzu.

Rachubę czasu normuje według tego, kiedy emerytowany radca idzie na obiad, bo założyłby się, że już pierwsza, lub kiedy mecenas, stary kawaler, wchodzi do ogrodu, bo wtedy przysięgłby, że siódma.

— A co panie, — powiada śmiejąc się, — patrz pan na zegarek: *punctum sieben Uhr!* czas już na kolację.

Po kolacyi wraca napowrót, spaceruje do późnej nocy i dopiero gdy na Bernadynach wybije dziesiąta, a powieki zaczynają mu się kleić do snu, patrzy na księżyc, czy nie ma obwódki, zacierpuje jeszcze raz pełną piersią powietrza i z westchnieniem, zazdroszcząc ptaszkom ich cudownego noclegu, ostatni schodzi ze stanowiska.

N a w s i.

Przyjechałem i jestem! Wziąłem ze sobą sztylpy, wędkę, rozprawę dra Finkla o wsi polskiej i libkę papieru; postanowiłem robić etnograficzno-fizyograficzne zapiski.

Wieś — to nie miasto — tu całkiem co innego, przedewszystkiem wiele chłopów, wiele niebieskiego nieba, zielonej trawy i powietrza w najlepszym gatunku.

Dają mi kawę, ale jaką, z jaką śmietanką, pyszna! Wszystko pyszne: masło, chleb, bułki. Używam co się zowie, kuzynki mi dolewają a kuzyn gospodarz domu klepie po ramieniu i mówi: „zobaczysz, jak się będziesz bawić, będziemy jeździć, polować, ryby łapać, pokażę ci gospodarstwo“.

Idziemy naprzód do ogrodu. Z miejsca, jak z pod ziemi, wyskakują dwa ogromne brytany, jeden nazywa się Rozbój a drugi naturalnie

Bryś, skaczą i warczą, gospodarz głaszcze je i mówi, że łaskawe — co do mnie, nie dowierzam im, zwłaszcza temu Brysiowi.

Co chwila idą ludzie do roboty, baby i chłopcy całują nas w rękę; ponieważ ślinią, wrywam i nie daję, gospodarz objaśnia mię, że to taki zwyczaj.

Oglądamy stajnie i konie, kurniki i kury, chlewy i nierogaciznę, zachwycam się wszystkim. Z kolei przychodzimy do wołowni, krowiarni i na oborę — tu, jak w menażeryi, woły, krowy, jałówki, byczki, cielęta. Według dawanych mi komentarzy, wszystko to jest śliczne i tyrolskie lub szwajcarskie, nie rozumiem się na tem i widzę w tem tylko befsztyk garnirowany i polędwicę, uważam jednak, że ekonomiczna „Krasa“ i połowego „Popadja“ najtłuściejsze. Podoba mi się jednak bardzo, dziwuję się wszystkiemu, pytam, dlaczego to tak, a na co tamto i t. d., kuzyn się śmieje i cieszy, kuzynki cieszą, ogólna radość, nawet cielęta zaczynają skakać i cieszyć się.

Myślę sobie: tu raj, tu życie, obiecuję więc w tem rozrzewnieniu sielankowem, że zostanę cały miesiąc. Kuzyn tymczasem zaczyna gospodarować na dobre, huka na pastuchów i do imion Iwan, Matwij, Hryć dobiera najrozmaitsze, niekoniecznie salonowe epilety, przyczem od czasu do

czasu puszcza w ruch swego bykowca. „Bez tego — powiada — nie można ani rusz, tak musi być“.

Następnie nadchodzi osmalona, wąsata kreatura, która huka jeszcze głośniej od kuzyna i co chwila, zdając raport, mówi: „wszystko dobrze, proszę łaski jaśnie pana“, Mimo tego zapewnienia dowiadujemy się z raportu, że na „uboczu“ zamokło, na „zapadach“ wyschło, Walek wybił koniowi oko, aż wyciekło, a dwa pługi stoją od rana, Jaśko Wickowi „istrykom“ przewalił mózgownicę na dwoje, jeden leży chory a drugi uciekł. Kuzyn wrzeszezy, kuzynki posmutniały, a ekonom kręci kapelusz i zapewnia, że zresztą wszystko dobrze.

Wracamy do domu na drugie śniadanie, piję „starke“ i zjadam po kolei miód, konfitury, podśmietanie, pieczoną kukurydzę. Potem jazda konna w pole, kuzyn z grzeczności odstąpił mi swego karosza, bo „ostrzejszy“, a sam jedzie na bułance. Robię marsową minę, bo kuzynki patrzą; mówię: „moja cionka, moja“ i wsiadam, dotychczas wszystko dobrze, djabli atoli nadają tymczasem arendarza, który przyszedł się dowiedzieć, co będzie z „propynacyo“, karosz zaczyna strzydz uszami, drzeć całym ciałem, potem daje szczupaka jednego pod oficynę, drugiego w klomby kwiatów, a potem czuję, że — mi jest bardzo wygodnie na murawie.

Kuzynki krzyczą, kuzyn się śmieje, a ja oświadczam, że to „przypadkowo“ i zgadzam się

na propozycję, że pójdziemy w pole piechotą. Biorę naturalnie strzelbę i na pierwszej polance, zaraz za wsią, widzę wrony, serce mi zabiło, kuzyn mówi: „pal!“ palę i zawiast w wrony, pakuję cały nabój Rozbojowi w łopatkę. Przykra historia, mam dosyć polowania i wracam do dworu na objad. Tu zastajemy inspektora od podatków, co pogarsza humor kuzynowi, a że w dodatku kucharz Ignacy się spił i nie można go wytrzeźwić, więc posłano do miasteczka po słynną kucharkę, która zawsze gotuje u księdza podczas prązniku i objad nie będzie, aż koło czwartej lub piątej.

Siadamy tymczasem z inspektorem w trójkę do pulki preferansa. Ledwie kuzyn miał czas położyć się cztery razy na dziewięć kier, wlatuje lokaj, Jan, i mówi, że „coś się stało, ale nie takiego“. Pokazało się, że to „nie takiego“ jest to, że woły poszły w koniczynę, trzy już zdechło, sześć myśli to uczynić, a reszta stoi osołowiała. Chwytamy instrumenta, noże, trokary, lekarstwa i lecimy na miejsce wypadku.

Ratujemy, nacieramy, kłujemy, bijemy, nie nie pomagają, dziesięć wołów największych i najpiękniejszych rozciągnęło się na miękiej koniczynie na wieczny spoczynek. To ci raj, myślę sobie, pocieszam jednak kuzyna jak mogę, że to nic, że znowu się nowe urodzą, ale gdzietam, kuzyn czerwony jak kitajka, sapie jak miech i wrzeszczy,

że wszystkich pastuchów i włodarzy powybija co do nogi. W dodatku zaczyna naraz grzmieć i ły skać a w polu dwie sterty niedozwożone.

Wracamy zziajani i wpół zmoknięci do domu, a gdy deszcz leje strumieniami, kuzyn nieborak mówi mi pokazując przez okno na gumno: to znaczy bracie gospodarować, to przyjemności wiejskie, lepiej być stróżem w mieście!

Pomartwieni idziemy spać, znużony wypadkami dnia, obiecuję sobie smaczny spoczynek. Ale gdzietam, naprzód komary zaczynają ciąć, potem zaczyna jeden pies brechać, potem drugi, trzeci, a wreszcie cała zgraja psów w całej wsi.

Tylko trochę ustały, odzywa się trąba nocnego stróża na znak, że „pilnuje pańskiego,” ten przestał, zaczynają piąć koguty i to gdzieś nad samą głową.

Rozpacz mię bierze, klnę na czem świat stoi, nie można usnąć..., dziękuję za wszystkie przyjemności wiejskie..., mam dosyć... Jutro rano, „żeby nie wiedzieć co“ wracam do miasta, słowo honoru, wracam...

Z letniej nocy.

W sezonie ogórkowym.

Na ratuszu zegar wybił godzinę dziewiątą. Capstrzyk zatrąbił apel na spoczynek. Na głównym odwachu zmieniono wartę, nad miastem zajaśniały pierwsze gwiazdy wieczorne, a magistracki pachołek począł pobudzać do życia Siemensowskie latarnie. Ruch miastowy ustawał, życie na ziemi gasło — było duszno i parno...

Na odludnej ulicy (wysoko nad mezaninem) na skromnem węzłowie rozciągnięty leżał wieszcz i marzył o poezyi trubadurów, o abstrakcyjnym mistycyzmie i o innych historyach, o których tylko wieszcz marzą. Po gorzkim uśmiechu, który mu igrał na ustach, można było rozpoznać, że jest ogołocoony z ziemskiej mamony, a równy i miarowy oddech dawał pewność, że nie jest pijanym.

Z mroku i cieni wystąpiła czarna postać z bladą twarzą, biała konwalja tkwiła jej w bu-tonierce, stygmata głębokiej wiedzy i niczem nie-ukojonej tęsknoty widniały na czole, świetlany niebiański płomyk unosił się nad całą postacią a pewna nie dwuznaczna woń dowodziła na pe-wno, że nie gardziła alkoholem. Czarna postać z lekka dotknęła ramienia wieszacza i rzekła:

— Wstań i chodź!

Wieszacz drgnął.

— Gdzie i po co? — spytał — jestem jako bizun...

— Duchy nie potrzebują monety — odparła czarna postać, przyczem dla potwierdzenia swej tezy, zabrzękła nieznaną ilością miedzi.

Na odgłos tego metalicznego dźwięku wieszacz powstał z letargu i przetarł oczy.

— Gdzież mię powiedzisz mistrzu? — za-pytał.

— Szukać prawdy i ideału.

— Nie chcę prawdy ani ideału, chcę przede-wszystkiem poledwicy i piwa.

— Stanie się jakoś rzekł (tu postać brzękła po raz drugi).

W bujnej fantazyi wieszacza zaigrały fantas-magoryczne obrazy muz, czarodziejskie opowieści z tysiąca i jednej nocy, niepewne zarysy sznycla,

ogródka z muzyką, śpiewu Tyrolek i czardasza węgierskiego. Twarz rozjaśniła mu się błogo i... w noc letnią przed zmrok i cienie poszli do francuskiego hotelu.

Tyrolki wyciągały z siebie jodlery, mistrz ciągnął „czystą“ a wieszcz wciągał w siebie, co się dało, gulasz, poledwicę i liczne kufle „szwechackiego“. To uczyniwszy spojrział błędnie do koła.

— Mistrzu — rzekł — co zacz są te znudzone kwaśne facyaty?

— Synu — odrzekł mistrz — to są mężowie, których żony odjechały, świat ich nazywa słomianymi wdowcami, są to dusze biedne, opuszczone, smutne — a smutne bo tęsknią.

Wieszcz otarł łzę i popił piwem, mistrz zapłacił i poszli dalej szukać prawdy i ideału... do cyrku.

W cyrku, jak zwykle w cyrku, konie skakały, ludzie skakali, lwy skakały, serca skakały, wszystko wywracało kozły i kłamało radość — tylko serca mistrza i wieszcz pozostały zimne i granitowe.

— Chodźmy dalej — rzekł wieszcz do mistrza — ci smutni „słomiani“ są i tutaj, uchodźmy co prędzej.

I poszli po kolei do żydowskiego teatru, gdzie Kain zabijał Abła, a naród wybrany kla-

skął w dłonie i krzyczał bravi! bravi! — następnie do „Zacisza“, gdzie madiarska muzyka ciąła czardasza — dalej do ogrodu Jezuickiego, gdzie „banda“ echem turluletki i gigerlmarsza rozpruwała powietrze, a wszędzie napotykali smutne „słomiane“ twarze.

Pogoń ta za prawdą trwała tak długo, póki kieszeń wydawała dźwięki i pokąd mistrz nie powiedział do ucznia:

— Bracie chodźmy — chodźmy tam, gdzie nie ma... ludzi.

Wyszli. Świat przebiegał elipsą naznaczoną mu drogę w wszechświecie, księżyc świecił na niebie, a jakiś ciężki ignorant zapoznając świat i ludzi, liczył gwiazdy na mlecznym szlaku.

— Przechodniu blady — zagadnął go mistrz — czy także i ciebie pali żądza wiedzy?

— Tak — odparł przechodzień, wzdychając głęboko — pali mię bardzo!

Mistrz schwycił kurezowo za rękę ucznia, i podszedł trzy kroki.

— Synu — rzekł — co myślisz, gdy widzisz wśród nocy te rozrzucone nieliczne światła po domach, czy myślisz, że dusza ulatuje z tego padołu, czy filozof szuka probierczego kamienia, czy matka opłakuje syna, czy biedne jakie serce rwie się za utraconem szczęściem — powiedz, co myślisz?

— Myślę, mistrzu — odrzekł wieszcz — że tam albo piją albo w ferbla grają.

Mistrz odwrócił smutnie bolejącą twarz, pochylił głowę na ramię ucznia a duchy ich skojone razem, pnąc się wyżej — coraz wyżej, stały wysoko na kopcu zamkowym.

Miasto spało a dymy ścieliły się nad niem, zegary wybiły dwunastą, usiedli nad złomem góry, po drzewach odzywały się puhacze, na dalekich bagnach grały żaby, kur zapiał po raz pierwszy.

Mówiono wiele o nieśmiertelności i o wieczności...

— Bracie drogi — rzekł mistrz wreszcie — to godzina duchów! Z sarkofagów powstają postacie z długiego uśpienia białe ił mileżące, syreny z topielcami kąpią się po jeziorach, satyry i sylwany depcą paproć leśną, a z starych tumów wychodzą zamierzchłe postacie antenatów, tęskno mi i ciężko — świat podły... umierajmy...

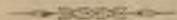
Długo mistrz tak mówił a uczeń go słuchał.

— Mistrzu — rzekł wreszcie uczeń po głębokim namyśle — tyś się spił jak Bela!

— Nie! — odrzekł mistrz ponuro — nie! ale jest mi niedobrze.

Tu skłonił głowę po raz drugi na ramię ucznia i wpadł w głęboką zadumę.

Na niebie tymczasem zaczęło jaśnieć, kręgi horyzontu z lekka zaróżowiły się, a jakiś nieznany tajemniczy szmer rozbudzającej się natury zdawał się powtarzać natchnione słowa poety: Ze snu wstaje róża biała, w łunach gore wschodni szczyt, przepłomienia chmurki bledsze, pierwsza złota pada strzała — to świt!



JESIENIA.

Z wakacyj.

Odwrót z Arkadyi!

Przeszło wszystko, gdyby raz jeden tylko, raz jeden ostatni mieć napowrót te chwile.

Co za chwile? Ma się lat „parnaście“, twarz puciołowatą, włosy jak szczotka do butów, kieszeń pełną guzików, orzechów, sznurków, wędkę, notes i „katapulkę“. Katapulka ta przeplata wszystkie zabawy — i jazdę konną i kiczkę i samotrzask. Słowem używa się do syta, je się za czterech, spi jak długo chce, czyta się „Żyda wiecznego“ i wszystkie „tajemnice“ jakie są i pisze się wiersze „na profesorów“.

Życie niczem niezamącone, czasem przemknie tylko jak czarna chmurka Ksenofont, lub gramatyka grecka, czasem przyśni się Pauzaniasz, wojna Punicka lub obrachowanie trójkąta, ale to nic, trwa to tylko chwilkę a... do „końca“ jeszcze daleko. Rachuje się dni do tego „końca“ z bo-

lem, przemazuje się z niechęcią kreskę po kresce w notesie, jeszcze dwa tygodnie, jeszcze dziesięć dni, tydzień, trzy dni, dwa, jeden, ach żeby ten jeden trwał wieki!

Przyjaciół Antek lub Franek (w tych czasach ma się przyciół na kopę), który jest najlepszym chłopcem, gdyż rżnie „kampe” pod obłoki, „ćmi” połówki jak huzar i tylko ma tę jedną wadę, że wiecznie domaga się, by mu coś podarować, to notes, to wędkę, to scyzoryk, pierwszy ten przyjaciel przypomina smutną rzeczywistość.

— Ta ci wiesz — mówi — to ci jutro już koniec.

Rzeczywiście koniec! Tak niestety, matka sama w walizę układa bieliznę, czyszcza na gwałt benzyną garderobę, znoszą pudełka z wiktuałami i zarzynają parę kogutów na drogę.

Oprócz tego dostaje się od matki sakiewkę z dwoma srebrnymi guldenami „na śliwki” i sukienne kamasze, a od sióstr piórniki i kałamarz z maszynką. Ojciec tymczasem przechadza się po pokoju i zrzędzi, jak to zwykle czynią ojcowie, gdy synów do szkół wyprawiają. A ucz się, powiada, ucz, to dla twojego dobra, jak się nie będziesz uczyć, pójdiesz gęsi paść; patrz, Józek młodszy od ciebie o rok, a już idzie do trzeciej, a ty co? No, zresztą napiszę do profesora, jak

będzie z ciebie zadowolony, przyjedziesz na Boże Narodzenie.

Łzy poczynają się kręcić, a matka dodaje:

— Przecież ci nie jest tak źle u profesora, masz w niedzielę i czwartek cztery potrawy i „wymówione“ drugie śniadanie mięsne, nie obdzieraj się, ucz, a ja ręczę za Boże Narodzenie.

— E, kiedy to będzie — bąka się pod nosem i wybiega do ogrodu.

Wszystko wygląda w tej chwili czarno i ponuro. I świat cały i katapulka — a słowa: ucz się, bo będziesz gęsi paść, dzwonią w uszach. Ouwa — myśli się — to będę, nie chcę ani czwartej potrawy dwa razy na tydzień, ani Bożego Narodzenia, pójdę w las i będę rozbójnikiem. Chwyta się więc kawałek kija, ścina bez miłosierdzia w prawo i w lewo trawę i burzany, rzuca kamieniem za kotem i kopie nogą spokojnie leżącego pod domem Brysia.

W takich czarnych chwilach życia Opatrzność zsyła zwykle przyjaciół.

— Co sobie z tego robisz — mówi Antek — pojedziemy, no, to pojedziemy, wielka rzecz, albo to człowiekowi pierwszy raz, czy co?

Kiwa się wtedy na to filozoficznie głową i pokazuje otrzymane efekta.

Przyjaciel z miną znawcy ogląda wszystko po kolei, a kałamarz widocznie przypada mu naj-

więcej do gustu — dodaje jednak obojętnie: Wiesz co, ten kałamarz „niezdały,“ facyendujmy, dam ci mój stary, trzy „kolkomanki,“ a jak dodasz dwa „szuple,“ pozwolę ci przez miesiąc odpisywać pre-paracyę.

Po facjendzie, w trakcie której i piórnik zmienił właściciela, uspokoiwszy się trochę, powraca się do domu. Bez najmniejszego smaku jednak zjada się kolacyę i ulubioną potrawę, którą podają na ostatek, żegna się i całuje po x razy z wszystkimi, a po razy y z matką, błednie się i czerwienieje naprzemiany, wreszcie mówią: Idź spać, jutro bardzo rano potrzeba wstawać. Wojciech cię zbudzi.

Wszystko jedno teraz, niech budzi! Z rezygnacyą udaje się na spoczynek, chowa się głowę pod poduszkę i poczyną się... płakać, gorzko płakać. Poczem w przystępie rozpaczy modli się gorąco prosząc o deszcz, o nawałnicę, żeby coś się urwało, coś pękło, szkoła zapadła lub świat wyrócił do góry nogami.

Wreszcie zasypia się snem gorączkowym, przerywanym ciągłym budzeniem i trapiąciami zmorami. Ułamki dziesiątne tańczą diabelskiego walca, w transparencie dwójek i trójek widnieje broda profesora „od greki,“ a po nad tem wszystkim unosi się ogromna góra zuienawidzonego

makaronu z powidłami. Sienne widziadła zmieniają się kolejno, jak w kalejdoskopie i po latach, po wielu jeszcze latach w sennych rojeniach nad słuchuje się, czy ten stary Wojciech nie przyjdzie i nie powie:

— Paniczu proszę wstawać, konie już zaprężone.

Five o'clock tea.

Rauty już spowszechniały. Raut urzęduje teraz każdy, poczynawszy od najniższych nizin *peoplu*, aż do najwyższych wyżyn *high-lifu*.

Raut przeznaczony jest na nudzenie i poziewanie przy akompaniamencie śpiewu, deklamacyi i fortepianu z dodatkiem herbaty z tartinami — *five o'clock tea* obliczony jest na czystą konwersacyę z czystą herbatą.

Five o'clock zatem jest więcej modny i więcej angielski, przychodzi się i odchodzi bez żadnej żenady, jak z restauracyi do kawiarni i na odwrót.

Właśnie tej mała skomplikowanej prostocie nasładowania Albionu zawdzięcza on swoje powodzenie. Ogłasza się wszystkim znajomym, że przyjmuje się raz na tydzień między czwartą a szóstą, każe się nastawiać wielki samowar i ku-

puje się „paluszków“ za całego guldena. W czterech kątach ustawia się fikusy, filodendry i glosynje, na stole rozrzuca się albumy z fotografiami piękności krajowych i zagranicznych i zawiesza się sensacyjną reprodukcję z obrazów Giordana, Veroneza lub Cignanigo.

Dla silniejszego wrażenia *haut goût* w klubie kwiatów umieszcza się gipsowe grupy Amora z Psyche lub Venus z Kupidynkiem, które obrzuca się wachlarzem Mikado. Następnie gospodyni ubiera oryginalny jaki kostyum lub bluzkę w kwiaty, układa się na szeslongu, bierze do rąk nową powieść Guy-Maupassanta, męża wysyła na spacer a lokaja stawia przy drzwiach.

Z reguły wchodzi pierwsza jedna z przyjaciółek. Ściskają się serdecznie po x razy i ubolewają nad sobą. Gospodyni nad problematycznym złym stanem zdrowia przyjaciółki, która wygląda blado — a przyjaciółka nad źle skrojoną bluzką gospodyni.

Następnie przychodzą mamy z trzema córkami, z dwiema, z jedną — jak Bóg dał — i młodzi ludzie przypominający nonszalansją i swobodą ruchów kwaków, po czwartym kieliszku whisky. Później nadjeżdżają ekwipażem dwie damy z bardzo „wysokiego“ towarzystwa. i einszpenerami kilku panów, znakomitości, każdy w swoim

rodzaju. Towarzystwo wraz z gospodynią czuje, że świeży ten transport jest *great attraction* i osiã, około której cały *five o' clock* się obraca. Ponieważ salon jest już tak napełniony, jak wagon podczas wycieczki do Zimnej wody, więc następuje z porządku rzeczy libacya herbaciana i kruszenie „paluszków“ — a jegomość, trudniący się kolportowaniem nowin, występuje z świeżą wiadomościã jakichś zaręczyn, pojedynku lub skandalu.

Towarzystwo wyraża swoje zadziwienie z tego powodu okrzykami: „nie może być gdzie? jak? kiedy? ktoby się tego spodziewał! i ostatecznie znachodzi się jakieś *votum separatum*: to bajki! Jako piekąca kwestya występuje omówienie tej *cause celebre* i działających w niej czynników. Towarzystwo dzieli się na partye; jedni ojmują ją ze stanowiska psychicznego, drudzy materjalnego, inni fizjologicznego, a inni znów indyferentnego. Podczas tego dwóch bładych młodzieńców okazuje w sposób dość żywy i wyraźny swoje sympaty dwom anemicznym pannom, co znów sprowadza żywe i wyraźne nieukontentowanie na oblicza dwóch hipertroficznych mam i jednego apoplektycznego papy.

Z kolei rzeczy temat rozmowy zwraca się na politykę. Damy dzielają w zupełności poli-

tykę pawilonu, solidaryzują się z Boulangerem i kruszą kopię o Natalję, podczas gdy panowie biorą w obronę Milana i przepowiadają wojnę europejską. Następnie jeden z młodych ludzi występuje z śmiałą kombinacją, dotyczącą trzech gabinetów europejskich, co znów natrafia na silną opozycję dżentelmena w ciemnych okularach.

Konwersya poczyna się ożywiać i dochodzi do punktu kulminacyjnego, co z małemi zmianami robi wrażenie meetingu anarchistów w hydenparku.

Z porządku rzeczy jedna z dam objaśnia misterje sporządzania kulebiaki lub kołdunów litewskich, a jednocześnie druga unosi się nad dopiero co widzianym na wystawie sklepowej kostyumem Georgette lub Alice, podczas gdy część towarzystwa krytykuje nową primadonnę i debatuje nad muzyką przyszłości.

Wreszcie jeden z panów przypomina sobie, że ma *rendez vous* z adwokatem w klubie, jedna z pań powstaje, bo ma jeszcze trzy wizyty do zrobienia, a apoplektyczny jegomość konstatuje wściekłe gorąco.

Poczem następuje suwanie fotelami, szelszczenie sukni, szukanie narzutek i zapewnienia przyjaźni.

W salonie robi się cicho, lokaj z namaszczeniem zbiera filiżanki, gospodyni zagłębia się na seryo w Guy Maupassancie, fikusy i filodendry z gorąca opuszczają liście, krople deszczu marcowego biją o szyby okien, podczas gdy w kącie interesujący Amor zasłuchanej Psyche opowiada rozmaite ciekawe historie...

Na wystawie obrazów.

Godzina dwunasta w południe, przy kasie wystawy kilka osób, przy wejściu małe nieporozumienie między bileterem a rodziną państwa Dattelzweig.

Bileter: Mały panicz nie ma karty wstępu, bez biletu nie wolno!

Pani Dattelzweig: Co nie ma biletu, co znaczy nie ma biletu? To małe dziecko, dwanaście lat, ono nie rozumie... (Następuje narada pani Dattelzweig z mężem, wreszcie kupują bilet dla syna).

Bileter do pana Dattelzweig: Z łaską także nie wolno wchodzić, proszę łaskę tutaj zostawić.

Pan Dattelzweig: Co to nie wolno? Wie heist nie wolno? Ja bilet zapłacił! To moja łaska? Po krótkiej certacyi, zostawia łaskę i wchodzi do sali.

W sali przed obrazem „Rycerz średniowieczny“ na pierwszym planie grupa z kilku osób,

elegant, jegomość w okularach i jegomość w cwikierze.

Elegant: Co za pyszny obraz! Jaka gra barw, jakie świetne udrapowanie płaszcza, a to wcięcie rękawów! pi, pi, pi!

Jegomość w okularach do jegomości w cwikierze: To jakiś niepospolity znawca, pewnie malarz.

Jegomość w cwikierze: Ale co za malarz, to nie malarz.

Jegomość w okularach: Założmy się o butelkę tokaja, mówię ci, że malarz, ja się znam na ludziach, (do eleganta) prawda, że pan dobrodziej malarz? ja zaraz to odgadłem!

Elegant: Broń Boże, panie dobrodziej, jestem krawcem, właścicielem magazynu przy ulicy Migdałowej liczba 37, polecam się panu dobrodziejowi.

Jegomość w cwikierze zaciera ręce, jegomość w okularach mruczając, przechodzi do dalszego obrazu pod tyt.: „Kąpiące się kobiety,“ którym zachwyca się dwóch gimnazjalistów:

Gimnazjalista I.: Hi, hi, hi.

Gimnazjalista II.: He, he, he.

Gimnazjalista I.: Patrz Józiu! To ciekawe co?

Gimnazjalista II.: I jak! to się rozumie...

Jegomość w okularach: A kawaler z której klasy?

Gimnazjalista I.: Albo z klasy, albo i nie.

Gimnazjalista II.: (zdekoncertowany po cielu do drugiego). Chodźmy, to jakiś profesor.

Gimnazjalista I.: (patrząc z pod oka na jegomością w okularach). Może być, chodźmy dalej. Przechodzą do obrazu, przed którym grono złożone z blagiera, mamy i dwóch podlotków.

Blagier: Jestem tu, prawdę powieźdźiawszy, tak jak w domu, oprowadzę panie po sali, zresztą kto zna, tak jak ja, na palcach obie pinakoteki w Monachium, palazzo di Brera w Medyolanie, galeryę drezdeńską, wiedeński Künstlerhaus, to nie jedno może objaśnić, (ziewa).

Mama: (z wdziękiem) I owszem, będziemy panu moeno obowiązane.

Blagier: (przybierając pozę guida) Patrzcie panie, to Stefan Batory pod Pskowem, oryginał Siemiradzkiego, wprawdzie „impasta“ liche, ale za to „reflexa“ wyborne! wyborne! (Podlotki się śmieją).

Podlotek I.: (śmiejąc się ciągle) Pan żartuje, Batory przecież Matejki, nie Siemiradzkiego (patrząc do katalogu), zresztą to jest Szcernera „Pancerny eskortujący podwoły“.

Blagier: (zmieszany) Pomyłka w katalogu.

Mama: Jak pan Alfred mówi Mańciu, że to Batory, to pewnie Botory, on pewnie lepiej wie od ciebie...

Blagier (nie zbity z tropu ciągnie dalej wskazując na następny obraz): To kopia obrazu, którego oryginał widziałem w galeryi drezdeńskiej „Pallavicino“. Przed tym obrazem widziałem, jak ludzie z zachwytu umierali, jest to dowód do czego może prawdziwy entuzyazm dla piękna w sztuce doprowadzić. Daję paniom słowo honoru, poznałem Anglika, który stał przed oryginałem tego obrazu z rzędu przez cztery godziny, potem wyjął rewolwer z kieszeni i w łeb sobie strzelił w moich oczach.

Mama: Ach, co za nieszczęście, okropność! (podlotki zachodzą się od śmiechu).

Podlotek I.: I cóż z nim się stało dalej.

Blagier: Wynieśli go z sali, ale od tego czasu przy wchodzie do tej sali osobna komisya rewiduje wchodzących, czy nie ma kto przy sobie rewolweru...

Podlotek II.: Ach, patrz mamó, jaka pyszna szarża kawaleryi, jakie lśniące zbroje i pyszni husarzy na koniach.

Blagier: To samo widziałem w galeryi w Paryżu, obrazek Meisoniera na główce od szpilki, powiadam państwu rzecz nie widziana (podlotki

śmiejąc się podchodzą do sztalugi, przy której dwóch malarzy zajętych pracą rozmawia).

Malarz I.: Nieprawdaż, że wiele postąpiłem, drugie posiedzenie dopiero, chciałem ją robić siedząco, ale uparła się koniecznie w pozie Magdaleny pokutującej.

Malarz II.: Ale cóż tu robisz, kopiujesz?

Malarz I.: Zdejmuję z tego obrazu tylko potrzebne akcesoria.

Malarz II. (przypatrując się): Noga lewa za krótka, nałóż więcej „krapplacku“, podmaluj dół „vermillonem“, na suknię nie trza żałować „terra di siena.“

Ponieważ nadchodzi znajome towarzystwo z arystokracji, obaj malarze kłaniają się głęboko.

Arystokrata-konesor (przypatrując się obrazowi): Nie źle, nie źle. Wenecjanie mają koloryt, Niderlandczycy sentymentalizm, Niemcy smak, a wy Polacy, trza przyznać, że posiadacie smak i poprawność rysunku, ale zawsze macie swoje „ale“, nieprawdaż hrabino?

Hrabina (do córki patrzącej na grupę robót z terracoty): Może sobie kupisz Lili jaki l' „article de Paris“, może jest jaki wazonik na kwiaty? Ale, ale, panie Pędzłowicz (do malarza), czy pan malujesz konie, chciałabym, byś pan odmalował mego „Bisportera.“

Malarz I.: Chyba później pani hrabino, teraz właśnie robię portret męża pani hrabiny...

Hrabina (podechodząc do grupy rzeźb i patrząc na amora): Ach, veritable cupido qui lance des flechés.

Przed tą samą grupą przypatrując się Wernerze stoją pan Walenty, pani Onufrowa i panna Marcela.

Pan Walenty: Niech się panna Marcela popatrzy, to wart widzieć.

Panna Marcela (zakrywając oczy): A fe! takie brzydkie.

Pani Onufrowa: To jakaś święta (żegna się).

Pan Walenty: E, to nie święta, za dawnych czasów to „wszystkie“ ludzie tak chodzili, (z miną znawcy) to jest tylko taka figura, ale ładna, prawda?

Panna Marcella (patrzac na podłogę): Panu Walentemu to tylko takie figury w głowie, ot lepiej chodźmy patrzeć na ten wielki obraz, jak na takie szkaradziństwo.

Na lewo w kącie obraz wielkich rozmiarów „Apollo i 9 muz na Parnasie“, przed nim facet z młodą damą.

Facet (z roztargnieniem): Piękne muzy, aż miło popatrzeć.

Młoda dama: Apollo piękniejszy.

Facet (rozglądając się dokoła): Ale tam za tem przepierzeniem obrazów w kącie, tam śliczny obraz „Neapolitańczyk“, chodź pani pokażę ci.

Młoda dama: Kiedy bo.

Facet (nalegając): Nie ma żadnych „bo“, co za „bo“?

Młoda dama: Kiedy bo tam nie ma nikogo, (po namyśle) Ja wiem... pan chcesz uścisnąć, nie pójdę.

Facet (zmieszany): Gdzieżbym śmiał...

Idą za przepierzenie oglądać „Neapolitańczyka“, daje się słyszeć echo całusa i jednocześnie rozlega się odgłos silnego policzka, facet suwa nogami i chrząka, facetka wychodzi zaperzona i staje przed „Burzą na morzu“ podczas gdy facet w milezeniu ogląda „Ruiny Teb“. (Nadchodzi dozorca).

Dozorca (patrzac z pod oka): Już czwarta godzina, proszę państwa będziemy zamykać wystawę.

Z GALERYI GOGÓW.

Gogo obywatel.

Czy istniały dawniej gogi, -- jakiego były pokroju, co robiły, czem się żywiły, w co ubierały, są to pytania, na które jedynie badacz przeszłości jasną i sumienną może dać odpowiedź.

Że zaś ze wszystkich trybów i czasów, zawsze najwięcej mię obchodził czas terażniejszy, więc pióro moje poświęcam gogom obecnej chwili. Odgrzebywanie zaś zamierzchłej postaci tego samego gatunku pozostawiam szanownemu panu S. P., który raz jako historyk ma predylekcyę do przeszłości a po drugie jako dobry kolega nie odmówi mi tej drobnej przysługi i z pleśni dziejów i z archiwum napaczulowanych *billets d'amour* wykroi takiego goga przeszłości, że nie wątpię, iż renesans i rokoko ubiegłych wieków będą wyrazem najświeższej mody wiosennej.

Co się tyczy goga terażniejszości, którego synonima pschut, vlan, incroyable, kursują po

Europie, w naszym zakątku, dzieli się na najdrobniejsze nianse, które znów w najwybitniejszych okazach występują jako: gogo obywatel, gogo urzędnik, gogo dziennikarz, ruski gogo i żydowski gogo.

Biorąc rzecz z tego samego punktu wyjścia, co mamy, mające córki na wydaniu, przyjdziemy do przekonania, że ziemia ze wszystkich marnych ruchomości i nieruchomości ma najwięcej racyi bytu i ani ogień ani woda, jej nie zabierze, tem samem gogo obywatel jako intabulowany właściciel tejże, winien wszędzie stać na pierwszym planie i jako taki rozpocząć galeryę.

A więc pierwsze chwile żywota spędza tak samo jak i inne gogi nieobywatele.

Natura i losy są mu w początkach dosyć łaskawe i z miejsca otrzymuje trzy rzeczy, które w późniejszym życiu okazują się nadzwyczaj przydatne: dobre imię, dobry żołądek i dobry majątek, które niestety nieraz gubi po kolei.

W każdym razie jednak chodzi do szkoły, nosi aksamitny tużurek, smaruje włosy olejkiem peruwiańskim, „stoi na stancyi“ u profesora i z powodu słabej konstytucyi na śniadanie zamiast chleba z masłem dostaje befsztyka. W epoce tej poczyna czytać romanse Kocka, odwiedza cukiernie i komplety, co go jednakże usprawiedliwia,

że Seyllę i Charybdę egzaminu dojrzałości przechodzi w dwudziestą drugą lub trzecią wiosnę.

Następnie na wakacjach zakochuje się na zabój w popadiance lub ekonomównie, poczem powraca do miasta, zapisuje się na prawo, chodzi na lewo i kupuje cylinder, monokl, parę czerwonych rękawiczek i laskę z ogromną gałą z lapis lazuli.

W okresie tym zapoznaje się z panami Szwarzwaldem, Bergerem i Blumfiszem, którzy mu umożliwiają wyrugowanie z serca nadobnej popadianki i oddawanie hołdów salonowej subrette pannie Champagner-Florze i międzynarodowej śpiewaczce pani Jenny Gesang.

Będąc z natury ciekawym i dosyć pojętym, w krótkim czasie zaznajamia się z misterjami djabła i bakarata, przyczem w wolnych chwilach od powyższych zajęć od czasu do czasu nie omieszkuje zaglądnąć na wykłady, gdzie kraciastym garniturem, pстрыm krawatem i wonią Ylang-Ylangu działa na nerwy kilku źle ubranych i rozczochranych kolegów, żywiących uczucia socjałdemokratyczne, których wcale nie starają się ukryć. Niedobrane sąsiedztwo towarzyszy, zmora egzaminów i zapoznanie powołania składają się w rezultacie na niezłomne postanowienie puszczenia praw „w trąbę“ i pędzenia odtąd całkiem regularnego żywota, wypełnionego mozaiką kart,

bukietów, weksli, szampanów, rautów u pp. Rauchów, przeplatanej od czasu do czasu kilku doszłymi i niedoszłymi pojedynkami.

Ascetyczne te ćwiczenia nie przeszkają jednak panom Bergerowi et consortes do składania coraz częstszych odwiedzin i żądania z niezwykłą u tak uczynnych ludzi impertynencyą i każdym razem podwojoną natarczywością zwrotu udzielonych subwencyi.

W uzupełnieniu powyższych faktów następują długie rokowania urozmaicone krzykiem i hałasem, które w ostatecznych wynikach kończą się kolejnem strąceniem pojedynczych finansistów z pierwszego piętra na mezanin i bezzwłocznym wyjazdem goga na wieś.

Ponieważ zaś instytucya poczt z niezwykłą gorliwością doręcza listy rekomendowane adresatom, więc pewnego poranku list adresowany do młodego pana dostaje się do starego, skutkiem czego dzieją się okropne rzeczy w kronikach familijnych zapisane w czarnej księdze. Następnie gogo otrzymuje kondolencyjne posłuchanie u mamy, na którem mówi wiele o psim życiu, zaznacza niesłychaną srogość papy i niechęć napomyka o istnieniu sześciustrzałowych rewolwerów o powzięciu pewnego zamiaru do wykonania, od którego nie go nie jest odwieść wstanie.

W kolei piętrzących się kwasów i nieporozumień, mama podejmuje się misji pacyfikacyjnej, odbywa na „własną rękę“ dłuższą konferencyę z papą, wynikiem której gogo otrzymuje zrealizowaną za kilkaset korcy zboża gotówkę, poczem natychmiastowo wyjeżdża napowrót do miasta, gdzie przyjmuje grooma, kupuje karykiel, parę koni, pineza i dogę, których z namaszczeniem obwozi po wszystkich ulicach miasta. Podobne krotochwilne a sporadyczne żarty poczynają nudzić starego, porzuca więc żmudną posadę kasjera w wydziale finansów synowskich, robi „ogólny szlus“ i oddaje Bogu ducha a synowi wieś i klucze od wertheimowskiej kasy.

Gdy zaś powszechnie wiadomą jest rzeczą, że objęcie majątku na siebie, połączone jest z wielu niedogodnościami, gogo więc do porania się z notaryuszami, sądami i bankami, uprasza adwokata przyjaciela, przy pomocy którego robi świetny interes z konwersyą, zaciąga dwie pożyczki: na weksel jeeną, na hypotekę drugą, czem wszystkim niezwykle utrudzony, wyjeżdża dla odpoczynku do Monaco i Nicei.

W miejscowościach tak przyjemnych i poświęconych li zabawie, gogo nie zapomina o realnej stronie życia i grając z zmiennem szczęściem w trente et quarante w towarzystwie aczkolwiek bardzo młodej, jednak nadzwyczaj milej i szla-

chetnej damy, w przeciągu dwóch lat uwalnia się od troski zarządu wsią i kapitałami, i bogaty w doświadczenia powraca do kraju.

Chęć pracy dla dobra kraju i silne postanowienie kroczenia odtąd po utartej drodze cnoty, powodują go do starania się o rękę bardzo bogatych, bogatych i mniej bogatych dziedziczek, każdym razem jednak z o tyle stanowczym o ile niepomyślnym skutkiem.

Niezrażony niepowodzeniami przy szeroko rozgałęzionych stosunkach, koneksjach i koligacjach, otrzymuje chwilową synekurę w jednej z licznych krajowych instytucyj, przyczem pozostałe wolne chwile poświęca zastępstwu rozmaitych firm miejscowych i zagranicznych, oraz rozmaitym oryginalnym inowacyom o kierunku ściśle finansowym. Ponieważ podobny tryb życia mekoniecznie odpowiada pojęciom rodowym, tradycjom i szerokim planom goga, przerzuca się więc na inne pole działalności i udaje na Podole, Ukrainę i Wołyń, do mało znanych wprawdzie i dalekich, lecz za to bardzo bogatych krewnych, gdzie dokłada wszelkich starań w celu zebrania spółki akcyjnej do eksploatacyi rubinów, szmaragdów i topazów w południowej Ameryce.

Wziąwszy jednak na uwagę, że podobne przedsiębiorstwa przy najgenialniejszych pomysłach wymagają jakiej takiej forsy kapitału, gogo

w wyczekiwaniu tegoż, bawi tymczasowo dzieci, aranżuje majówki, grywa do tańca i wieczorami rozwesela towarzystwo opowiadaniem ciekawych zajmujących i niezawsze wesołych epizodów o Monaco trente quarante i szlachetnej młodej damie, które od czasu do czasu przerywa jedynie westchnienie litościwej słuchaczki poczciwy gogo! biedny gogo!

Ruski gogo.

Rozpoczyna karierę w gimnazyum w Brzeżanach, Stanisławowie lub Buczaczu. W czasie tym urządza profesorom na imieniny huczne owa-cye, tańczy znakomicie kozaka i kołomyjkę, przy-czem nadzwyczajnie wyśpiewuje piosnki *Handzia Siasio*, *Handzia Ptyczka* i *Ne chody Hryciu na Weczernyciu*. Z natury jest uparty, osrożny i po-dejrzliwy, co mu jednocześnie nie przeszkadza być marzycielskiego i kochliwego usposobienia, z któ-rego to powodu tworzy niesłychaną moc piosnek o kozakach, krasawicach, hołubach i sokołykach, które wraz z primawerą uczuć ofiaruje z pomyśl-nym skutkiem nadobnej profesorowej.

Od kolegów wyróżnia się noszeniem kołpaka z niebieskiem denkiem, czerwonym krawatem, „szlukowaniem“ damencygaretów i predylekcyą do niemieckich makaronizmów i fonetyki. Ponie-waż ojciec, brat i dwóch szwagrów poświęcili się

stanowi duchownemu, ulegając więc życzeniom familji, wstępuje po złożeniu matury jako alumnus do seminaryum, zkąd przekonawszy się, że jest więcej *kosmopolit* jak *ortodoks*, przenosi się na Wydział prawniczy.

Biorąc na uwagę, że przy skromnych dochodach ma wygórowane wymogi w zakresie garderoby i światowych przyjemności, stara się zatem o powiększenie budżetu finansowego, co mu się udaje, otrzymawszy za protekcją kolatora intratną posadę domowego dyrektora do dwóch malców w „hrabskim“ domu.

Wkładając w ciasne głowy hrabiczów tajniki konjugacyi i deklinacyi i wykręcając im z całą sumiennością uszy w rozmaitych kierunkach, nabiera sam manier arystokratycznych, manifestujących się mrużeniem oczu, cedzeniem od niechęcia górnolotnych frazesów, przekładaniem nogi na nogę i sowitem zlewaniem się perfumą różaną.

Nie zapomina przytem o sposobności nabrania elegancyi i obznajomienia się z mysteryami jedzenia karczochów, posługiwania się jedynie widelcem przy rybnie i używania płukanek z miewotową esencją po obiedzie.

Stosując się do życzenia pani hrabiny, która przekonawszy się, że pan dyrektor powyższe ope-

racye wykonuje bez zarzutu i że jest o tyle dobrze, że można mu bez obawy poruczyć pieczę nad paniczami, odwiedza wraz z tymi teatry i koncerta, uczy się lansiera, jeździ zimą na ślizgawkę a latem „na bandę“ do jezuickiego ogrodu i na wszystkie festyny.

Ponieważ zaś wśród konwenansów stolicy i etykiety salonów, pana dyrektora ogarnia nagle tęsknota za domem i czarnobrewą Roksolaną gdzieś nad brzegami Dniestru lub Bystrzycy, z której to przyczyny hrabieze mają coraz częściej większe uszy i coraz gorszą promocyę, więc pewnego poranku pan dyrektor po scenie z panią hrabiną dostaje *laufpas* i wyjeżdża na wieś.

W zaciszu domowem kokietuje Ołenki i Paraski, które na umizgi odpowiadają: „ihi, fajny panycz“, jeździ po praznikach, na których do upadłego tańczy *trysawyciu* i *glatte polka*, gra ze zmiennem szczęściem z alumnami w „grad i ungrad“ i w ferbla „na oczka“, oraz opowiada cuda o salonach, koneksyach i życiu wielkopańskim.

Z powrotem do stolicy, uwozi z sobą serca dwóch panien, z których z reguły jedna jest zawsze bardzo brzydką córką, bardzo bogatego parocha, podczas gdy druga jest o tyle czarnobrewą krasawicą, o ile biedną jedynaczką proboszcza li-chej górskiej parafji.

Nie mogąc pogodzić obu kombinacji, kładzie krzyżyk na obie, przysiąda fałdów, zdaje egzamina i oddaje się karyerze rządowej.

Jako urzędnik lansuje się w świat, uczęszcza na wieczorki wełniane w Narodnym Domu i bywa na „sobranjach russkich dam“, gdzie zużytkowuje salonowe maniery, olśniewa szykiem i elegancją, rozsiewając zarazem woń rozmaitych perfum.

Mimo, że mu zarzucają, że *macht sich wichtig* czyli *wyłyczajet sia*, jest great attraction wszelkich zebrań towarzyskich i przedmiotem adoracyi mam, mających córki na wydaniu.

Ponieważ niemożliwą jest rzeczą, by tyle nagromadzonych razem przymiotów w jednej osobie przeszło bez spostrzeżenia, więc doznając coraz częstszych objawów przychylności ze strony płci pięknej i dostawszy adjutum, otrzymuje rękę córki „obera“ lub „hofrata“ wraz z „hriszmy“, których wyrazem w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest *zehn tausend*.

Połowa powyższej sumy z miejsca zostaje użytą na spłacenie kawalerskich długów, podczas gdy druga służy do ufundowania szczęścia małżeńskiego.

Płynąc po fali życia i krocząc po szczeblach hierarchicznych, wiedziony więcej ambicją jak przekonaniem, był lew „weczernyć“ rzuca się na arenę życia politycznego lawiruje jako „fuchs“

vulgo „feinmeister“ w charakterze kandydata na posła a doznawszy porażki, cofa się w zacisze domowe, tyje, łysieje i wieczorami chodzi pod „gruszkę“ na piwo, przy którym opowiada ciekawe historye o swoich świetnych „verhältnisach familijnych“ i scenie z hrabiną.

Gdy zaś zdarzy się sposobność, że się ozwą skoczne dźwięki „tremlamki“, zapomina o powadze stanowiska, muska wąsy, uśmiecha się i rusza w tany, „denn howorit szczo hoczete, polka ist mein tanz“.

Gogo żydowski.

Czy gogo żydowski istniał za panowania Ptolomeuszów lub Seleucydów, czy pojawił się dopiero pod Machabeuszami, czy bywał na świętnych rautach u kōła Antyocha i na sto ośmdziesiąt dni trwającym balu w Suzan u króla Aswera, o tem ani historyya ani pisma mędrców nie czynią najmniejszej wzmianki.

Pewnem prawie natomiast jest przypuszczenie, że ani prorokowi Eliaszowi, ani mniejszym, jak Joelowi, Abdjaszowi, Nahumowi i innym, nie śniło się nawet, że z okazji noszącego poważny strój wschodu, metarmofozą w biegu wieków, wyłoni się barwny motyl w eleganckim francuskim kostyumie, którego sposób życia, obyczaje i pojęcia niekoniecznie licują z przepisami starego testamentu. W każdym razie choćby pan Peplowski historycznemi dowodami uzasadnił, że powyższe moje przypuszczenie jest mylnem, nikt mi tego

nie zaprzeczy, że żydowskie gogałko w obecnej fazie nie chodzi do „chajderu“, ryży „mełamed“ wraz z „belferem“ nie darzą go w bok kuksami, i że w torebce jego, między zeszytami, zamiast koszerne go gugła spoczywa o tyle trefny o ile smaczny kawałek kielbasy.

Stanowczo dalej twierdzą, że chodząc do gymnazyum i nazywając się Guszczem, Fredżem lub Leoszem uczy się po francusku, a idiomy matematyki i gramatyczne tajniki lżej mu nieraz leżą do głowy juk Guścłowi, Fredziowi lub Leosiowi.

Wiadomości tu zdobyte, że Heine, Boerne, Mendelsohn byli żydami, i że lord Beaconsfield i baron Rotszyld także nie wyparli się swego pochodzenia, wprawdzie napęlniają go dumą, lecz mimo to nie umoralniają go go tego stopnia, by się wyrzekł przyjemności wpisania w rodowodzie w rubryce wyznania apostatycznego aksjomatu *konfessionsles*.

Poczawszy ezuć i działać samodzielnie w realnem życiu rozdrabia się na pojedyncze odcienia jak gogo jurysta, gogo kantorowicz, gogo szreibjingeles, gogo komiwojażer i stojący o dziesięć stopni niżej zwykły brukowy gogo szmajgeles.

Abstrahując wybór zawodu, czy chodzi na prawa i po pierwszym rygorosum na biletach pisze *Doctorand*, czy gra na hausse lub baisse, czy

emanuje sążniste artykuły, czy rozwozi próbki czy nie nie robi i zbija bruki, w ogólnej charakterystyce ma zawsze coś wspólnego.

I tak w chaotycznym konglomeracie wad przymiotów, łączy powagę z lekkomyślnością, donjuanizm z refleksją, elegancję z arogancją, rozwagę z namiętnością, uśmiech sarkatyczny z grymasem nonszalansyi.

W wymowie wchodzi często w konflikt z literą „r“.

Ubiera się podług ostatniej mody, trochę nieraz przesadnie, lecz prawie zawsze u krawca katolickiego, a wytworności kostyumu z reguły nie zapomina dodać subtelnej woni, zlewając okolicie butoniery pachnącym ekstraktem.

W kosmopolitycznym zastępie gogów, równouprawienie zdobywa przebojem, nie szuka tamże interesu materjalnego (coby było nieraz rzeczą niemożliwą), lecz po prostu chodzi mu o zadanie szyku i dogodzenie próżności, przyczem nie jedną gorzką połyka pigułkę.

Uczęszcza do wszystkich eleganckich, modnych, publicznych lokali, w których się nie rujnuje, pije małą kawę lub zjada poledwicę z ruskim kompotem, z przeświadczeniem użycia, przy której to sposobności nie zaniedbuje głośno krzyczeć i gromić służbę.

Lubi nadzwyczaj spektakle w rodzaju jak orfea, tingl-tangle itp., gdzie kapłankę podkasanej muzy, darzy sówiciej oklaskami, jak sokiem wy-ciśnionym z jagód szampańskich.

W wyjątkowych okolicznościach, w których mu podchlebia żeby go widziano, okazuje się „honet“ aż do rozrzutności, poczem jednakże chwilowy poryw w kierunku trufl, pasztetów i „St. Marceaux,“ odbija w budżecie oszczędnościami przez miesiąc „rosółflajszem“.

Mimo, że w głębi duszy nie podziela przekonañ Rollinga, motłochu żydowskiego nie znosi, i często daje się słyszeć ze zdaniem: Ten żyd, ten obrzydliwy szachraj żyd!

W złości przez zapomnienie zdarzy mu się czasem, że zaklnie tak samo, jak zwykły ganef.

Literaturę przodków jak Pentateuch, księgi obu testamentów i pisma tałmudu, ignoruje, przeprenosi nad nie wesołe utwory Kocka i zajmujące romanse Zoli, rzadziej (lecz i to się trafia) delectuje się perłami talentu Sacher-Masocha i Emila Franzosa.

Fanatyzm hasydów przypisuje ciemnocie i brakowi wykształcenia, z rodzajem drwiącej kontemplacyi patrzy na „tałesy“ i „tefilimy,“ do synagogi z zasady nie chodzi, a tradycye i zwyczaje święcenia uroczystości obchodzi zjedzeniem ka-

wałka macy przy kieliszku „Madeiry,“ lub uczestnictwem w „Purimbalu“.

Na drzwiach mieszkania, zamiast odwiecznej „Mzuze“ z przykazaniami, przybija litografowany bilet w złociste prążki.

Mimo pańskich nawyczek i zasad, w sferach mas żydowskich nie jest uważany za „mejuches“ (arystokratę), tak, jak ten, który wywodzi się od „Levi“ i chlubi się antenatami cadyków i rabinów, lecz zyskuje pogardliwą nazwę „apikores“. Z rodziną-ortodoks ma mało styczności i chyba zaproszony na większą uroczystość familijną, wybiera się incognito do Sadagóry lub Bełza, gdzie obecnością swoją daje poznać, że nie jest w dobranem towarzystwie, co mu w kole kuzynów zjednywa epitet „a biseł meszuge“.

Ma słabostkę do kobiet, jednak serce umie trzymać na wodzy, na małżeństwo patrzy zimno i uważa je więcej jako interes i dlatego w tym kierunku dowolnie pozwala działać rodzicielom, którzy, upatrywszy „kałe“ (piękną), wiozą go do niej, gdzie za drugim widzeniem następują oświadczenia, a w ślad za temi pojawiają się w miejscowych dziennikach anonsy: „X. .fisz, Lwów i Y...gołd, Sadagóra — zaręczeniu“.

Ożeniwszy się, albo przychodzi do przekonania, że w życiu nie zawsze, jak w komedyi, jest wszystko „cymesem“ i przy fatalnym zbiegu

okoliczności można zbankrutować i zrobić „kaporeś,” albo przy szczęśliwej konjunkturze przekonuje się że w życiu lepiej, jak w komedyi, opływa w dostatki, mnoży się i kieruje swoich synów znowu na gogów, którzy w najnowszych czasach okazują, jak i inne gogi, wybitny talent do łatwego puszczenia tego w kilku latach, co ich ojcowie zbierali w kilkudziesięciu.

Z ROMANTYKI.

INSTITUT

Para oczu.

(Urywek z pamiętnika).

Męczę się i cierpię, wszystko mi dolega. Ktoś może chciałby w moich cierpieniach dopatrzyć się nadzwyczajnych boleści lub smutków — nie mam ich — cierpienia moje pochodzą od zwykłych codziennych cierni, o które jednak nie każdy się ociera. Są to ciernie moralne, raniące duszę, a stokroć gorsze i boleśnieszsze od tych, które mogą zadrasnąć ciało.

Wszystko na świecie zdaje mi się być czarnem, smutnem i złem, przeczuwam piękno, ale nie widzę go, najsilniej zaś wierzę, że dobro pochodzące z cierpienia o wiele więcej warte, jak biorące swój początek w rozkoszy. Jest to fenomenologia ducha, która postawiona przed sądem rozumu, nie jest pozbawioną podstawy i wiąże pesymistyczne przekonania z dziwnie demonicznymi upodobaniami.

Śmiecie się, a przecież tak jest.

Lubię patrzeć na twarze, które brzydą — na kwiaty, które więdną — na liście, które żółkną — na owoce dojrzałe, które opadają.

Przepadam za wyrazami smutku i zwątpienia, a nie znam większej przyjemności nad tę, gdy mi kto opowiada o swoich chorobach i dolegliwościach. Nie twierdzę, żeby obraz walki, cierpień, mąk i katuszy był mi najrozkoszniejszym widokiem, ale przyznaję się, że jest mi obojętnym. Przenoszę jęk puhacza i krakania wron nad śpiew słowika, kwiatów nie znoszę, a sielanką się brzydzę. Śmieję się wtedy, gdy powinien płakać. Nic mię nie bawi, nic mię nie cieszy, w mało co wierzę, a ciągle zadaję sobie pytanie: po co żyję i dla kogo?

Nigdy w życiu nie kochałem i nie przypominam sobie, bym co kiedykolwiek lubił, mimo to wszystkiego próbowałem i wszystkiego użyłem do przesytu. Nikomu nigdy nic w życiu dobrego nie zrobiłem — samolubem także nie jestem, bo dla siebie byłem najgorszy. Idę naprzód, byle prędzej — do końca, bez wczoraj, bez dziś, i bez jutra; nagle w drodze życia staje przedemną para oczu podobnych jak miliony innych, które Pan Bóg stworzył, a jednak tak dziwnych — że stają jak wryty i patrzę za nimi jak zbłąkany po-

dróżny wśród puszczy bezbrzeżnej za gwiazdę przewodnią.

Śmieszny jestem! co mnie mogą te oczy obchodzić? Kto je postawił na drodze mojej? Czego chcą odemnie?

Bezsilny urągam przeznaczeniom!

Wszystko wiruje ze mną i wszędzie w powietrzu, w wodzie, ogniu i na ziemi widzę te same oczy wszędzie i zawsze tak blisko, wszędzie i zawsze te same. Próbuję kontrabandę optymistyczną wyrzucić, — napróżno!

By się przekonać czy to nie jest snem, kłuję się szpilką, — rzeczywistość!

Szukam zapomnienia w księgach mądrości, skaczą figlarnie z karty na kartę — chcą je zatopić w kielichu, wyzierają ciekawie aż z samego dna.

Pytam się ludzi o powód — śmieją się ze mnie, biegnę po radę do uczonych, kiwają głowami.

Co to jest, co ma znaczyć? Może jestem chory? — Nie.

Skarzę się gwiazdom, lecz i te sprzysiężone z pośród stropu wysuwają to samo widziadło — a jednocześnie czuję, że coś odurzającego, o upajającej woni, promiennym blasku, chwytą mię, oślepia i ubezwładnia...

Z śmiertelnego znudzenia, przechodzę w upojenie, z apatyi w zapal, z wstrętu w zachwyty.

Znużony przymykam powieki i usypiam. Obrzydliwy świat staje mi się rajem, kwiaty nabierają woni — anielskie pienia rozplývają się w powietrzu, jakieś nieznane głosy szepcą fantastyczną baśń miłości, a po nad tem wszystkim, wśród drżących kropel w złotych, promiennych kręgach unoszą się te same piękne, pogodne, słodkie i dobre oczy.

Boże, pozwól śnić tak przez wieki.

Bohater.

Narzekasz i utyskujesz szanowna pani, że minęły bezpowrotnie romantyczne wieki heroizmu, że nie ma dusz podniosłych, szlachetnych rycerzy, wielkich bohaterów.

Tak jest, prawda, zmaleliśmy, czuję, to sam, bardzo mi przykro — ale cóż na to poradzić — taki wiek. Nie ma Tezeuszów, którzyby szli w zapasy z Minotaurami, nie ma ani Heraklesów, ani Syzyfów, ani Tytanów. Co mówię — nie ma nawet zwykłego Orfeusza, któryby za Eurydyką wybrał się na spacer aż do piekieł.

Okropność, bohaterowie terażniejszości tak wygodni, że nawet na *rendez-vous* jadą *einszpennerem* w ciepłym paletocie z fularem na szyi, w angielskich kamaszach i Jägerowskiej koszuli.

Bez poświęcenia się, nie ma bohaterstwa; a poświęcenie musi stać przynajmniej o pół metra wyżej nad obowiązkiem.

Gdyby nie ta na pozór drobna rzecz, to na tem bogatem tle, możnaby wyrabiać bohaterów na obstalunek. Każda istota, nosząca w miejsce togi, hełmu i koturnów, cylinder, francuski garnitur i lakierki i mająca kilka stóp wysokości, jest surogatem bohatera. Zależy tylko od sosu, w jakim go podają.

W przeciągu pół godziny przy sprzyjających okolicznościach i wybujałej wyobraźni, z najlichszej kreatury da się ulepić bohater. We Włoszech robią takich bohaterów z bryganta lub lazaroną, który nic nie robi, wygrzewa się na słońcu i ma czarną rozczochraną hyrę — w Niemczech z czerwonego drymblasą, który pije antałek piwa i rachuje skrzętnie talary, we Francyi z zblazowanego faceta, w Anglii zaś z sportsmena, który nosi długie bokobrody, nic nie mówi i gdy się bardzo nudzi, to zaraz w łeb sobie pali. U nas natomiast tworzą ich albo ze zgranych do nitki hidalgów, albo z nieszczęśliwych posagowiczów.

Eksperymentacya przytem nie trudna, wymarzony duch kładzie się w najzwyczajniejsze ciało, dodaje się szczyptę *mord-skandalu*, przeciwstawia się trochę niewinnej ofiary, trochę dręczącego ciemiężcy w postaci czarnego charakteru i woła się: policaj! policaj!

Z konglomeratu tego musi wymanować się i wylęgnać bohater. Zresztą zależy także

wiele od indywidualnego zapatrywania i wyobrażenia.

Ile głów, tyle rozumów — powiada stare francuskie przysłowie.

Inaczej przedstawia bohatera Ohnet, inaczej Feuillet, inaczej pp. Abrahamowicz z Ruszkowskim, a inaczej p. Nossig — inaczej w romanse Dumas a inaczej Zola — inaczej pojmuje go w powieści historycznej u nas Sienkiewicz, a inaczej p. Krechowiecki.

Zatem bohater w komedyi, dramacie, sielance, powieści i operetce, każdy na inny upieczony sposób, a przecież każdy bohater.

Ztąd cały zastęp pozujących tuzinkowych bohaterów w codziennem życiu, których podług danego wzoru inaczej idealizuje kucharka. inaczej pensyonarka, a inaczej dama światowa.

Pani nie zaliczam do żadnej kategorii, gdyż obecnej istności bohaterów zaprzeczasz.

A przecież tak nie jest, świat uczuwa nieustanną potrzebę ideału-bohatera, dlatego namnożył ich cały zapas na rozmaity kaliber i na rozmaitą miarę.

Według zepsutego terażniejszego smaku być porządnym człowiekiem znaczy tyle, co być bohaterem — jak z drugiej znów strony może nim być lada jaki pierwszy lepszy awanturnik. W zaniechaniu ujemnych czynów, często gęsto; dopa-

trują się bohaterstwa. Pijak, który przez tydzień się nie upił, jest tak samo bohaterem, jak ten, którego postawiono na warcie przy stu guldenach i ani jednego z nich nie ukradł.

Bohatarów wyszukują dziś w walce z najniższą namiętnością, babrzą się za nimi w błocie, wygrzebują ich z śmiecia. Nerwowy i spaczony świat potrzebuje nowości, nadzwyczajności tak fizycznych jak i moralnych, umysł musi okazywać rozstrojenie, nadające się na Kulparków, a serce ma być nie sercem ale węzłem rozigranych nerwów.

Same nawet tłumy odczuwają potrzebę ideału takiego *faute de mieux* bohatera i lada waga-bunda, który się stawia na ulicy koło rynsztoku ostro policyantowi, w rozumieniu swych towarzyszy jest także bohaterem.

Malec, który profesorowi powie w szkole: ouwa! w pojęciu kolegów dostaje także aureolę bohatera.

Są to bohaterowie chwili i na poczekaniu.

Nie dziw się zatem szanowna pani, że takich bohaterów, jakich żądasz, nie ma już i w głowę zachodzę, zkądby ich wziąć.

W naszym społeczeństwie i w naszym zwykłym codziennym życiu nie ma ani takich wywrotów, ani takich okoliczności niezwykłych, ani

takich skał, któreby trzeba z posad wyrywać, ani takich smoków, które trzeba dusić.

Dziś nie ma czasu myśleć o gryfach, centaurch, turniejach i wywalczeniu trofeów, dziś kandydat na bohatera w twardej walce o byt myśli o objedzie i kolacyi. a ogromnie jest zadowolony i dumny, gdy ma cały kapelusz i całe buty.

Nie wyklucza to jednak bohaterstwa i to może większego jeszcze, aniżeli pani marzysz, ale nie jest ono ani dla teatru, ani na pokaz, ani dla poklasku tłumów.

Są pani, jeszcze bohaterowie, o których zapomniałaś — bohaterowie, o których jeden tylko Bóg wie, bohaterowie cisi bez rozgłosu, którzy dokazują cudów zwycięstwa, którzy zwalczają samych siebie, którzy krwią serca okupują poświęcenie, których bezgranicznej ofiary nie umieszczają w kronikach reporterskich świata i których czyny tylko jedni aniołowie zapisują w księgę niebieską.

Konkury przyjaciela.

Historya w części śmieszna, w części prawdziwa,
w części okropna.

Stało się to, czego się od dawna już obawiałem, — przyjaciel mój zakochał się po same uszy.

Nie koniec na tem, zrobiwszy jedno głupstwo, postanowił brnąć dalej i wielkie głupstwo ukoronować jeszcze większem, to jest małżeństwem.

Gdy mi zakomunikował tę radosną nowinę, chciałem go w pierwszej chwili udusić, po głębszym jednak namyśle uszczypnąłem go tylko porządnie. Syknął z bólu, ale zdania nie zmienił.

— Ożenię się i basta!

— A żeń się do stu kaduków! — odparłem pijąc z rzędu trzecią szklankę wody — żeń się!

Gniew nie skutkował; zacząłem zachodzić z innej mańki i postanowiłem wziąć go na

rozum i na ambicyę. Muszę dodać, że należeliśmy w tym czasie obaj do słynnego klubu „wiecznych kawalerów“.

— A więc ty, człowiek honoru — mówiłem z zapałem — tak dotrzymujesz obietnic, ty, człowiek wyższy nad zwyczaj, ty, prawie... genjusz chcesz stanąć na równym poziomie z tem pospolitym mrowiskiem ludzkim, które je, pije, płacze, całuje się i mnoży? Wstydz się, idź mi z oczu!

Tłumaczył się jak mógł, wściekłą miłością, a zagroził nawet pęknięciem serca.

Nie było rady, uważałem go za zgubionego.

— No... a ładna przynajmniej? — spytałem po chwili.

— Anioł!

— A ma co monety?

— Jest tam coś, moneta głupstwo o to się nie rozchodzi, zresztą pojedziesz ze mną w niedzielę do Cymbałkowiec na imieniny starej Liczykrupskiej, przekonasz się o wszystkim, zobaczysz pannę i pomówisz w mojem imieniu ze starym.

— A nie doczekanie twoje — zawołałem — ja miałbym pomagać przyjacielowi nóż do gardła, przykładać?... Nigdy! sto razy nigdy!

Tak to się jednak mówi, ale jak mię zaczął ścisnąć, męczyć i zaklinać w imię świętej przyjaźni — kapitulowałem i pojechałem.

Przez drogę nie zamieniliśmy z sobą ani słowa, wypiliśmy trochę wina, poczem Ferdek przymknął oczy i wyciągnął się w powozie jak długi, nie dlatego jednak, iżby miał być „zatrzęsionym“, lecz jedynie, by marzyć o swoim ideale. Kochał się biedaczysko, jak suseł!

Starzy Liczykrupscy słynęli na całą okolicę z gościnności, przyjęli nas więc jak królów, choć z radością zauważyłem, że stary kręcił trochę nosem.

W przeciągu kwadransa poznałem go na wylot, był trochę dziwakiem, miał słabość do grosiwa, a nie znosił na przechód wszelkiej literatury.

Była to jedyna deska ratunkowa, chwyciłem się więc jej jak zbawienia.

O niczem innem nie mówiłem, tylko o poezyi i najnowszych dziełach najrozmaitszej treści, a Ferdek popisywał się z całym przejęciem się tylko samymi klasykami.

Stary kręcił się jak mucha w ukropie, panna słuchała z zajęciem.

Na imię było jej Mania, zęby miała białe, cerę świeżą, usta czereśniowe, ramiona śliczne, a przez cały czas mojej obserwacji zmiatała pomadki, które jej przywiózł Ferdek w ilości, odpowiedniej jego miłości.

— A co — szepnął po chwili rozpromieniony Ferdek — jak ci się podoba?

— Dobra! — rzekłem krótko, nie mogąc wchodzić w bliższą krytykę, gdyż w salonie zaczęła zbierać się cała śmietanka miasteczkowa i kilku dygnitarzy z okolicy.

Nie zrobiliśmy wstydu stolicy, potrafilśmy się znaleźć elegancko, sędziemu mówiliśmy panie prezydencie, pocztmistrzowi panie dyrektorze, dygnitarzom panie radeo, a Ferdek uszczęśliwiony w dodatku całował wszystkie damy, nie wyłączając panien, w łapki po kolei.

Przekonałem się, że zazdrozczono go Liczykrupskim. Opowiadał anegdotki, sypał dowcipami, a trzymał się ciągle boku panny, jak pijany płotu. Tę piękną symfonię serc psuł jednak jeden dyssonans.

Zauważyłem z przyjemnością, że Ferdek ma rywała, do którego panna od czasu do czasu także oczkiem strzela.

Szczęśliwcem tym był p. Joachim Podskawkiewicz, prowizoryczny praktykant sądowy, oczekujący z całą cierpliwością rangi bezpłatnego auskultanta.

Okoliczność ta wprowadziła mnie w paradny humor, a ponieważ młodzież bawiła się wybornie bez mojej pomocy, a starsi grali w preferansa, więc korzystając z zamieszania, wysunąłem się ze

starym Liczykrupskim pod kasztany do ogrodu na papierosa.

Stary lubiał mówić wiele, obeznał mnie więc bliżej z całym towarzystwem, w krótkim czasie miałem o nich wyrobione zdanie: pocztmistrz karciarz, notariusz, niedołęga, sędzina plotkarka, a o aptekarzowej lepiej nie wspominać.

Obmówiwszy we dwójkę towarzystwo, skręciłem rozmowę na Ferdka.

— Złoty chłopiec! — rzekłem.

Stary nie nie odpowiadał, tylko pykał fajkę.

— Cóż kiedy mówią na niego takie rzeczy!...
— odezwał się po chwili:

— Cóż takiego?

— Et, lepiej nie powtarzać.

— Niech pan dobrodziej powie otwarcie co mówią.

— Nie ma co w bawełnę obwijać, mówią, ale nie rozgniewasz się pan, bo to przyjaciel pański...

— Słowo daję, że nie.

— A więc niech będzie, mówią, że — literat!

Z powiedzenia tego przekonałem się, że stary ma tyle wyobrażenia o literaturze, co koń dorożkarski o trygonometriji, z trudnością wstrzymałem się więc od śmiechu i począłem mu tłumaczyć posłannictwo wyższe literatury, mówiłem

o oświacie i arystokracji ducha i zaczępiłem o cenę wysokich honorarjów.

Stary był niewzruszony.

Zacząłem go brać na serce i napomknąłem o miłości.

Zachnął się. — Miłość, co to miłość, jaka miłość?! Literat i panna z małym posagiem, to bryndza panie, wytłumacz mu, iż z tego będą nici.

Rekuza była jasna jak na dłoni, chciałem starego uściskać.

Gdy wszedłem do salonu, Ferdek podbiegł ku mnie i schwyciwszy mię za rękę, syknął: Wiesz ona zawraca oczy do Podskakiewicza, ja go zmiążdżę, ja mu łeb roztrzaskam, ona przez niego mnie nie chce!...

— Bardzo dobrze się składa — odrzekłem — bo i stary ciebie nie chce, tylko bądź spokojny i panuj nad sobą...

— Ferdek zatrząsał się, a chcąc okazać spokój i panowanie nad sobą, rozdarł rękawiczkę na dwoje.

W tej chwili poproszono do kolacji, mnie dostało się miejsce obok jakiejś nadwerężonej zębem czasu piękności, a Ferdek z zemsty uplasował się vis-a-vis między dwiema sędziankami. Liczykrupscy wystąpili co się zowie, nie brakło

nawet hiszpańskiego tortu, a wino lało się, jak w Kanie galilejskiej.

Ferdek nie jadł nic, ale pił za to za czterech. Nie potrzebuję komentować, że z powodu wyżej przetoczonego strąbił się, jak to mówią, na urząd.

Z racyi tej samej wpadł w szubieniczny humor, na Manię nie spojrział, a zakochawszy się hurtownie w pozostałej reszcie panien, oświadczył się po kolei pocztmistrzównie, obu sędziankom, nie pomijając nawet kulawej i zezowatej komisarzówny.

Następnie nie wiem, z jakich powodów, znikł z salonu.

Mani żal się zrobiło za gładkim i szykownym chłopcem, literatura imponowała jej trochę.

— Gdzie pański przyjaciel? — spytała mnie z widocznym niepokojem.

— Przy pomocy św. Antoniego, pod egidą czarujących pani oczu, odnajdę go — odpowiedziałem z galanterią.

Mimo to św. Antoni nie sprzyjał, przeszedłem wszystkie pokoje raz i drugi, oglądałem stajnię, przeszukałem ogród, byłem w kuchni, w kurniku, rozstąpił się ziemię, znikł jak kamfora.

Przechodząc wreszcie przez przedpokój, usłyszałem lekkie chrapanie, ale za to nierówne i — oto na sofie wśród masy paltotów, szalów i na-

rzutek, na samym spodzie Ferdek spoczywał snem błogosławionych.

Kazałem w tej chwili zaprzęgać i w noc ciemną uwiozłem śpiącego konkurenta.

Przyjaciel mój jeszcze dziś jest do wzięcia, prowincyi nie cierpi, matrymonialnych jednak zamiarów się nie wyrzekł, przysiągł tylko na wszystkie świętości, że z nikim innym się nie ożeni, tylko — z Lwowianką.

S ł o Ń.

Co to jest słoń? — zapytał mnie pewnego razu młody człowiek. który nauki pobierał w Berlinie, majątek stracił w Paryżu a do Galicji przyjechał za posagiem i posadą.

— Słoń, panie kochany, jest to zwierzę nadzwyczaj użyteczne.

— Farsa! ale co wy Lwowianie rozumiecie pod słońciem, czy to nazwa techniczna i *provencale*? czy jest to słoń Blondina z cyrku? czy słoń afrykański?

— Nie panie, kochany — odpowiedziałem — nasz słoń nie jest ani słońciem z cyrku ani słońciem afrykańskim, ale czysto lwowskim. Nie aportuje on chustek, nie umie robić „schpanischen Schrit“ ani jeździć na welocypedzie, ale w sferach i konfliktach matrymonialnych jest nieocenionym.

— A zakres działania?

— Pierwotnem przeznaczeniem słonia było, gdy klient-przyjaciel konkurował o pannę, bawić mamy, ciocie, stryjenki i wznosić peany i hymny pochwalne na cześć klienta, obecnie jednak z postępem czasu i cywilizacyi zakres działania jego został znacznie rozszerzony.

— Czy ma on swoją historję?

— I owszem, słonie rozstrzygnęły wojnę punicką, Orestes słoniował Pyladesowi, Ajaksy Parysowi — Balduin V. z Flandyi Wilhelmowi Zwycięzcy — a o trzech Muszkietierach wróble na dachach świegocą. Na terenie lwowskim wylągił się pierwotnie, jako pieczeniarsz, następnie rozwijał się i idealizował, aż w końcu przemienił w ambasadora, którego proszę nie identyfikować z pojęciem słonia obijacza.

— Podmiotowe i przedmiotowe określenie? Słoń z klientem (a czasem niekiedy i żyd bywa przypuszczony do triumviratu), tworzą rodzaj spółki komandytowej, jest to wspólna firma; klient daje serce, słoń głowę a żyd pieniądze, za zobowiązania odpowiada komandytnik tylko wkładom, na wypadek krachu dwaj pierwsi niekiedy tylko tracą swoje kapitały, trzeci za to częściej.

— Warunki kompetencyi słonia?

— Sceptycyzm Kanta, idealizm Fichtego, strategia Napoleona, polityka Bismarka, dyplomacya

Kaunitza, chytrość Ulissesa, matematyka Newtona, blaga Gaskończyka.

— Interesuje mię ta słońjada a macie u siebie we Lwowie taki ideał?

— I owszem mamy, wzorem i Nestorem naszych słońi jest Wacio Moczygłowski. Jest to słoń *par excellence* z powołania i przekonania, słońiował 24 razy z rezultatem pomyślnym, dopiero przy 25 razie przeholował po raz pierwszy.

— Czy ma jaki system? Zapal pan papierosa i opowiadaj co wiesz, bawi mnie ta historya, masz talent do bajek!

— Pan łaskaw na mnie, rzeczywiście mam żyłkę do bajek i w tej formie panu podam.

Wacio w istocie ma swoje systemy, na które gdyby tylko chciał, mógłby dziś patent otrzymać. Systemy jak sztuczne wywoływanie efektów i lunatyzm są jego własnego pomysłu i układu. Z tytułu tego nie jest jednakże zarozumiałym i dumnym i owszem wszelkie pierwszeństwo oddaje Kłociowi, obecnemu swemu klientowi.

Jak babcię kocham, mówi, to Kłocia idea, jestem tylko narzędziem.

Wacio przytem zna swe obowiązki i regulamin na palcach.

Trafeccy będą dziś w teatrze! bąka Kłocio pod nosem. Wacio wie już co to znaczy. Leci do teatru, bierze dwie loże po obu stronach „me-

dium“ i urządza tak zwaną „fintę“ kontrpartyi. Punkt siódma czekają już oba przy wejściu do teatru. Słoń jak dobry wódz szykuje klienta do boju. Dziś nowy system: lunatyzm z tragicznym zakrojem, mów mało, zawracaj oczyma i ignoruj spektakl.

Podczas przedstawienia gdy chóry wrzeszczą jak opętane, baron cygański śpiewa o „bo-cianach“, amfiteatr zanosi się od śmiechu, Klocio siedzi jak trusia, usta sznuruje i oczy zapuszcza „blachmanem“.

— Co panu dziś jest? — pyta mama.

— Pan jakiś nie swój? — powtarza stryjanka. Powiedz pan szczerze, panie Kleofasie, czyś pan chory? — pyta panna.

Słoń daje znak. Klient zatacza błędniemi oczami dokoła, ogarnia pannę wzrokiem mglisto lunatycznym, potem stawia oczy w słup i odpowiada głuchym grobowym głosem: Nie, nie mi nie jest.

— Nie chce się przyznać, wtrąca słoń, a zwracając się ku mamie dodaje: chory od niejakiego czasu, ból głowy, gorączka...

— Lekarza pan przywołałeś?

— Co mi lekarz pomoże!

— Przecież zawsze pomoc, ratunek...

Milczenie.

— Bierze chininę — wtrąca słoń.

Kobiety rozrzewnione. Za lekko pan chodzisz, odzywa się mama; szanuj się pan więcej, szepce panna...

Klocio spuszcza głowę i szepcze: co mi po życiu?

Tymczasem kontrpartya niecierpliwi się zawzięcie bijąc brawo; słoń tryumfuje.

— A co — mówi do Klocia drżącym ze wzruszenia głosem, gdy obaj wracają do domu — dobry system?

— Wyborny!

— Zapamiętaj-że go, to system „na malaryą,” pierwszy raz w praktyce.

Słoń ma dziwny i nadzwyczajny węch do przewąchania rywala i wroga klienta.

— Jacek Bzdurski niebezpieczny dla nas, trzeba go wyfilować, z nadto się kręci?

— Cóż takiego uczynił, nic nie widziałem.

— Ty nic nie widzisz, boś zakochany, ale ja mam oczy za nas obu i widziałem.

— Mówże! — nalega zastraszony Klocio.

— To kochanku, że zawraca głowę pannie i że ona mu sprzyja, zresztą jutro wieczorem u Trąfeckich wysonduję całą sprawę, a teraz bądź dobrej myśli i idź spać.

Na drugi dzień wieczorem Wacio przyszedłszy i przywitawszy się z starszymi, wysuwa się niepostrzeżenie z salonu i z dwoma pakietami ru-

sza między dzieci. Braciszki i siostrzyczki otaczają go do koła, wołając: nasz pan Wacio, kochany Wacio. Wacio wybiera dwoje najmłodszych, siada na fotelu, bierze Lucia na jedno kolano, Mucię na drugie i pyta niby od niechcenia:

— Kochacie mię dzieci?

— Baldzo! — mówią malcy, patrząc ukradkiem na pakiety — baldzo?

— A siostrzyczka wasza, panna Mania, kogo lubi pana Klocia czy mnie?

— Pana!

— A pana Jacka czy mnie?

— Pana!

— A kogo lepiej czy pana Klocia czy pana Jacka? mówcie tylko prawdę.

— Prawdę powiemy, pana najlepiej! — odpowiadają jednogłośnie, chwytając za pakiety z cukierkami.

Próżność własna i egoizm zaczynają unosić Wacia i po raz pierwszy w życiu przez umysł słonia przechodzi jakby iskra elektryczna myśl: a nużby raz samemu puścić się na bystrą wodę. Wszak jest przysłowie, że dzieci i pijani mówią zwykle pół prawdy. Zresztą czasby i o sobie pomyśleć, trzydziestka minęła, panna ładna, familja dobra, ba nawet same karmazyny, fortunka wprawdzie nie magnacka, ale zawsze dostatnia i szlachecka. Ha, myśli sobie, święci garnków nie lepia, spro-

bujmy. Wraca więc do salonu i przez resztę wieczoru zachowuje się odmiennie jak zwykle, wprawdzie nałogiem słoniowskim chwali wszystko przy kolacy i unosi się nad sarniną — co chwila jednak odzywa się do panny, asystuje, podaje i wyrabia oczyma takie faneberye, jakby od miesiąca dwa razy dziennie chodził do okulisty.

Kłociowi zaczyna się to nie podobać.

— Słuchajno, Waciu — mówi — ty idziesz na odbijacza, poznałem system lunatyczny.

— Zdaje ci się.

— Nie zdaje, ale tak jest, miałeś „wyfilować“ Jacka a tymczasem mnie filujesz.

— Nie rozumiesz... to wyższa taktyka!

— Może być że wyższa, ale mnie się ona nie podoba.

Przez kilka tygodni potem Waciu wyższą taktyką słoniując Kłociowi sam się wysuwa na pierwszy plan a w pogadance z mamą o Kłociu mówi wprawdzie, że to dobry chłopiec, porządny, ale zawsze jest jakieś „ale“; raz że lekkomyślny trochę, to znów że się rządzić nie umie, to znów że pokaszluje, a suchoty to choroba familijna w rodzinie Kłocia, bo ojczym, jeden szwagier i dwie bratowe umarły na suchoty, przytem napomyka o swoich świetnych aspektach na przyszłość, o żelaznem zdrowiu i sknerze wujaszku, który „marynuje“ kapitały na Podolu.

W między czasie kontrpartja działa, Jacek dojeżdża ze wsi co tygodnia, konie pyszne, liberja wspaniała, bukietów i bonbonierek niesłychana ilość. Klocio się gryzie, Waciowi we łbie prze-wróciło a czas powoli upływa.

W miesiąc później pewnego wieczora gdy Klocio miał wychodzić na spacer wpada Wacio jak opętany krzyząc:

— Wszystko przepadło!

— Jak? Co? Kiedy?

— Sedan!

— Chory kto?

— Gorzej!

— Zastrzelił się?

— Gorzej!

— Mówże do stu adwokatów i tyleż koncypientów, cóż się stało?

— Jacek Bzdurski z Manią zaręczony, szlachty zjechało pół Lwowa, wszystkie hotele zajęte.

Następuje grupa z figur, wyrażająca rozpacz i rezygnację. Po pewnem milczeniu odzywa się Klocio: To te twoje głupie systemy i wyższa taktyka! idź do djabła!

— Nie ma za czem żałować — odpowiada Wacio z flegmą — Trafęccy będą musieli dziś jutro sprzedać wioszczynę, stary pójdzie na dyrektora do banku a zresztą panna patrzy zezem i ma trzy zęby

wstawione, kto wie czy byłbyś z nią szczęśliwy? A teraz mam dla ciebie coś innego, panna jak orzech, koneksje, koligacya, wprawdzie starsza od nas o cztery miesiące i siedm lat, ale grosiwa jak maku — słowem Wicia Wiewiórska. Jutro składowy wizytę i zaczynamy da capo od „lunatyka“.

— Dobrze! ale w tym wypadku ty będziesz klientem a ja twoim słoniem.

* * *

Skończyłem opowiadanie i otarłem pot z czoła, Paryżanin zagłębił się w zadumie i puszcza kłęby dymu z papierosa, nagle wyciąga do mnie rękę.

— Panie kochany — mówi — mam prośbę do pana, zapoznaj mię pan z tym Waciem Moczogłowskim!

— Dobrze, dobrze. Dziś wieczorem przy kolacyi w hotelu Europejskim.

Druża młodość.

Rozpoczyna się po czterdziestce, a kończy się wtedy, kiedy... mniejsza o to kiedy, chwala Bogu, że się rozpoczęła po raz drugi w życiu. Przedstawia się jako piękny dzień jesienny, w którym słońce przypieka w samo południe, poczem następuje burza z grzmotami, błyskawicami i piorunami i jesień poczyna brykać.

Odrzucając wszelką alegoryę, ma się w rzeczywistości w tym czasie postać rzeźką, włosy i zęby dzięki dentystyce i sztuce fryzjerskiej do pozazdrosczenia, wąs pyszny, sumiasty, zawsze z fantazyą podkrecony w górę. Żyje się w wielkiej przyjaźni z p. Ihnatowiczem i śledzi się starannie anonsy w dziennikach z dziedziny kosmetyków. Muzykę lekką lubi się pasyami, szczególnie Offenbacha, za Makartem się przepada, a w księgach Sybilli uwielba się szkołę Zoli, bo-

haterki Guy-Mauppassanta i delektuje się starym Bocacciem. Robi się na nowo wiele głupstw, jak ongi przed laty, przebiega się ulice wielkimi krokami za pierwszym lepszym buziakiem, przy czem wywija się z niezwykłą werwą laską, nosi się młode garnitury, asystuje się „na dystans“ bakfiszom z perkatym noskiem i teką „Musik“ i znajduje się ogromne upodobanie w artystycznym towarzystwie Champagner-Lol i Abricotinnen-Titi. Ma się przytem ogromną ambicję na punkcie wytrzymałości fizycznej i odpowiada się z chęcią na najniedyskretniejsze pytania w tym kierunku.

— Pan dobrodziej tak się trzyma doskonale, to dziwne...

— Jestem zakonserwowany — brzmi odpowiedź — pierwszy raz — czy uwierzysz pan — pierwszy raz w dwudziestym czwartym roku upiłem się i daję panu słowo honoru, w tymże czasie pierwszy raz pezwoliłem sobie -- pierwszy raz mówię, — zapalić papierosa.

— Ach! czy możliwe?

— Tak panie, żadnych ekscesów, żadnych, ale za to teraz popatrz na moje piersi, nie znam bólu głowy, a żołądek znakomity, jakbym go nie miał...

— Nic dziwnego, pan dobrodziej jeszcze młody i rzeczywiście tak młodo wygląda — zaznacza interpelant.

— No tak — odpowiada na to — młodo się wygląda, ale czterdziesta minęła, minęła.

— Pan dobrodziej... zapewne.

— Ależ panie — repostuje — proszę mnie nie „dobrodziejkać“, czyż jestem tak stary? wytrzymam ja więcej, jak wy wszyscy młodzi.

Wytrzymałość tę zawdzięcza się rutynie.

Umiejętność życia i doświadczenie nabyte w pierwszej młodości, oddają ogromne usługi w drugiej — nie ma się iluzji, zachwyt nad czarami i cudami życia — zaznacza się zrozumieniem i z niedopitej do dna czary, gustuje się kropelkę po kropelce z przeświadczeniem użycia. Nie lubi się kwiatów dlatego, że są kwiatami, ale dlatego, że mają woń. Pod maską naiwności jest się nadzwyczaj praktycznym, wierzy się w idealną stronę piękna o tyle, o ile ta realnie jest uchwytną. Ma się często gęsto zapady i zachwyty, które jednakże często gęsto wpadają w cynizm.

Na oko jest się wulkanem, który zdaje się, że wybuchnie lada chwila, w gruncie rzeczy zaś zapoznaje się różnicę pomiędzy życzeniem a spełnieniem tegoż i ostatecznie przerachowuje się i przecenia własne siły — kosztem śmieszności.

Smutna konieczność każe abdykować samemu sobie, przed samym sobą. I zdarza się niestety, że w czasie gdy się wspina na wierzchołki Olimpu między róże i fiołki z zapalem lat dwudziestu, traci się naraz wiarę w samego siebie i uczuwa się żal do świata za to, że było się tak naiwnym, iż żądało się od samego siebie na pozór tylko tak mało — tak mało — a przecież niestety tak wiele, tak wiele.

Tęsknota.

(Fragment z teki smutnego humorysty).

Jest w piersi człowieka dziwne uczucie, które się nazywa tęsknotą. Porywa go bezwiednie, gnębi, miota nim i przytłumia całą moralną wolność.

Nie potrzebuje on wtedy życia ludzkiego koło siebie, wystarcza mu wtedy sama natura, tej się najchętniej zwierza i ta dlań jest zbawienną i dobroczynną. Mimowolnie, sam nie wiedząc o tem, przelewa w nią własną duszę i tęskni z nią razem, płaczącą brzozą, wonią kwiatów, szmerem strumyka lub jęczącym echem wichru.

Są tacy, którzy twierdzą, że tęsknota sama w sobie jest niczem innym, jak tylko czarem wspomnień, bólem i żalem za czemś utraconem, lub nigdy niedoścignionem, inni znów każą jej być długą falą, drgającą akordami smętnej melodyi życia.

Cały Wertheryzm, wszystkie sofismaty welt-szmerzu, bierze swoje motywa w tem źródle, roz-pływa się w tęsknocie bezkońcowej i bezbrzeżnej i uczuwa, że żyje, bo cierpi.

W każdym razie tęsknota musi mieć pierwszą przyczynę w czemś nietylko pięknem, lecz bez-względnie szlachetnem i dobrem, gdyby bowiem po za pięknem nie było więcej nic, jak tylko samo apokryficzne piękno, tęsknota zmieniałaby się w przesadę i niesmak i zamiast osłonić żal swój kirem smutku, okryłaby się śmiesznością.

W tem leży cała tajemnica tęsknoty za ideałem.

Pessymiści, nie wierzący w szczęście na ziemi, tęsknotę za szczęściem kładą na pierwszym miejscu.

Gdy Szyler istność szczęścia wyklucza, mówiąc, że tam jest szczęście, gdzie nas nie ma, Dante znów, słusznie czy niesłusznie, powiada, że nie ma większego nieszczęścia, ja tęsknić za szczęściem w nieszczęściu.

Jedni bowiem tęsknią za szczęściem nigdy dla nich nieistniejącem i niedoścignionem, drudzy za szczęściem utraconem. Są znów dziwacy, którzy tęsknią za tem, czego nigdy nie widzieli, nigdy nie widzą i nigdy widzieć nie będą.

Najłatwiej przytem w tęsknocie z najskraj-niejszego pozytywizmu wpaść w najgłębszy idea-

lizm, gdy zaś ten ostatni jest wynikiem przesadnej egzaltacji, fantazja wtedy dostaje formy, przybiera ciało i prowadzi na bezdroża mistycyzmu.

Moc ta rzewna i tajemnicza, płynąca z światów nieznanych i niepojętych, kryje w sobie cały cykl najwyższych zagadnień, a biorąc w swoje panowanie samowładnie, każdej istocie daje inne zewnętrzne objawy.

Natury dzikie tęsknią — burzą i huraganem; słabe i złamane życiem — rozpaczają; silne zaś cichą zamkniętą w sobie boleścią.

W pierwszym razie pozostawia tęsknota po sobie apatyę, w drugim wyciska piętno bezsilnej rezygnacji. w trzecim jedynie, zmęczone skrzydła podnosi do lotu i stara się wskrzesić nadzieję. Gdy ta ostatnia przyłączy się do tęsknoty, wprowadza do serca wiarę i ta tylko jest zdolną utrzymać obie w należytej mierze i na odpowiednim poziomie.

Błogi ów stan przejściowych iluzji jest wtedy niejako oazą wśród pustyni i wysila się, by całemu idealnemu światu marzeń nadać zmysł więcej praktyczny.

Najczęściej jednak mimo to, pojęcie rzeczywiste prawdy się zatracą, a występuje z manją prześladowczą wymarzone i wyidealizowane widmo

i samemu się nie wie, jak mimowolnie i bezwiednie wyciąga się za niem drżące ramiona w świat obłoczny, gwiaździsty, daleki i nieznany, a wtedy za chwilę tego zjawiska oddałoby się wraz z wszystkimi skarbami, wszystkie uśmiechy ziemi i wszystkie jej rozkosze.

A n i o ł e k.

Wróć się przyjacielu o lat x dziesiąt wstecz!
Jesteś małym, masz czuprynę rozczochraną,
uszy odstające od głowy, palce powalane atra-
mentem, lubisz chleb z miodem i z powidłami,
a przepadasz za cukierkami i żołnierzami z kar-
tonu. Przytem masz duszyczkę bez skazy i wie-
rzysz w aniołki.

Oprócz mamy i taty nie kochasz nikogo.

I słusznie!

Świat jest niedobry, w szkole targają cię
za uszy i męczą obrzydliwą gramatyką.

Mimo jednak wstrętu, zawzięcie deklinujesz
rzeczowniki i konjugujesz czasowniki, bo jesteś
grzecznym chłopczykiem, i wiesz o tem, że w na-
grodę dobrego postępu, święty Mikołaj przyniesie
ci „mikołajka“, a aniołek wiele pięknych rzeczy.

W snach twoich różowy, pызaty dzieciak
o białych skrzydełkach z pudłem zabawek w racz-

kach zajmuje pierwsze miejsce, a niewinny spokój mąci jedynie zhora czarnej brody profesora. Nie znasz abstrakcyi, ignorujesz doniosłość pojęć oderwanych, a uzmysłowienie twych ideałów odczuwasz w aniołkach z cukru i piernika.

Lata mijają, z dzieciaka robisz się wyrostkiem, pedagogia rozjaśnia ci mózgownicę, doświadczenie uczy szkoły życia a koledzy usuwają niepewności i wątpliwości. Historia jabłka rajskiego daje ci wiele do myślenia a karzący anioł wyganiający parę, niepokoi.

Wyobraźnia poczyna pracować a rzeczywistość dopomaga.

Poeta opiewa ci aniołka w słowie, malarz przedstawia w barwie, rzeźbiarz w kamieniu a maestro daje ci sposobność odnaleść w tonach muzyki.

Cywilizacya robi postępy, a cały zaczarowany mistyczny świat duchów, Nimf i Syren, Sylfów i Elfów, Serafów i Cherubów, aniołków i amorków w chaotycznym nieładzie kołuje w podrażnionej fantazyi. Przychodzi czas refleksyi, a nauka prowadzi do konkluzyi, że amorek płatał na Olimpie takie figle aż go musiano zesłać za karę... na ziemię.

Pod wpływem tych doświadczeń wyłazisz z poczwarki i stajesz się młodzieńcem. Jesteś w maju życia, Saadi pieje ci o różach zaczaro-

wanych a rzeczywiste otaczają cię dokoła, muzy kołyszają cię do snu a Wenery omamiają. Mały twój aniołek rozsuwa białe skrzydła i ulatuje, a na jego miejsce staje inny z łukiem i strzałami.

Budzisz się, przecierasz czoło i pytasz: tyżeś to mój biały aniołku. coś mi przynosił złocone orzechy i baranki z krochmalu, ty, któryś mi ocierał łzy i plótł wianki nad głową?

Mały demonik nie ci nie odpowiada. uśmiecha się tylko znacząco, bierze za rękę i uprowadza z sobą.

Odtąd na twej drodze napotykasz wiele aniołków; raz są one w trykotach w kole komparsów lub z kieliszkiem szampańskiego w gronie debardarów, to znów w modnej fryzurze i pomalowanym policzku wśród dam o gorsie wyciętym do niemożliwości.

Mimo, że aniołki te pysznie skaczą po linie i znakomicie śpiewają jodlery, czujesz przecie, jak są różne od pierwotnego. Wznosisz więc głowę w górę i patrzysz, czy wśród słońce i księżyców rozrzuconych po stropie, nie odnajdziesz swojego białego. Niewyjaśnione tajemnice, nieukozone tęsknoty i czarowne marzenia roztrąca skalpel rzeczywistości i poznajesz, że jesteś śmiesznym.

Straciłeś wszelkie iluzje, lecz się obawiasz, byś nie stracił i wiary. Aniołek twój jednak czuwa nad tobą i pewnej chwili, gdy natura cała żyje

i cieszy się, gdy kwiaty roztwierają swe kielichy i woń czarowną sieją dokoła, gdy ptaszki świegocą, strumyk szemrze, a lekki wietrzyk porusza listkami, słowem, gdy się dzieje to wszystko co poecie potrzeba do sielanki, a tobie do zdwojenia tęsknoty i zwiększenia próżni w sercu, w chwili tej okazuje ci się główka o kręconych loczkach, rozmarzonych oczach, a różane usteczka szepca: to ja, twój anioł, pójdę z tobą i już cię nie opuszczę.

Widziadło senne oblekasz w szatę z „mgły i brzasku“, gwiazdom każesz gasnąć przy świetle promiennej jej postaci, a wyobraźnią dajesz jej u ramion parę skrzydeł.

Gdy w powietrzu daje się słyszeć czarowny ton marsza weselnego, a kapłan wiąże ręce stułą, rozkochane twe oczy jednak z niedowierzaniem zdają się mówić:

Miałżeby to być rzeczywiście mój biały utracony aniołek?

N u m e r 5½.

— A więc?

— A więc powtarzam to, co przedtem powiedziałem, że entuzyści pięknych rączek...

— Trzeba dodać: i małych...

— Tak i małych, twierdzą, że takie rączki mogą odnieść tak samo zwycięstwo, jak i piękne oczy.

— Ale pięknych oczu nie zakrywa się nawet w Turcyi, podczas gdy ręka bywa bardzo często ukrytą przed okiem profana.

— Zwłaszcza, gdy jest szorstka, niezgrabna i czerwona.

— Czy to aluzya?

— *Hony soit...* przytaczam tylko na moją obronę słowa takiej powagi o rzeczach mody, szyku i elegancji, jaką jest książkę Pükler-Muskau, a ten wyraźnie mówi, że o rączkach, które stale prze-

mieszkują w rękawiczkach, ma nie najlepsze wyobrażenie.

— Zapominasz pan, że książe mówi o Niemkach.

— Tem łatwiej można im wybaczyć, gdyż wiele pracują rękami, zresztą ręka jak i rękawiczka są tak kosmopolityczne, że narodowość jest tu rzeczą obojętną.

— Czasy się zmieniają, dawniejsi rycerze rzucaли się za rękawiczką do lwiej jaskini.

— Czynili to nie dla rękawiczki, tylko dla pięknych oczu i pięknej rączki, wreszcie odbywało się to zwykle w poemacie.

— Niech będzie, że w poemacie, zatem rękawiczka ma swoją poezję.

— Nie przeczę i wiele! Ileż to rękawiczek spoczywa wśród zeschniętych kwiatów, wonnych „*billet d'amour*“ i różowych wstążeczek, ileż drżących ust gorącymi pocałunkami okryło psią lub cielecą skórę, ileż..?

— Jesteś pan niegrzeczny i dostajesz pan za to po palcach.

— Ach pani to boli! czy sądzisz, że mam kradzione ręce?

— Tego nie sędzę, bo gdybyś je ukradł, byłbyś wybrał zgrabniejsze.

— By panią nie raziły, wdziwam rekawiczki.

— Cóż za dziki gust! czy takie teraz modne?

— Nie zważam na modę, gdybym był woźnicą, nosiłbym czerwone, gdybym był biskupem nosiłbym fioletowe, ponieważ nie jestem ani pierwszym, ani drugim, noszę wprawdzie dzikie, ale to ciepłe i wygodne.

— Numer co najmniej 11 i pół, wyglądasz pan w nich, jak Don Basilio. Taka wygodna rękawiczka świadczy o zobojętnieniu dla świata o nie-dbałości i zarozumiałości.

— Wszystko prawda, lecz przyznaj pani, że za obcisła świadczy o kokieteryi i próżności. Idę o zakład, niewiem jak wysoki, że kobiety, które noszą ciasne, krepujące rękawiczki, spędzają dnię całe przed toaletą, malują brwi, blanszują twarz i mają...

— Gdy będziesz tak dalej mówić, zatykam uszy rękami.

— Do tego są pani rączki za małe.

— Grzecznością dzisiaj pan nie grzeszysz.

— Uważaj pani, że jesteś w rękawiczkach i ręki nie widzę.

— Zaraz pan ją zobaczysz, zdejmę rękawiczkę i rzucę jako symboliczny znak wyznania.

— Z całą przyjemnością, schyle się, podniosę i...

— I schowam do kieszeni

— Nie pani, tego nie uczynię, zanadto nie do-wierzam kobietom, przypominam sobie przytem z historyi, że królowa Nawarry, powąchawszy za-

trutą wonną rękawiczkę, daną jej przez Katarzynę Medicis, w parę godzin potem wyzionęła ducha.

— Moje nie są zatrute, przypatrz się im bliżej, jeszcze bliżej...

— Widzę, że są z pięknej duńskiej skórki, poznaję że są modne i że nazywają się Sarah Bernard, czuję, że wonieją, a o ile się znam na tem, muszą być drogie...

— Popisujesz się pan historyą, a zapominasz o tem, że najpiękniejsze i najdroższe paryskie rękawiczki Jouwina nie kosztują obecnie nawet tyśiącznej części tego, co rękawiczki naszych babek i prababek.

— Nasze babki i prababki, szanowna pani, nosiły skromne siatkowe półrękawiczki domowej roboty, by wolne palce, mogły skuteczniej prząść nić z kołowrotka, szyć hafty i nie próżnować.

Co się tyczy drogich i kosztowanych, mówisz pani o Olde England, gdzie Elżbieta zaprowadziła modę rękawiczek tkanych złotem, wysadzanych perłami i djamentami.

— Więcej cytatów z historyi!

— Dobrze, a zatem prawo inwestytury, które...

-- Nudny pan jesteś razem z inwestyturą, możebyśmy przeszli na mitologię.

— Przejdźmy na mitologię. W czasach, gdy jeszcze zwierzęta mówiły, pewien krokodyl por-

wał matce dziecko. Zrozpaczona kobieta domagała się zwrotu, krokodyl pod tym warunkiem zgodził się oddać, gdy powie trzy prawdy. Po krótkim wahaniu rzekła kobieta: kupię sobie na ten sezon nowy kapelusz, nową parasolkę i nową parę modnych rękawiczek, krokodyl bez namysłu zwrócił matce dziecko

— Literatura z kolei.

— W literaturze rękawiczki grają podrzędną rolę, literaci są zadowoleni, gdy mają buty, rękawiczki noszą bardzo rzadko i dlatego najczęściej piszą „bez rękawiczek“.

— Darujesz pan, ale i rękawiczki mają swoje podniosłe chwile, są wypadki przecież...

— Na razie przypominam sobie dwa, pierwszy gdy przed koncertem długowłosey maestro z emfazą składa je na pulpicie, a drugi, gdy je kat z nonszalansyą po spełnionej egzekucyi rzuca oprawcom.

— Shoking!

— Odpowiadam na pytania.

— Przeszedłeś paa całą gantologię a pominąłeś najgłówniejsze kwestye formalne: materyału i koloru.

— Materyału nie brak, dawniej robiono je ze skóry kacerzy i heretyków, obecnie wyrabiają z jeleniej jak „*peau suedoise*“ i zbójeckiej jak np. „*peau de Pranzini*“. Co się tyczy koloru,

wszechwładna moda zabiera po kolei wszystkie nianse, barw tęczy, co do mnie jednak uwielbiam naturalny blado-lilas o skórcie delikatnej, miękkiej i gładkiej, o różowych paluszkach, lśniących paznokietkach... pani zrzucasz rękawiczki?

— Tak pomóż mi pan rozpiąć...

— Chętnie, ale przez okno przeciera niedyskretnie promień słońca, rączka może się opalić.

— Niezgrabny! urwałś pan guzik.

— Był mocno naciągnięty, rękawiczka ciasna, zdaje mi się nr. 6.

— Cóż znowu 5 i pół, teraz za karę możesz pan pocałować...

— Rączkę czy rękawiczkę?

— Naucz się pan porządku i połóż je na stole (do siebie: kretyn).

— Ach w tej chwili ginę za rękawiczkami... leżącymi na stole.

— Nie tak mocno, kłujesz pan wąsami...

Na rozdrożu.

]Fantazyja z lat akademickich.)

„Młodości! ty nad poziomy.“

Mam ci opisać druha młody historję, przez którą przeszły miliony, historję, którą można pisać na piasku i morskiej fali, która zasypuje się i zalewa i napowrót każdym razem występuje ta sama... bez przedstawienia nawet litery. Jest to ballada lat ośmnastu, wieku polotów, ideałów, ognia i fermentacyi.

Zdałeś maturę i za dni parę masz przestąpić po raz pierwszy progi uniwersytetu; między innymi zajmuje cię przedewszystkiem kwestya laski, wolności chodzenia do cukierni i restauracyi; papierosa z ust nie wypuszczasz, a cylinder, który z fantazyją nałożyłeś na „bakier“, dodaje ci powagi.

Poczuwasz w sobie siłę i materyał na wielkiego człowieka, chciałbyś być jednocześnie w przy-

szłości poetą, ministrem, malarzem, generałem i mężem stanu. Żyjesz cały zachwytem i złudzeniem

Gryzmołeś wiersze do sztambucha pensyonarkom, mówiono ci wtedy, że masz zdolności literackie; napisałeś skargę leśniczemu, którego okpił arendarz, przepowiadano ci więc sławę wielkiego prawnika; masz zdrową gębę i gibką postać, wróżą ci karierę wojskową; pogodziłeś dwóch poróżnionych kolegów, doradzają ci drogę dyplomatyczną. Wszystko ci się podoba, rwiesz się do wszystkiego i stajesz na rozstajnych drogach.

Z mutacją fizyczną przechodzisz przemianę duchową, pochłaniasz wszystko, co napadniesz, i na przemiany kolejno rzucasz się na dzieła Smilesa, Renana, Micheleta, Kanta, Lockego — etc. Zaczyna ci się émić, a... a niczego nie rozumiesz. We wnętrzu twojem wywracają koziółki fiksacye filozoficzne, sofizmata niedowarzone, szmermele melancholii, pomięszane z humorem młodości i całą skalą marzeń, uczuć, przeczuć i pożądań. Stan ten duszy trwa nie długo, luzuje go garnitur sezonowy, partya karambola, lub pierwszy lepszy buziak, napotkany na ulicy. Kwestya wyboru stanu schodzi na drugi plan i dopiero — przypominasz ją sobie w przededniu — wpisów na uniwersytet.

Robisz minę desperacko-zakłopotaną, łazisz jak ćma po wszystkich ulicach miasta, radzisz się tu i tam, wreszcie przychodzi ci na myśl stary jakiś przyjaciel ojca, stryja lub dziadka, który uchodzi za nadzwyczaj praktycznego. Spowiadasz mu się ze wszystkiego od *a* do *z*, zapalasz się i prawisz brednie.

Stary spokojnie podpala hubkę fajkę, szczypie cię w policzek i poczyną ci rozprawiać o Napoleonie i astronomii; następnie przerzuca się na ciężkie czasy, na walkę o byt, doradza ci wybór realnego zawodu i każe ci zapisać się na prawa, technikę, lub medycynę. Wysłuchujesz z namaszczaniem wywodów starego, dziękujesz mu serdecznie, wychodzisz i wpisujesz się na wydział filozoficzny.

Poznajesz tam *multum* kolegów, chłopaków pełnych woli, siły, charakteru, najlepszych chęci, najrozmaitszych przekonań i najcudacznějších idei. Związki chemiczne rodzą ogień, który daje płomienie rozmaitego gorąca i rozmaitych blasków, w atmosferze tej przekręca ci się we łbie do reszty.

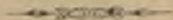
W międzyczasie uczuwasz potrzebę, niecierpiącą zwłoki, ogólnej wymiany myśli na temat wolności, równości i sprawiedliwości, podajesz projekt i zwołujesz „wielki komers”. Wy-

powiadacie tam wiele młodych i ładnych rzeczy: w jaki sposób piękno wielbić, jak dobro czcić i jak tęsknić za ideałem; wyprawiacie przytem okropne wrzaski i wypijacie sporą ilość rozmaitych trunków. Następnie jeden z was reasumuje cel „wielkiego komersu“, zastanawia się nad narodami, zmuszonymi drogo okupywać historię swego istnienia, opowiada o zwycięstwie, męczeństwie, bohaterskości ducha i ostatecznie domaga się czynu, czynu i jeszcze raz czynu! Poczem bijecie mu ogromne brawo, wychodzicie na ulicę, urządzacie „gęsiego“ i kilka awantur z policyantami, skutkiem czego jesteście zmuszeni szukać schronienia w przybytku debarderów, gdzie z entuzjazmem wysłuchujecie chorału podkaszanych szwabię, przeplatanego libacyami ponczów z jajem i „knikebeinów“.

Na drugi dzień budzisz się z bólem głowy i niesmakiem, lepsza cząstka twego „ja“ odzywa się w tobie, porzucasz więc „gęsiego“, debarderów i „knikebeiny“ i skupiasz koło siebie grono przyjaciół, samych idealistów, marzycieli i chłopaków myślących, z którymi ręka w rękę iść postanawiasz przez ciemne przestworza do... gwiazd i do słońca.

I nie przeczuwasz wtedy w cudownej tej epoce, że po latach — z gorącej waszej garstki

idealistów porobią się przedsiębiorcy, z myślących chłopaków manekiny, a z geniuszów dyurniści i powróciłby wówczas niejeden z was choć na chwilę na to rozdroże z przed lat, lecz niestety!... ścieżka doń zarosła chwastami, a ślad zaginął... na zawsze.



TYPY.

Stary kawaler.

Lwów 8. października 1887.

Kochany Przyjacielu!

Piszesz mi, że w pierwszej chwili chciałeś sobie w łeb strzelić, lecz potem rozmyśliłeś się i zostajesz do końca życia starym kawalerem. Co do pierwszego, postąpiłeś bardzo rozsądnie, wprawdzie Wilkoński w swoich ramotach nazywa życie snem a śmierć przebudzeniem, używaj jednak tego snu jak najdłużej a upewniam cię, że jak przyjdzie czas, to cię już obudzą. Co się tyczy drugiej części postanowienia, pytam się, czy cię kiedy nie doszły słowa ukraińskiej piosnki ludowej, mającej wiele zdrowego sensu a brzmiącej mniej więcej: „na szczo serdciu momu tuha, ne bude ta, bude druha!“ A dają ci już tę drugą, zarzucasz jej wprawdzie, że jest „wodnistą“, że ma rybi wyraz twarzy, baranie oczy, że się nazywa Tyncią, ale wierzaj mi mój drogi, takie

wodniste Tyncie bywają nieraz najlepszymi żonami. Historyi „puszczenia cię w trąbę“ przez tę pierwszą, nie opisałeś mi dokładnie, lecz znając ciebie i cały stosunek wyobrażam sobie jej przebieg. Kochasz się jak lunatyk i łazisz jak éma, „stary“ mruczy pod nosem, mama się krzywi, panna wzdycha. Stan ten trwa pół roku, ponieważ straciłeś apetyt, nie sypiasz po nocach, nie robisz w biurze i szef chce cię napędzić, postanawiasz więc raz już skończyć. Wdziewasz więc anglez, żegnasz się i mówiąc sobie, co będzie to będzie, otwierasz drzwi kancelaryi starego. Stary przyjmuje cię kwaśno, ty robisz głupią minę i poczynasz brzdąkać pod nosem na znany temat o miłości, sympatii, dobrych chęciach, świetnych widokach i głębokim szacunku dla całej familji. Na pytanie, co masz? — odpowiadasz — że nic, na pytanie, czem jesteś? — odpowiadasz podobnie. Stary cię zbywa ni tem, ni owem i częstuje papierosem. W tydzień potem zjawia się „półmiesiąc z kulfonami“, ciebie zaczynają traktować per nogę, stary zaciera ręce, panna płacze.

Po miesiącu „półmiesiąc“ się oświadcza, starzy przyjmują go jak zbawcę, panna dostaje spażmów, kładzie się do łóżka i postanawia, że wkrótce umrze. Naraz pewnego dnia wstaje i oświadcza, że ponieważ nie wiele jej już do życia pozostaje, dla tego tymczasem posłuszna woli ro-

dziców, pójdzie z półmiesiącem do ołtarza. W czasie, gdy tamci jadą do ślubu, ty bierzesz rewolwer, idziesz do lasu i — zostajesz starym kawalerem. O tem co dotychczas było, wiesz z doświadczenia, co dalej będzie, dokończę z analogii. Twój ideał zapomina o śmierci, bo nie ma na to czasu, gdyż tyje i obdarza „półmiesiąca“ systematycznie co roku nowym potomkiem. Podczas tego ty awansujesz, dostajesz sukcesyę i jesteś bardzo nieszczęśliwym. Bret-Hart mówi, że przebaczyć a nie zapomnieć znaczy tyle, co wystawić pokwitowanie bez podpisu, ty tego pokwitowania nie podpisujesz. Ludzie mają cię dla tego za bałwana, ty sam siebie uważasz za „ofiare“ i wegetujesz. Chcąc wegetować, potrzeba jeść, jadasz więc z kolei po wszystkich restauracyach przy osobnym stoliku, odosabniasz się od ludzi i dostajesz po raz pierwszy kataru żołądkowego i melancholii. Na katar radzą ci lekarze Karlsbad, na melancholię podróż do Włoch lub Francyi. Jedziesz więc do Karlsbadu i przekonujesz się, że takich jak ty niedołęgów jest więcej na świecie, w Wenecyi oglądasz plac świętego Marka, w Neapolu lazaronów, w Nicei kwiaty, w Paryżu Frascati, Mabil i kobiety. Powracasz znużony i podrażniony i szukasz ulgi w kartach. Urządzasz więc u siebie partyjki, łąsisz wszędzie, gdzie rzną „baka“ i „djabła,“ masz masę przyjaciół, którzy cię

ogrywają, wygrawszy nic nie dostajesz, po roku puszczasz połowę sukcesyi, chudniesz, przychodzisz do przekonania, że to djabła warte i przysięgasz „na karty“; mimo to ludzie okrzykują cię szulerem a najlepsi przyjaciele idjotą.

Ponieważ masz jednak ciągle mola, który cię gryzie a którego nie mogłeś zabić kartami, więc postanawiasz go utopić w kieliszku. Dobierasz więc sobie specjalistów w tym fachu, włączysz się od sklepu do sklepu, od knajpy do knajpy, pijesz jak szewc, zataczasz jak kacap i po miesiącu dostajesz opinię pijaka i poraz drugi kataru żołądkowego. Boisz się jednak o zdrowie i cenne życie, a że lekarze grożą ci tem, że przy podobnem życiu djabli wkróce cię wezmą, więc postanawiasz zamknąć się w domu i żyć regularnie.

Idziesz więc do biura stręczeń, przyjmujesz kucharkę i kupujesz całe urządzenie kuchenne począwszy od rondla a skończywszy na druszlaku. Zaczyna się nowe życie, chwalisz rosół, zachwycasz pieczystem i delektujesz legominą, wieczorem jadasz pyszny befszyk na świeżem maśle, kładziesz się na kanapie, zapalasz fajkę i bawisz literaturą. Bierzesz się więc do Kocka, który cię śmieszy, do Dumasów, którzy cię interesują, do Wiktora Hugo, który ci imponuje i do Zoli, który cię degustuje. Rzucasz się więc do filozofii i kolejno pochłaniasz Homego, Lockeego, Montaigna,

Kanta, Fichtego, Hegla *et tutti quanti*. Przy dwudziestym tomie w głowie ci się mąci i „kiełbasi“, chaos kompletny, pod nogami tracisz grunt, masz jednak tyle rozumu, że pijesz szklankę zimnej wody i po kolei wszystkich filozofów lokujesz w kominku.

Podczas filozofowania kucharka ciągle wlatuje i męczy cię to kupnem kartofli na zimę, to potrzebą sprawienia makutry lub postawienia nowej kuchni angielskiej, a że przytem od jakiegoś czasu już „kaparzy“, więc pewnego pięknego południa wraz z przypaloną pieczenią wyrzucasz ją za drzwi. Masz jednak szczęściem siostrę zamężną i brata ożenionego, proponują ci więc, byś u nich się „stołował“, chwytasz się więc tego jak piany płotu i wchodzisz w erę życia familijnego. Dobrze ci tam jak w niebie, siostra ci dogadza, wyszukuje twoje ulubione potrawy, wybiera najlepsze kaski i martwi się, że nie jesz. Nadchodzą twoje imieniny, stawiają przed twojem nakryciem bukiet i mrożą szampana, a siostrzenica Pipecia i siostrzeniec Mucio w odświeżonych sukienkach stanawszy przed tobą „tną“ swoją sztukę, pierwsza oracyę poczynającą się od słów: w dzień twego imienia, drugi wierszyk z prologiem: i ja mały, wuju drogi! Przytem od siostry dostajesz pantofie a od szwagra etui na cygara. Robi się scena familijna, siostra płacze,

bębny wrzeszczą, ty stoisz jak fizyk i nie wiesz co robić. Oprócz tego wieczorem sprawiają ci imieniny i spraszają pół tuzina mężatek i tuzin panien. Mężatki cię lubią bo się z tobą dobrze bawią, gdyż jesteś dowcipny i masz dar opowiadania „pikantnych“ plotek — panny się boją i usuwają gdyż masz „obrzydliwy język“ i wiedzą z góry, że „flirt“ z tobą do niczego nie prowadzi.

Mimo to uważasz, że cię sadzają przy kolacyi koło niebezpiecznej brunetki, która się śmieje z twoich dowcipów i fiksuje na wskrós, podczas gdy stara ciotka szepce ci do ucha, że czas pomyśleć o sobie. Domyślasz się o co chodzi i po kolacyi ciotce i siostrze robisz awanturę.

Te imieniny z brunetką, ta siostra i ciotka szepce do ucha, to wszystko oznacza, że trzydziestka dawno skończona i że ludzie cię żenią przyjacielu. Lansujesz się w świat, robisz wizyty, bywasz wszędzie na balach, rautach i feifokłokach, mimo to duszno ci i ciężko wśród tej etykietalnej, zimnej, pełnej konwenansów atmosfery salonu, i wśród tych samych stereotypowych figur, których masz już po uszy, chcesz więc wyrwać się w świat szeroki, rozerwać myśl i orzeźwić ducha.

Bierzesz więc sakwojaże i jedziesz znowu w świat, jednak wszędzie znachodzisz to samo, tę samą komedię życia, tę samą maskaradę osób

i wracasz jeszcze więcej zły i znudzony. W tym czasie przychodzi na ciebie epoka manij, passyj i różnego rodzaju dziwactw jak u każdego starego kawalera. Zbierasz sztychy i stare obrazy, kupujesz papugi i kanarki lub lubujesz się w kwiatkach, okrzykują cię dziwakiem, masz zamiłowanie do muzyki, sprowadzasz pianino i rzempolisz po nocach. obwołują cię melomanem. Nic nie robisz, nie wydajesz i nie kupujesz, zostajesz pasożytem i starą kutwą.

Nieraz w nocy, gdy otworzysz okno i z ogrodów dojdą cię zapach i świeżość kwiatów, gdy patrzysz na miliardy gwiazd, czujesz, że cię łechce coś koło serca, że cię ogarnia jakaś tęsknota i że jesteś bardzo małym i bardzo samotnym. Rzucasz się więc na łóżko, myślisz, o swoim jestestwie, o przyszłości, i o tem, czyby nie było to dobrze ożenić się. Ta tęsknota, te miliardy gwiazd, ta noc bezsenna, to znaczy, że jesteś koło pięćdziesiątki, i że djabeł cię żeni przyjacielu. Rano się budzisz myjesz głowę zimną wodą i odpędzasz diabła, tak jak już odpędziłeś ludzi.

Nie koniec na tem, pewnego dnia przeziębiasz się, dostajesz gorączki i dreszczy, kładziesz się do łóżka i wołasz lekarzy. Pierwszy z nich kiwa głową i mówi, że będzie zapalenie płuc, drugi robi to samo i jest przekonania, że to tyfus, trzeci nie robi i nie ma żadnego przeko-

niania. Zapisują ci trzy flaszki leków i odchodzą. Zostajesz sam jak palec i leżysz jak pies. Podczas choroby siostra, szwagier, brat i bratowa nie odwiedzają cię, bo mają dzieci, przysyłają ci tylko flaszkę soku malinowego i filizankę kleiku. Nauuczony doświadczeniem robisz „votum,” że jak wyzdrowiejesz, to się ożenisz. Wstawszy idziesz do lustra, patrzysz i śmiejesz się, masz zmarszczek tysiące, jesteś siwy, łysy i stary, machasz ręką i by nie być samym, przyjmujesz gospodynię. Gospodyni jest fertyczną wdówką, beszta cię, kłóci się z tobą i opanowuje kompletnie. Świat tymczasem okrzykuje cię starym lampartem. Lecz i to trwa niedługo, gospodyni ma kuzyna, który ją odwiedza, to ci się niepodoba i robisz jej scenę jedną i drugą, wreszcie powróciwszy pewnego wieczora do domu, nie zastajesz ani gospodyni, ani kuzyna, ani gotówki kilkuset złotych w szufladce.

Zostajesz znowu sam, otwierasz okno, wykadasz pokoje, siadasz na fotelu i przychodzisz do przekonania że „spartaczyłeś“ życie, w końcu zgadzasz się na to, co powiedział już dawno pewien mądry człowiek nazwiskiem Chateaubriand, że całkiem podobne do ruin oświetlonych ogniem bengalskim są wspomnienia starca z ubiegłej młodości. A młodość, przyjacielu, to piękna i dobra rzecz, tylko ma dwie wady, że można ją mieć raz tylko życiu, i że mija niepowrotnie.

Lwówianka.

Najmniej domyślny z czytelników odgadnie, że nie ma tu mowy ani o gazecie zwanej *Lembergerką*, ani o polce tremblante, istniejącej pod tym tytułem — ale o tej lepszej i piękniejszej połowie naszego grodu, do której Gustaw w „Dziadach“ odzywa się bez żadnych ceremonij: „puchu marny, ty wietrzna istoto“ a którą pełen kurtoazyi dla dam wieszcz niemiecki nazywa „himlische Rose“.

Lwówianka nie ma wybitnego typu, bywa tak dobrze brunetką o klasycznym profilu, jak też blondynką o fiołkowych oczach i zadartym nosku, nie ma ona ani szyku Warszawianki ani szczebiotu dziewczoi krakowskiej, ale ma swój właściwy wdzięk i urok, z którym jest jej do twarzy i który zupełnie jej wystarcza.

Gdy jest dzieckiem, uczą ją po francusku dla tego, bo w tym języku wiele pięknych książek

napisano — po angielsku zaś z tej przyczyny, że po francusku mówi już teraz prawie każda kucharka.

Uczą jej także muzyki — a że nieszczęście chodzi zawsze w parze — więc dla kompletnego wykształcenia uczy się przytem śpiewu. Będąc muzykalną jest albo uczennicą partyi Mikulego, albo partyi Marka. W pierwszym wypadku grywa etiudy Szopenowskie, tuszuje klawisze piano, czytuje „Meditations poetiques“ Lamartina i lubuje się w kolorach niewinności; w drugim wypadku bije w klawisze *forte*, wykonuje z precyzją rapsodye Liszta, ma w swoim pokoju biust jego na etażerce a fotografię nad łóżkiem i od czasu do czasu występuje początkowo jako „Wunderkind“ a później jako prawdziwy talent w amatorskich koncertach. W obu wypadkach chodzi do konwiktu, uczy się wiele i pilnie. Często jednak zdarza się, że umie wyciągać pierwiastek kwadratowy, wie kto napisał „Nouvelle Heloise“, kto „Pawła i Wirginię“ a kto był ostatnim z Merowingów — nie umie jednak zliczyć, ile kucharka przyniosła „reszty“ z miasta, nie wie kto był Klonowicz a co napisał Krasicki i zostaje w niepewności czy pod Parkanami Chińczycy pobili Ormian, czy Szwedzi Hiszpanów.

Gdy jest młodą, zachwyca się Hermanem i Panem Tadeuszem, z latami poczyna marzyć

o Edmundzie w królu Lirze, Karolu Morze i Bohunie. Okaz sawantki czyli tak zwanej *bas-bleu* jest zjawiskiem bardzo rzadkiem i trafia się jak wszędzie między starymi pannami, które za męża dla tego nie wyszły, że nie miały sposobności. Rozgoryczona do ludzi zostaje sawantką i wtedy nosi okulary, czyta filozofię praw Montesquiego i jada pomarańczową skórkę.

Jako panna w świat wchodząca debiutuje po raz pierwszy na herbatce tańczącej u wujostwa lub stryjostwa, gdzie tańczy całą noc do upadłego, poczem zakochany kuzynek z ósmej klasy, mający koneksye z dziennikarzami, umieszcza artykuł w *Kurjerku*, że ongi na świetnym balu u państwa Ypsylonów, między pięknymi najpiękniejszą była czarująca panna X.

Jako narzeczona zaznacza się tem, że ukazuje się pewnego wieczora na „Trawiacie“ lub „Marcie“ w łoży pierwszego piętra z bukietem olbrzymich rozmiarów i pudłem pomadek, leżącym przez wszystkie akty na ekranie łoży. Z narzeczonym afiszuje się bardzo rzadko i dopiero na tydzień przed ślubem daje się widzieć razem z nim *bras-dessus bras-dessous* na spacerze w ogrodzie pojezuickim w asystencyi mamy *en arriere* o dziesięć kroków. (Słoń jako już niepotrzebny zostaje w domu).

Pod względem wyboru męża ma nieraz (a może i często?) przesadzone pojęcie. Marzy o pięknym, rozumnym właścicielu trzech wsi, czwórki i migdałowej libery, jest jednak wyrozumiałą i łatwo zstępuje do poziomu rzeczywistości i wtedy wymarzone gniazdko z atlasu, koronek, puchu i jedwabiu wśród angielskiego parku, realizuje na adjunkta lub konceptistę i na pomieszkancko o trzech pokojach na drugim piętrze z widokiem na *quartier* żydowskie lub fabrykę mydła. Upodobanie do wsi podtrzymuje w niej mama od dziecka, argumentując, że nie da ją na biedę za urzędnika, ale za „kogobądź“ na wieś, gdzie nie trzeba kupować ani marchwi, ani pietruszki, gdzie się ma wszystko w domu i nie nie kosztuje.

Jest wesołą lecz z taktem i pamięta o tem, że *du sublime au ridicule* tylko jeden krok. Ubiera się gustownie i świeżo, prowincyi nie lubi i śmieje się z niej — a obaczywszy na ulicy istotę w rembrandowskim kapeluszu, mantyli i szkockiej sukni z tuniką (moda małomiasteczkowych dam) jest mocno zgorszona.

Z balów publicznych najlepiej lubi bal prawników i pikniki urządzone przez Dziunia lub Werka. W teoryi głosuje za wieczorkami „wełnianemi“, ale w praktyce okazuje się w sukience *crepe de ehine* lub *satin merveilleux*. Na balu pu-

blicznym, jeżeli jest arystokratką, tańczy tylko kadryla, po którym zaraz wychodzi — pseudo-arystokratka zostaje do mazura — kobieta z burżuazji tańczy kotyliona i najlepiej się bawi.

Pierwsza, arystokratka, przebywa we Lwowie tylko sezonowo i dopiero po doświadczeniach doznanych w Wiedniu, Paryżu i Nicei, osiada na starość we Lwowie jako ciocia Micia. Wówczas robi wiele dobrych uczynków, urządza kwesty i składki na biednych, lubi pieski, całuje księży w rękę i jeździ starą kareta i takimiż końmi na nieszpory.

Lwowianka jako mężatka jest dobrą gospodynią i dobrą żoną, dlatego też *species* mężów z rogami należy w grodzie Lwa do białych kruków. Mężatka mówi wiele i o wszystkim: o historii, wychowaniu dzieci, o hipnotyzmie, achromatopsyi, polityce, teatrze i wyborach do rady miejskiej. Nie wyklucza jednak — oprócz niewinnych plotek — rozmowy na temat sukien, robionych u Biernackiej, konfekcyi Stachiewicza i Abrysowskiego i kapeluszków Szalkiewiczowej. Jest zdrową i mimo nie nadzwyczaj silnej konstytucyi (nie zawsze bywają bardzo silne) a jeżeli dostaje cierpienie neuropatycznych lub anemicznych, to tylko dlatego, by przekonać męża o potrzebie wyjazdu do Krynicy lub Żegiestowa. Ma ładną cerę, lecz mimo to dla pewności używa wiele

pudru. Fizyonomie malowane, widziane na ulicach Lwowa, należą jedynie do kobiet przejezdnych.

Jest oszczędną, kieszonkowego czyli na szpilki nie lubi wydawać, z tego względu książek nie kupuje tylko wypożycza — prenumeruje pism bardzo mało i to tylko „Bluszez“ w dodatku do *Dzien. Polskiego*. Gier hazardowych nie cierpi, lecz wista licytowanego grywa bardzo chętnie, pali przytem papierosy i robi jej wielką przyjemność, gdy może „palnąć“ wielkiego szlema.

Kokietuje tylko w obecności męża. Najniebezpieczniejszą jest, jak słusznie powiedział pewien młody publicysta, na festynach, sprzedająca losy na loteryę fantową. Wtedy umie być nadzwyczaj miłą i czarującą. Nietyle przyjemną bywa podczas kwesty wielkanocnej.

Jest pobożną, chodzi na „dwunastówki“ w niedzielę do katedry, na majowe nabożeństwo do Karmelitów i na wszystkie śluby do Bernardynów. Lubi teatr, zwłaszcza operetkę, nad którą przenosi cyrk. W obec tej kwesty wkrótce opuści prasę na kształt Dumasowskiej „Les femmes qui tuent et les femmes qui votent“ rozprawa p. t. „Kobiety, które chodzą do teatru i kobiety, które przepadają za cyrkiem“.

Do restauracyi nie uczęszcza. Natomiast często jest widzianą w cukierni, gdzie jada „małe owocowe“ i robi przegląd toalet. Jak każda ko-

bieta w ogóle nie znosi by inną chwalono w jej przytomności i dlatego Lwowianin z zasady o „nieprzytomnej“ mówi do obecnej, że „nie wie co ludzie na niej widzą, ale on ją znajduje mocno nieładną“.

W „the last leaves“ w jesieni życia po czterdziestce kokietuje najchętniej i jak tradycya z famą podają, ma swoją historję. Zresztą mówiąc po lwowsku „co tu wiele gadać“ czy we Lwowie, czy w Paryżu, czy w Singapore, czy też na Przylądku dobrej nadziei kobieta była, jest i będzie, wszędzie i zawsze sfinksem na wskrós znanym a przecież nigdy nieodgadniętym.

Lwowianin.

Każdy osobnik płci męskiej, zamieszkujący przestrzeń czterdziestu sześciu kilometrów, leżącą u stóp góry Zamkowej a przewitą wstęgą zasklepionej Półtwi, ma prawo do uzurpowania sobie tej nazwy. Obojętnym jest w tej mierze względ, czy osobnik ten czerpał światło wiedzy na uniwersytecie im. Franciszka Józefa, czy tylko w szkole św. Marcina, czy siły swoje krzepi pod „Capkiem,” czy też w hotelu George’a, lub czy korzysta z dobrodziejstw kuchni ludowej i herbaciarni zimowej, czy też z innej tłściejszej synekury krajowej, zagwarantowanej tylko dla uprzywilejowanych.

Pytanie, jakim był Lwowianin przed wiekiem, pozostanie obecnie bez odpowiedzi, kwestya ta należy bowiem do specjalności p. S. P. i ten ją jedynie może wyjaśnić. Pewną natomiast jest rzeczą, że autor niniejszej monografii: „Lwowianin terażniejszości“, źródła do swego dzieła czer-

pał częścią z kalendarza na r. 1889, częścią z książki meldunkowej policyjnej, częścią zaś z innych podobnych arcydzieł.

Owocem mozolnych tych studyów jest silnie nabyte przekonanie, iż Lwowianin, mimo zachodzących wszelkich poszlaków, że formę swych urzędzeń wewnętrznych kształcił na pierwowzorach Aten i Sparty, skreował ją zwłaszcza pod względem odcieni stosunków towarzyskich, według przykładów formowania się kast indyjskiej i egipskiej. Z pomieszczenia przypuszczalnej tej kombinacji, wytworzyły się trzy odmiany Lwowianina: Lwowianina arystokraty, Lwowianina klasy średniej i Lwowianina demokracji.

Pierwszy, arystokrata, *vulgo* pan z panów, jest istotą kosmopolityczno-bezbarwną i etykietalnie woniejącą. Drugi demokrat, *vulgo* kołtun, okazuje na zewnątrz mniej form subtelnych, lecz gdy chodzi o stronę wewnętrzną, kryje w sobie wiele ziarna zdrowego do posiewu tradycji rodzinnych, miłości kraju i innych szlachetnych aspiracji. Trzeci pośredni, między pierwszym a trzecim, to jest osobnik z klasy średniej, przychodzi wprawdzie na świat w ten sam sposób co dwaj pierwsi, ma jednakże to do siebie, że jest z zasady karierowiczem, coby wcale w gruncie rzeczy nie było złem, gdyby nie było połączone

ze sporadycznym wywracaniem rozmaitych koziółków politycznych.

Wszyscy trzej jako mężowie polityczni zaznaczają się tem, że są albo wręcz safandułami, albo wprost, borbifaksami.

W ogólności Lwowianin jako typ rasy, nie posiada żadnej szczególnej odznaki, nie ma ani klasycznych rysów Adonisa, ani budowy Antinousa, ani larwy Ezopa, jest tem, czem chce mieć mężczyznę staropolskie przysłowie, jest „ładniejszym od diabła“.

Pod względem ubrania zastosowuje się do pory roku z tą różnicą, że demokrata „zakaca“ inexprimable jedynie w dniu niepogody, arystokrata zaś i w pogodę.

Przeważnie jest mocno uczonym, choć liczne przykłady miejscowe namacalnie pouczają, że mniej uczeni lepszą robią karierę.

Lwowianin przeciętny jest lojalnym, czego najlepszym dowodem jest okoliczność, że w murach jego grodu bierze światło dzienne *Lembergerka*, jest odważnym, co popierają liczne niekrwawe pojedynki, jest wreszcie dobrym i wiernym mężem, czego najlepiej dowodzą księgi metrykalne i statystyczne wykazy wzrostu ludności miasta. Jest istotą przytem nadzwyczaj towarzyską i pod tym względem łączy w sobie wiele cech kosmopolitycznych. Lubi śniadanka *à la* Mika lub

Hawelka, jak Krakowianin, kawiarnię jak Paryżanin, piwiarnię jak Wiedeńczyk, a wieczorne życie klubowe jak mieszkaniec Londynu. Operetki chętniej słucha niż opery, farsę przynosi nad dramat a za cyrkiem formalnie przepada. Latem pilnie urządza wycieczki do Zimnej wody i na Pohulankę i uczęszcza chętnie na festyny do jezuickiego ogrodu i na Wysoki Zamek, gdzie starannie unika stolików z loteryą fantową.

Z zasady miejscowe swe zabytki sztuki i archeologii ignoruje i z całą pewnością z ręką na „sumieniu“ stwierdzić można, że połowa Lwowian nie zna ani Ossolineum, ani muzeum Dzieduszyckiego.

Pod względem chronologii jest nie tęgim i rachubę czasu oblicza albo erę balu lekarskiego lub pobytu cesarza w Galicyi. W epigrafice jest o tyle silnym, że bez odczytania napisu odróżnia śliwowiec od koniaku i bez przeczytania szyldu wie, gdzie najlepsze piwo a gdzie wyborne fiaczki.

Numizmatyką się nie trudni i przynosi nad nią „barówkę“ terażniejszości. Heraldykę zna o tyle, o ile ta odnosi się do pochodzenia i rodu wodu najświeższych hrabiów. Pasyami lubi frazeologię, nie znosi jednak oschłego, pedantycznego i nieharmonijnego zestawienia słów, a w skarbnicy swych prowensalizmów oprócz słów: abo, potemu, oczywistna, namiesnik itp. posiada całą antologię

wyrażeń, o których Lindemu się ani nie śniło, a na brzmienie których panu Małeckiemu robi się aż niedobrze.

Czy jest takim, czy owakim, ma w sobie jednak coś tak oryginalnego, taki zeń bije duch od Pełtwi i tyle kryje w sobie samodzielnej odrębności, że, czy napotkany w murach grodu syreniego, czy pod Wawelem, czy gdzie indziej, gdzie mogą ocenić jego wartość i gdzie mówią polskim językiem, każdy na pierwszy rzut oka, na pierwsze otwarcie ust powie o nim: Oho, to Lwowianin!

M e c e n a s.

Ponieważ przydarzają się w dobie życia ludzkiego sprawy, w których zwykły przeciętny śmiertelnik, mający „interesa“, wchodzi w konflikt z postępowaniem sumarycznym, bagatelką, przysięgą główną odkazalną, lub paragrafami kodeksu karnego, na tle o tyle niejasnym, o ile pogmatwanem, więc wszystko przewidująca twórcza natura nie zapomniała skreować osobnika, któryby te gmatwaniny tak umiał zakrecać, by je subiecki Temidy z trudnością byli w stanie rozkrecić,

Być może, że klasyk rzymski, pisząc poetyczną apostrofę poczynającą się od słów: *mecenas atavis edite regibus*, w wieszczym duchu przeczuwał, że w XIX. stuleciu do zdobycia tej pozycji światowej oprócz doktoratu potrzebną będzie sześcioletnia praktyka adwokacka i jednoroczna służba sądowa, w każdym razie nie śniło mu się jednak,

by w czasokresie, w którym w Anglii odmiana ta rodzaju ludzkiego z „clerka“ staje się „sollicitem“, w klimacie naszym z mundanta przekształcała się dopiero w koncypienta.

Co najmniej wielkim ignorantem byłby ów, ktoby nie wiedział, że mundant jest najnędniejszą, o nadzwyczaj zasmarowanych atramentem palcach, istotą pod słońcem. Cechy te j duak nie odbierają mu możności rozmnażania wielokrotnie elokubratów noszących nagłówki, jak: Wysoka Dyrekcyo, Świetny Sądzie i Prześwietna Komisyo, zarazem nie powstrzymują samego pryncypała lub pierwszego koncypienta od uważania go za nie więcej, jak żywą maszynę, co się przyczynia do tego, że nawet najgoiszego gatunku klient z Kleparowa ma go za „baj bardzo“.

Jeżeli w ogóle odzywają się do niego, to po to tylko, by się dowiedzieć, czy Bajtała już „gotów“ i czy Wiórkowska odpisana, a jeżeli odpisana by go „wykudłać“ za to, że opuścił miejsce na stempel lub zjadł trzy wiersze z referatu.

Z biegiem lat spartaczywszy przepisane egzamina rządowe, zostaje wpisany w izbie adwokackiej jako koncypient. Rozchodzi się teraz o ulokowanie w jakiej „porządniejszej“ kancelaryi. Porządna kancelarya ma naturalnie wiele do roboty i niezgorszą klientelę, zadaniem jest więc nowo inaugurowanego koncypienta chodzić na

„orałki“, brać delacyę ile i kiedy się uda, uważać na „kontumacyę“, biegać na termina do sekcyi i tamże ściśle przestrzegać, by nie zapomnieć powiedzieć praktykantowi „panie sędzio“ — a kanceliście „panie sekretarzu“.

W między-czasie wydała się sześciokrotnie na trzy rygoroza do Krakowa. poczem bezzwłocznie zdaje egzamin sędziowski. co mu umożliwia wpisanie się na listę obrońców w sprawach karnych, przy której to sposobności nie zaniedbuje przybicia dwóch ogromnych tablic, jednej w sieniach, a drugiej na drzwiach pomieszkania. Okoliczność ta jest powodem, że dostaje z urzędu obronę przed trybunałem sądu przysięgłych o kradzież lub podpalenie i pewną ilość „pysków“ w sekcyi III., która to klientela za wynagrodzeniem od sztuki po 2 złr. przymusza go do używania w większej ilości perskiego proszku. Ponieważ zaś życie ludzkie ma to do siebie, że tak złe, jak i dobre jest w niem przemijające, więc się nie opatruje, jak termin siedmiu lat przemija i cały dowcip teraz na tem polega, by otrzymać „dobrą“ komisję, zbyć się egzaminu fachowego i jednocześnie wypisać we wszystkich dziennikach krajowych, że „otworzył kancelaryę.“

Nie trudno zrozumieć, że o ile przyjemnem i zabawnem jest urządzenie kancelaryi o pięciu pokojach z salonem do przyjęcia, garniturem

atłasowych mebli i sznelkowemi portyerami, o tyle przykrem jest przeświadczenie, że wszystkie te artykuły jeszcze nie zapłacone i że przyszła klientela ma pokryć budżet na to przeznaczony w zupełności. Pierwszą do tego prowadzącą drogą jest złożenie szeregu utartych wizyt w czarnym fraku i białym krawacie przedstawicielom siódmej rangi według szematyzmu, mająca na celu nie tyle żądę poznania tych osobników ile przypomnienie, że egzystują instytucje humanitarne, mające swój wyraz w słowie „konkurs“, które jest i było zawsze echem anielskiego pienia dla każdego adwokackiego ucha.

W pierwszych miesiącach otwarcia kancelaryi zdarza się z reguły, że w biurze zjawia się jedynie staruszek procesujący od lat pięćdziesięciu dalekich krewnych na Wołyniu i kolega z lat szkolnych, panicz, który puściwszy całą ojcowiznę oddaje mecenasowi z całym zaufaniem sprawę uregulowania stosunków majątkowych. W czasie tym ma się dużo kłopotów, nie mało ambarasów i bardzo wiele długów. W następnym roku przytrafia się jeden kontrakt kupna i sprzedaży, dwie pożyczki z kasy oszczędności i dwurazowy wyjazd do Wiednia dla popierania pewnej sprawy w najwyższym trybunale, co przez famę przyjaciół daje rozgłos, że kancelaryja „idzie“ świetnie.

Dzięki tej reklamie żeni się z posagiem reprezentowanym przez kapitał w przecięciu od 10 do 20 tysięcy guldenów. Suma ta wystarcza, jak uciał na spłacenie długów kawalerskich, urządzenie kancelaryi, przyjęcie drugiego koncypienta, urządzenie dwóch świetnych bali w karnawale i trzyrazowy wyjazd z magnifiką po kolei do Żegiestowa, Szczawnicy i Krynicy.

Że zaś powszechnie notoryczną jest okoliczność, iż szczęście idzie zawsze w parze, więc za protekcją otrzymuje masę konkursową „konfekcyi damskich“, w którym to przebiegu czasu pani mecenasowa ubiera się jak „królowa“, a pan mecenas jako protegowany, jest przedmiotem zazdrości kolegów wszystkich wyznań.

Widocznie za słuszne może być uważane twierdzenie Carlyla, że na świecie człowiek jest stworzeniem najmniej umiarkowanym, gdyż pan „komisarz konkursowy“ na wygórowane koszta mecenasa odpowiada tą samą maksymą i przysięga na wszystkie świętości, że diabła zje prędzej, nim dostanie drugi konkurs.

Po tych niezwykłych wysiłkach fortuny, następuje chwilowa stagnacya, przeplatana nieprzyjemnem intermezzo z pierwszym koncypientem, który wydalony wiesza psy na mecenasa i całą kancelaryę, poczem następuje bankructwo dwóch głównych klientów i jednocześnie z zenitu punktu

kulminacyjnego, w braku nowych klientów, poczyna się niemiła, aczkolwiek trochę spodziewana dekadencja.

Za pierwszą oznakę tego stanu, bezwątpienia uważa się odmianę pesymizmu, pod wpływem którego mecenas nie dowierza całemu światu i sam w własnej osobie biega i na orałki i termina i do protokołu podawczego i do registratury, a gdy czasem wpadnie na chwilę do handelku dla pokrzepienia się na śniadanko, przeklina wtedy konkurencyę, stawia teorje o reformach i wyrzeka na sądy, lub z westchnieniem żałuje, że nie wstąpił do namiestnictwa, bo byłby dzisiaj na pewniaka... już dawno starostą.

Karjerowicz.

- Pan dobrodziej zdaje się z Kołomyi?
— Nie panie!
— Co za dziwne spotkanie... bo ja także nie
jestem z Kołomyi.
— Tak!... Jestem Jęczmionowicz, właściciel
dóbr, a to mój syn Dziopcio, pan przebaczy, że...
— Przebaczam panu, bardzo mi przyjemnie!
— Ale jeszcze jedno... a pańska kondycya!
— Nie lubię się tam chwalić ale powiem zre-
szta panu kto jestem, jestem „od notaryusza“...
— A... a... a... to pięknie, bardzo pięknie!

Interwiew ten miał miejsce w handelku ko-
rzennym, gdzie wstąpiłem z kolegą na śledzia
i porter, które to specjały w dniu wigilijnym Bo-
żego Narodzenia spożywane bywają w wielkiej
ilości. Zatem marynaty, śledzie i sardynki miały
ogromny popyt, porter i „pale ale“ pieniądze pu-

szyły się w szklankach, młody facet z sechserami do przodu, dyrygował tuzinem chłopców do usługi, słowem było gwarno i wesoło. Przypatrzyłem się tymczasem moim nowym znajomym. Papa miał okrągły brzuch, gębę od ucha do ucha i siedm podbródków. Przeciwnie, potomek był więcej płaskim jak okrągłym, miał cerę koloru angielskiego sera, oczy albinosa i robił wrażenie martwej żaby pod prądem galwanicznym.

— Uważa pan dobrodziej — zaczął starszy — syn mój zdał „panie-tego“ prawa i po świętach, chciałby gdzieś wstąpić, ale gdzie? tu sęk. Zrobiliśmy krótki przegląd. Resumé: Do sądu nie warto; adwokatów jak za pozwoleniem psów: do „finansowej“ nie wypada; przy prokuratorji nie ma widoków...

— Możeby do notaryusza? — bąknąłem...

— E! to nie! Obywatelskie dziecko... prędeż do Namiestnictwa. Chłopak ma głowę, może zrobić karierę, młody, niech pracuje, a mówią „panie tego“, że praca dziś popłaca...

— Do kroćset djabłów... pruderzy tak mówią... ale to nie prawda! Rozumiesz pan?

Indywidualum. które wyrzekło te słowa, waląc jednocześnie pięścią w stół, siedziało zaraz obok nas w singeltona, piło bisporter jak wodę i wyglądało na „kolekturnika“. Mogło być także być użytym bardzo dobrze jako karawaniarz, a w rze-

czywistości było filozofem w czarnych okularach, z czarną, jak szczotka do artylerzyckich butów brodą.

Podobne indywidua tytułują zawsze „profesorem”.

— Profesor ma rację! — rzekłem.

— A co panie Dobrodzieju popłaca. powiedz panie tego co? — poderwał papa troskliwie.

— Protekcyja i błędy własne! — Rozumiesz pan, błędy! — Im więcej masz pan wad, tem większa czeka cię karjera i to właśnie jest tak zwane złe konieczne, *malum necessarium* — *mal-necessaire...*

Towarzysz mój, który w okazjach śniadaniowych zachowuje się zwykle jak ciotka balleriny, jedząc pijąc i nie troszcząc o nic więcej, zainteresowany jednak — ustami pełnemi „mieszaniny“ wyjąkał: — Profesor ma racją... jedź profesor dalej!

Profesor jechał dalej:

— Pierwsze tedy konieczne, dodatnie wady są: gburowatość i opryskliwość. Być gburem, znaczy mieć patent na wszystko, mieć najlepsze krzesła, zajadać najlepsze kąski, słowem, być niezapomnianym.

Dobrze jest także być przytem upartym i natrętnym; wyrzucić go drzwiami, on wróci oknem — wyrzucić oknem, on wróci drzwiami.

Co zaś najwięcej popłatnem jest w robieniu karyery — to... kompletna głupota!

— Coooooooooo?!

W tej chwili Dziopecio zachłysnął się kawałkiem ości marynaty, dzięki jednak memu towarzyszowi, który orientuje się nadzwyczaj szybko, odebrawszy kilka razy w kark, przyszedł wnet do równowagi.

Papa postanowił ten epizod uświęcić:

— Szampańskiego i kieliszków! — zawołał — słyszysz tam!

Profesor tymczasem ciągnął dalej:

Głupota, powtarzam, jest warunkiem nieodzownym. Macie przykład... na przykładzie najlepiej. Masz dwóch siostrzeńców, albo bratanków; pierwszy jest chłopak pełen woli, rozumu, nauki i inteligencji. Patrząc na niego mówisz: o tego jestem spokojny. I rzeczywiście, nie zajmujesz się nim i nie szukasz dlań protekcji, pozwalając, aby sam sobie wyrabiał w świecie stanowisko. Ale jest drugi jeszcze Maciuś, durny Maciuś, nieznający ortografii, piszący „chleb“ przez „p“ a „gniew“ przez „f,“ słabych talentów, potulny, poczciwy ale głupi. Ten cię niepokoi, zwołujesz więc radę familijną, zakładasz ręce po napoleońsku i desperacko zaczynasz: co my poczniemy z tym chłopcem? Trzeba koniecznie zrobić z niego człowieka. Koniec końców ciocia hrabina robi 20 wizyt,

stryjek dygnitarz, poseł do Rady państwa popiera swymi wpływami. Maćko zostaje prowizorycznym zastępcą substytuta mandaryna. Mija rok jeden i drugi, Maćko je, pije, trawi, całuje po rękach, kłania się w 15 pozach — zostaje rzeczywistym zastępcą mandaryna. Po 10 latach siostrzeniec bez protekcyi jest prowizorycznym zastępcą, podczas gdy durny Maciuś już od roku cieszy się godnością rzeczywistego mandaryna.

— Zdrowie profesora! wiwat! Entuzjazm ogromny. Dziopcio znów się krztusi — teraz biją go w kark wszyscy, nawet chłopak obnoszący talerze, wali co siły, wreszcie go odratowują.

— Jedź proferor dalej!

Profesor jedzie dalej: Na większe niebezpieczeństwa narażona już jest zuchwałość, lecz szczęśliwi ludzie obdarzeni tym darem mają węch nadzwyczajny. Zuchwalec wie zawsze gdzie, kiedy i jak można być zuchwałym. Posiadający zaś wszystkie te wady, przytem mało charakteru i jeszcze mniej zasad, może sobie powiedzieć: zrobiłem karierę. Bo proszę państwa weźcie jakiego deputowanego, który zastępuje sprawę naszą naprzykład w Kochinchinie lub w Patagonii. Do licha zda się on nam na co, jeżeli ma krztę sumienia i na chorągwi swojej wypisze od razu *credo* swoich zasad i zapatrywań. Każdy wie naprzód, czego można po nim się spodziewać. Ale dajcie mi takiego, co

to jak chorągiewka na dachu kręci się i obraca podług wiatru, dziś tak, jutro tak, ten co innego, na tym można już budować, ten może zrobić wiele, bardzo wiele, ten jest dumą i nadzieją kraju!

To mówiąc profesor założył czapkę na głowę, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Papa Jęczmionowicz się zafrasował.

— Panowie! — rzecze — powiedzcie, będzie co z mego Dziopcia?..

— Czemu nie ma być — co tu wiele gadać... będzie mandarynem i basta!

Stara panna.

Jesteś panną na wydaniu, świeżą i młodą, zajęciem twem jedynem zapiekać grzywkę, pudrować twarz, myśleć o sukni, jaką przywdziejesz nazajutrz i martwić się tem, że krawcowa źle skroiła ci narzutkę.

W domu chodzą koło ciebie na palcach i uważają cię nie za istotę przeznaczoną do życia i do zmiennych kaprysów losu, ale za kwiat w cieplarni, mający się rozwijać, żyć i więdnąć wśród sąmych uśmiechów szczęścia.

Lada przeciwność doprowadza cię do rozpacz i zdaje ci się, że złe dla ciebie nie istnieje a jeżeli natrafisz na jaką przykrość, to jest ona wydarzeniem anormalnem i ciężką krzywdą nie do przeżycia. Miłości nie znasz, przeczuwasz ją tylko z romansidel i poezyi, pełną teatralnej emfazy, rymowanych frazesów, idealnych westchnień i patetycznych przysiąg.

Skłonnością marzycielską i talentem do obrazowania przyszłą postać jego wymarzyłaś wśród nocy wiosennej przy świetle księżyca i świetlany obraz rycerza i bohatera z za gór i lasów pielęgnujesz w twem sercu.

Nagle zjawia się zwykła kreatura człowiecza, która potrzebuje towarzyszek życia, która je, pije, chodzi i mówi, jak każdy inny zwykły śmiertelnik i tę przeznaczają ci za męża.

Oświadcza ci się, a że niezgrabna jego facjata daleką jest od wymarzonego ideału, śmiejesz się i dajesz mu kosza.

Jesteś jednak jeszcze bardzo młodą, świat ci się uśmiecha, czujesz, że masz prawo do szczęścia, wyobraźnia działa i pewnego razu gdzieś na balu, wieczorze lub koncercie, poznajesz faceta o czarnej rozczochranej grzywie i płomiennym wzroku, nabijasz sobie nim głowę i rozkochujesz na dobre.

Odtąd zamyślasz się często, błedniejesz i czerwieniejesz bez przyczyny, skubiesz stokrótki i pytasz: kocha, nie kocha — każesz sobie ciągnąć kabałę i z zapartym tchem czekasz wyroczni Sybilli o liście w drodze, nieprzyjemnościach, które cię czekają, przeciwnościach, które zwalczysz i pięknym brunecie.

Brunet tymczasem myśli tak o tobie, jak o zesłorocznym śniegu i o ślubie jego dowiadujesz się z dzienników.

W następstwie tego dostajesz naturalnie nerwowego płaczu i spazmów i zdaje ci się, że bryła świata koniecznie musi się ruszyć z posad. że gwiazdy i księżyc płaczą nad tobą i na przemiany kolejno pozujesz to na Porcyę to na Ofelię lub na inną heroinę z dramatu lub tragedyi.

Wszystko poczyna cię nudzić, wpadasz w apatyczną bezsilność i dostajesz bladaczki.

Podczas tego przedstawiają ci trzech lub czterech kandydatów do twojej ręki, na których nie raczysz nawet spojrzeć, a ciebie karmią tymczasem aż do skutku preparowaną malagą i fosforanem żelaza. Mało to ci jednak pomaga, gdyż w nieprzespanych nocach skrapiasz sownie łzami puchy swego dziewiczego łoża, szukasz ukojenia w modlitwie i postanawiasz wstąpić nieodwołalnie do klasztoru.

Pod wpływem jednak matki lub kogoś, kto ma wpływ na ciebie, usłuchujesz rady i by się nie ośmieszać, przychodzisz do opamiętania.

Ambicya bierze górę, z zawiedzionej miłości pozostają jedynie zeschłe kwiaty w medaljonie, z jednej ostateczności wpadasz w drugą, a zawiść do jednostki przenosisz na cały ród męzki i zostajesz — starą panną.

Z początku jest to rodzaj sportu, który cię bawi. Emancypując się, starasz się sama sobie wystarczyć, zapierasz w sobie kobiecość i to, co poeta nazywa *das ewig weibliche*, gonisz za ekscentrycznością, naśladujesz oryginalne dziwactwa i na tle tej skrajnej emancypacyi, wyrabiasz sobie przekonanie nie z tego, co życie dało i co daje, lecz z tego co dać mogło.

Przemocą wyrabiasz w sobie fałsz i hipokryzyę i wysnuwasz z głębin swego „ja“ ideał, który jest odzwierciedleniem spaczzonego ducha i chorobliwej fantazyi.

W filozoficznych zaciekaniach, wyszperanych z książek, rozgoryczasz się do świata i do ludzi. i rozpływasz cała w buddyjsko-szopenhauerowskich doktrynach, które cię odzierają z najlepszych twych części, a których doniosłości nawet nie rozumiesz.

Pędzisz życie samolubne a niby owiane miłością dla jakiejś wymarzonej idei, bezczynne a niby ruchliwe, życie bez sztandaru i bez celu na pozór silne a przecież chwiejne.

Jako kobieta, czując potrzebę kochania czegoś, nie umiesz utrzymać miary w sercu i miłość z ludzi przenosisz na psy i koty.

Rozkrwawiona pierś pelikana dla wyżywienia młodych przejmuje cię śmiechem, a niestrawność Zolki lub Filusia przyprawia do płaczu.

Zapominasz o tem, żeś pozbawiła świat o jeden ideał mniej, który można odnaleźć tylko w sercu kobiety i powodując się przesadną konsekwencyą rozlewasz żółć twą na zewnątrz, kłując żądłem złościwości do koła.

A gdy żółta i pomarszczona jak figa, z wyschłym sercem i wygasłym uczuciem, spojrzysz po latach na zeschłe kwiaty, ową pamiątkę minionej młodości, gdy usta twoje zadrgają jakąś cichą skargą, żalem lub modlitwą, to nawet wtedy zimny świat nie da ci współczucia i często gęsto obiją ci się o uszy gorzkie słowa:

— Ot, dziwaczka, stara panna!

L O R D.

(Studyum obyczajowe).

Jeżeliby który z heraldyków chciał lorda, o którym poniżej mowa wyszukać w spisie baronetów i parów trzech połączonych królestw, uprzedzam z góry, że go tam nie znajdzie. Nie zamieszkuje on ani dzielnicy koło Regents-Parku ani City, szukać go raczej należy nad mętłami wodami Pełtwi, jest to bowiem nasz swojski, czysto krajowy the lord of Lemberg. Od dziecka ma on już szczęście do epitetów, w szkole nazywają go paniczem, w biurze fanfaronem, w restauracyi „szimpfują“ hrabią, wreszcie w życiu codziennem, lordem. Lord lwowski łączy w jednej skórze dwa kontrasty: szyk paryżanina i spleen syna Albionu. Jak Rafael odczuwał piękno ewangelii i siedł za niem jak za natchnieniem, tak

dla lorda gwiazdą przewodnią są echa mody z nad Sekwany i Tamizy. Lord jest sparodjowanym typem i mimo naśladownictwa kreacją głębszą. w przeciwstawieniu do goga, który jest żywą imitacją żurnali i figurą czysto szablonową. Gdy Pelham poznaje człowieka tylko po kamizelce, to lord ocenia człowieka po całym ubiorze, podczas gdy gogo istocie odzianej w źle ściętą marynarkę odmawia wręcz cech człowieczeństwa. Co się tyczy znamion zewnętrznych, lord uważa jako niezbędne akcesorya dla dżentelmena, reprodukcję Georg'ea przy wisiorkach u zegarka, emblemata nadziei na mankietach i monetę wykopalisk do ozdoby krawatu. Wykształcenie lorda, jest bardziej gruntowne aniżeli goga i obliczone więcej na efekt, szkół albo wcale nie zaczyna i odebrawszy wychowanie domowe z miejsca staje się sportsmenem, albo kończy je, idzie do urzędu i wtedy zagina parol na karierę. Jako biurokrata, w obec kolegów, trzyma się na uboczu, okazuje swoją wyższość, odgrywa rolę „*cramoisi dissipateur*“ z nonszalansją i daje poznać, że uważa swą pensję jako bagatelkę przeznaczoną w budżecie na wodę sodową i tutki do cygaretów. W gruncie rzeczy tak źle nie jest i choć unosi się nad importowanymi cygarami jak Para-Usted, Union-Club lub Flor de mi gusto, mimo to, mówiąc o tem ęmi *con amore portorico* lub cuba po 4 centy. W ogóle lubi robić wraże-

nie człowieka, który przeżył całą gamę uczuć, wypił czarę rozkoszy do dna, którego już nie nie bawi i nie nie obchodzi i który jedynie dlatego wegetuje na świecie, gdyż jest z góry przeznaczony na spełnienie wielkiej misji dla ludzkości. Przy niemałej dozie zarozumiałości i sprytu, jest absolutnym, lakonicznym i mało ekspansywnym.

Nie może sobie wyobrazić, żeby oprócz niego, mógł mieć ktoś choć jakie takie wyobrażenie o kodeksie socyalnym, dlatego też w koncercie towarzyskiego pożycia jest dyssonansem, zjawiskiem apatycznym i prawie aroganckiem. W pogadanki poufne, czyli jak Anglik nazywa „small talk“ nie lubi się zapuszczać, mówi żeby go słuchano i uważano jak wyrocznie. Swoim „spechem“ zyskuje zdziwienie zamiast podziwu. Gdy się odważysz oponować igra mu na ustach sarkastyczny uśmiech przeświadczenia o twojej małości i głupocie, a gdy ostatecznie zniży się do twego poziomu, możesz znaleźć w jego olimpijskim spokoju tolerancję, lecz nigdy oznakę ratyfikacji. Kwestyi zawitych unika i z zręcznością węgorza umie się wyśliznąć z nieznanego terenu, natomiast w powierzehownych wszechstronnych gałęziach wiedzy, odzywa się z taką lekkością, pewnością i swobodą jakby od niego jedynie zależało zostać ministrem, admirałem lub arcybiskupem. Jest po największej części kosmopolitą. trzyma się zasad po-

lityki egoistycznej i utylitarnej a w ostateczności w każdym razie przenosi rządy oligarchii nad panowanie ochlokracyi.

Na zebrania towarzyskie jak rauty i reuiony chcąc zrobić wrażenie, przychodzi zwykle ostatni. W obec kobiet jest pełen zimnej elegauckiej i konwencyonalnej restrykcyi, w rozmowie z mężatkami umie zręcznie wplatać dwuznaczne ekwiwoki, w obcowaniu z pannami łączy lekkość pschutta z rubasnością dzokiejja i przybiera manieri paryskiego roué wśród grona premiowanych rosières.

By nie spowszednieć, wychodzi z wieczorów pierwszy i to z miną, która się zdaje mówić: Proszę tu tęsknić za mną, proszę się tu nudzić bezemnie. Gdy się bawi, robi to dla sportu; na bale uczęszcza chętnie, gdzie pozując w całej pełni, roztacza swój urok i wtedy jako mylord wyłoniony z Jokey-klubu, woniejący Ylang-Ylang'em, z konwalia w butonierce stara się odbijać od reszty towarzystwa, jak ambasador dworu Madryckiego na prazniku w Kulikowie. Gdy wszystko wibruje niekłamany m szalem wesołej młodości, on stoi oparty o kolumnę, patrząc na hasających z takim uśmiechem kontemplacyi, z jakim „biały“ patrzy na igrzyska hotentotów. Zapytany dla czego nie tańczy, odpowiada, że nie rozumie tańca, zwłaszcza w publicznem miejscu, bawia go jedynie gry higieniczne na świeżem powietrzu i

to w rodzaju jak criquet, football lub lawu-tennis— nadto wszystko jednak, przenosi — dobrą książkę. Literaturę ojczystą ignoruje, dzienników polskich wyjąwszy *Czasu* nie czytuje i w cukierni podniesionym głosem domaga się *The Graphic, Journal amusant* lub *Figara*, unosząc się jednocześnie nad kronikami Verona i rycinami Grevina. Czyta chętnie Guy-Maupassanta, Saint-Felixa i Pigault Lebrun'a (w oryginale) zaś z angielskich cały cykl nowych powieści Miss Braddon i Broughthon, jako też Mrs. Oliphant i Fullerton (w tłumaczeniu). Sztuki piękne uwielbia w okazach Suzanny Giordaniego, Ledy Veroneza i Magdaleny Battoniego, jakoteż w całej plejadzie szkiców traktujących sport koni i polowania. W towarzystwie mięszanem czuje się w nieswoim sosie i jak Turek do Mekki tęskni do klubowego życia w kasynie narodowym. Pod auspicjami wpływowej osobistości przechodzi czasami drzwi Sezamu, lecz zdarza się niestety i to, że unieczestwiony gradem czarnych gałek wpada w otchłań Nirwanny.

Spleen manifestuje ziewaniem i narzekaniem na lwowskie nudy. W teatrze rozparty w fotelu rozmawia głośno i pilnie lornetuje amfiteatr, gdy jednak od czasu do czasu rzuci spojrzenie na scenę, któremu akompaniuje ściśnięcie ramionami, to możesz wyczytać w tych ruchach krytykę

pełną politowania: mój Boże, jakie to lice! jakie to nędzne! jakie to trywialne!

Lubi w kółku przyjaciół (gdy ich ma) bawić się wspomnieniami odbytych podróży i porobionych konkiet i wtedy występuje na jaw znajomość jakiegoś udzielnego księcia Eselingen-Krauthausen-Ochsenkopf, bytność na salonach księżnej Batiaroff lub ścisła przyjaźń uroczej markizy Maroni della Laffi-Rynda. Rozmarzony lord (zwykle chłodny i prozaiczny) nie szczędzi wtedy poetycznych zwrotów i estetycznych ekstaz nad perskimi dywanami, kominkami z lapis lazuli i etażerkami, wysadzanemi niebieską emalią.

W jedzeniu trzyma się motta Larochefoucaulda: „że jeść jest potrzebą, lecz umieć jeść jest sztuką“ i omal że nie spada z krzesła, widząc istotę dwunożną i stworzoną na podobieństwo Boga, jedzącą rybę nożem. Kuchni swojskiej nie lubi i z lubością wspomina chwile rozbeefu zjedzonego w Londonhauzie i wypitego kieliszka wybornej Madeiry w American-barze.

Na punkcie honoru jest nasz lord drażliwym, bardzo rzadko można mu też pod tym względem co zarzucić i w danym wypadku umie go obronić skutecznie, choć z odcieniem emfazy teatralnej.

Mówiąc o kobietach, jest dyskretnym, lecz nieraz (naturalnie przypadkowo) wymknie się mu

z kieszeni tużurka wonny bilecik lub różowa ko-
werta z winietą niezapominajek. Ponieważ uważa,
że ręka królowej Indyj wraz z bogactwami Peru
i brylantem wielkiego Mogoła zaledwo jest w sta-
nie na szali zrównoważyć jego osobiste przymioty,
więc, co się tyczy projektów małżeńskich jest tru-
dnym i wymagającym.

Ceni w kobiecie szyk i elegancję i wysoko
stawia poczucie smaku, widząc zaś pannę źle u-
braną lub źle uczesaną, robi grymas na twarzy,
który wyraźnie mówi: ożeniłbym się z tobą po to
tylko, by ci dobrze przytrzeć uszu.

Lecz wszystko ma swój koniec i lord w osta-
tecznym rezultacie, kierując się więcej rozumem
jak sercem, znajduje istotę, której odwieczne losy
przeznaczyły w udziale przepłynięcie z nim razem
przez ocean życia, będący niestety nie zawsze
oceanem spokojnym. Najczęściej wtedy zdarza się,
że lady obejmuje ster, a lord żaglując, powoli traci
nawyczki lordowskie, wyrzuca po drodze niepo-
trzebny balast fantazji, wraca do równowagi zwy-
kłego śmiertelnika i opuszcza uszy...

All's well, that ends well!

F a g a s.

Szkic z czasów szkolnych.

Wrócili ze szkoły do domu „na stancję”. Każdy chwytą za leżącą na talerzu kromkę chleba z powidłami i wybiegają razem w pięciu na podwórzec pod kasztany do gołębnika z okrzykiem: a husz! a husz!

Niespodzianym napadem napastników spłoszone spokojnie gruchające na barjerze gołębie wzlatują kłębem w górę, kamienie i kasztany lecą za nimi, „purele“ wywracają kozła w powietrzu, co sprawia małym psotnikom ogromną uciechę.

Z kolei rzeczy aranżuje się kiczka, chowanka i wreszcie „szury-bury“ do kompletu którego koniecznie potrzebny jeszcze jeden partner.

— Farfurski, gdzie Farfurski? — rozlegają się głosy.

— Pewnie kuje, brzmi odpowiedź.

— Cóż kowal może innego robić jak nie kuć, dorzuca chłopak o zawadjackiej minie, którego nazywają „łepakiem,“ gdyż raz przeczyta i umie już na pamięć.

— Dajno spokój odzywa się wąły mały z delikatną twarzączką chłopczyzna, dajno spokój ty jesteś bardzo mądry, a wczoraj nie wiedziałeś „prostego“ *plusquamperfectum* od *laboro*.

— E, ty siedź cicho, ty nie masz tu nic do gadania, bo ty jesteś „fagas“.

— Fagas! fagas! siedź cicho fagas! brzmi *uni-sono* kwartet a jednocześnie grad kułaków spada na wątle plecy malca.

Kto choć raz w życiu chodził do szkoły, nie będzie mu obcym termin czysto studencki „fagas“ określający takiego kolegę, który oskarża innych.

Uderzony chłopczyzna widząc całą klikę przeciwko sobie, trzymając się zasady *nec Herkules contra plures*, chwytą się ostatniej deski ratunku i poczyna rozpaczliwym głosem wołać:

— Panie Harapkiewicz! Panie Harapkiewicz! Panie Harap...!

W tej chwili otwiera się okno przysłonię do połowy prześcieradłem, a w ramach okazuje się kwadratowa głowa korepetytora domowego, pana dyrektora Harapkiewicza.

— A co tam takiego? — będziecie wy cicho czy nie?

— Tu proszę Smólski przeżywa się. Smólski bije się, Smólski wygadywał wczoraj nawet na pana dyrek...

— Nieprawda! nieprawda! — odzywają się naraz głosy oburzonych malców, — fagas pierwszy się zaczepia, Smólski nie winien, Smólski dobry chłopiec. Smólski nie...

— Cicho chłopcy! — brzmi wyrocznia z okna, — zaraz mi cicho, dosyć tego, ano marsz w tej chwili do książki.

W dwóch pokoikach studenckich robi się naraz gwaro jak w ulu, jeden gwizdże, drugi uderza linią po stole, trzeci rezlewa atrament na podłogę, powstaje krzyk i hałas, do którego przyłączają się miarowo powtarzane słowa przez chłopca siedzącego nad książką koło okna: Egipt, Etjopia, Libja, Getulja, i — Egipt, Etjopia, Libja Getulja...

— No, cóż kowalu nie wykuleś jeszcze twojej Afryki? — pyta jeden z chłopców.

— Daj spokój, — mówi drugi — uważaj, że jest fagas w pokoju, zaraz coś skomponuje.

Na słowo „fagas“ chłopak jęczący Libja, Getulja, podnosi głowę, spoziera bałwanowato na fagasa i uśmiecha się doń znacząco.

— Co mi dasz — mówi wreszcie po chwili — co mi dasz bardzo ładnego, to ci coś pokażę i podaruję...

— Ach list od mamy, pewnie list od mamy...

— Ha, może nawet i list, ale co dasz?

— Dam ci co zechcesz... tylko dawaj!

— Nie dać mu — odzywają się głosy od stołu, nie dać mu niech odszczeka to, co „fagasował“ na Smólskiego, dać mu „barańca,“ dać mu „gruszkę“.

Blady chłopczyzna nie słyszy słów urągliwych, szybkim ruchem wrywa list „kowałowi“ z rąk, kurczowo rozrywa kowerte, małe jego oczki przelatują w okamgnieniu linię za linią, a twarzyczka rozjaśnia mu się pogodnym uśmiechem szczęścia, który się zlewa w jeden okrzyk: Ach, jak to dobrze, jak to dobrze!

Przerwana na chwilę burza występuje na nowo natarczywiej.

— Fagas dostał list od narzeczonej!

— Fagas, powiedz, kogo lepiej kochasz, tata czy mamę?

— Fagas, dostałeś nominację na policmajstra?

Najsilniejszy i najtęższy z chłopców, Smólski, chce urządzać hecę, wysuwa się naprzód i wyciąga rękę: Fagas, pokażno, co oni ci tam piszą? pokaż...

Mała postać chłopięca zdaje się rosnąć w tej chwili w olbrzyma, przyciska jedną dłońią list do piersi, drugą odpycha napastnika, a przez rząd

białych zaciśniętych ząbków wymykają się przyciszone, stłumione gniewem słowa:

— Uważaj ty jeden, wara od tego, rozumiesz wara od tego!

W tem drzwi się otwierają, chłopcy rozskakują się na wszystkie strony. Z poza drzwi wysuwa się naprzód olbrzymi cybuch, a za nim kwadratowa facjata pana Harapkiewicza.

— Co to ma znaczyć — huka tubalnym głosem — jarmark, czy szkoła żydowska? Wołodko — byłeś pytany?

— Byłem — doskonale umiałem!

— A ty Smólski?

— Raz mię tylko „wyrwał“ z geometrii i odpowiedziałem.

— Ani „piknął“ — dorzuca półgębkiem mały fagas — ani „piknął“.

— Widzisz, znów oberwałeś dwójkę, papierosy to palić umiesz, kamieniami żydom rozwalać głowy to umiesz — potem pogadam z tobą a teraz marsz uczyć się.

Jak w wieży babilońskiej na rozmaite głosy odzywa się chorał studenckiej nuty, podobny do szabaśnej; jeden czyta Ksenofonta, drugi recytuje niemieckie opowiadanie, „kował“ kuje ciągle swoją Libję i Getulję, „fagas“ położywszy list na gramatyce, odczytuje go półgłosem, a mściwy Smólski patrząc w geometrię, udaje, iż czyta: ani

z pierza ani z ości, fagasowi łamać kości, ani z pierza ani z ości, fagasowi łamać itd.

Maley chichoczą się, a cały zapas dowcipów, przycinków i epitetów, sypie się wraz z gałkami papieru na małego fagasa.

Podczas kolacji, przy sznyclach i „kłóconej“ kartofli wrzawa przycicha, dolatują tylko od czasu do czasu urywane słowa:

— Fagas kiszka, nie mówić mn servus, powiesić go, puścić mu „finfę“ gdy zaśnie...

Wreszcie nadchodzi czas spoczynku, chłopcy „zdawszy“ lekcję, zmęczeni całodziennymi harcamy, układają się do snu i zasypiają jak młode susły. Cisza zalega pokoiki, słychać tylko chrapanie, przerywane miarowym tyktaniem zegara. Przy okrągłym stole czuwa tylko jeden mały fagas, obawiając się „finfy“; podejrzliwie rozgląda się do koła, czy kto nie podpatruje, ostrożnie wyjmuje list z kieszeni, odczytuje go i całuje, następnie podnosi kułak w górę, a usta składają mu się do złośliwego uśmiechu:

„Poczekajcie-no — szepce — poczekajcie, jutro mama przyjedzie, naskarzę ja na was przed mamą, naskarzę...

Pionier² idei.

Fragment prawie-amerykański.

Naczelny redaktor *Miłośnika Prawdy*, dziennika wychodzącego w Leonspoolu, sir John Baker, ująwszy pod rękę ciemno ubranego pana, przemówił w te słowa do zgromadzonych członków redakcyi: „Panowie! Sir Fabrycjusz Zwikier, gorący wyznawca zasad *Miłośnika Prawdy*, — nowy nasz współpracownik!“

Od tej chwili opróżnione czasowo krzesło przy biurku od „spraw krajowych“ zostało zajęte, a leżący na niem na olbrzymim arkuszu czerwonym ołówkiem skreślony nagł temat: „Wiecznie to samo,“ wdzięcznie uśmiechnął się do mistrza, który miał go ubrać w strojną sukienkę podług kroju i mody *Miłośnika*.

Chodziło przedewszystkiem o zachowanie kierunku i tendencji organu, — te były znane

całemu światu: popiera się tępienie gąsienic, walczy do upadłego w słusznej sprawie ochrony żab, a idzie konsekwentnie przeciw nowemu systemowi ogrzewania w lokalach publicznych.

Artykuł pt. „Wiecznie to samo“ znaczony literami F. Z. pod trzema krzyżykami, napisany z werwą i zacięciem, a podający przytem łatwy i szybki sposób niszczenia gąsienic, wywołał ogromną i niebywałą sensację.

Termopyle, organ popierający sprawę ochrony gąsienic a tępienia żab, odpowiedział nań sążnistym wstępnym artykułem, a jednomyślnie z *Termopylami*, sypała *Warownia* bomby i granaty na *Miłośnika*, począwszy od wezwania do prenumeraty, a skończywszy na rubryce odjechali — przyjechali.

Oprócz tego redakcya *Miłośnika* otrzymała nazajutrz jedenaście korespondentek i siedm listów niefrankowanych z gratulacjami i żądaniem zdjęcia przyłbicy z anonima, a administracja 6 telegramów i 9 listów za retour recepisem z gorącą prośbą o nienadsyłanie na przyszłość numeru *Miłośnika*.

Poczem naczelny redaktor poczęstował ośobiście autora papierosem i zapewnił go słowem honoru, że jest pierwszorzędną „siłą“ nie tylko w Leonspoolu ale na całym kontyngencie a sir Fabr. Zwikier, oświadczył, że jest to taka бага-

tela, o której nie warto mówić a z naciskiem zaznaczył, iż co się robi, to się robi dla idei.

Wkrótce potem nastąpiły tuż po sobie artykuły: „My i oni! — „Aż do szpiku,“ i „Co potem?“

„Co potem?“ rozwijało szczególnie nowy program tępienia tych tylko gąsienic, które łążą po liściach i owocach, a ochrony jedynie tych żab, które nie wylazą z błota. Rezultat był niespodziany, przeciągnięto trochę strunę, wprawdzie dyrekcja przedsiębiorstwa tępienia gąsienic nadesłała redakcji anons z pięciuset wierszy na dwaście lat, lecz równocześnie rada nadzorcza towarzystwa ochrony żab zapowiedziała, że „wycofa“ swój udział z redakcji *Miłośnika* na wypadek podobnych enuncjacyj w przyszłości.

W następstwie powyższej okoliczności przyszło do małego nieporozumienia między Sir Johnem Bapkerem a Sir Fabrycjuszem Zwikierem, skutkiem czego następnego już dnia redaktor *Warowni*, Sir Jonatan Moopps, ujawszy za rękę ciemnoubranego pana przemówił w te słowa do zgromadzonych członków redakcji: „Panowie! Oto sir Fabrycjusz Zwikier, gorący wyznawca zasad *Warowni*, nowy nasz współpracownik!“

Otwarte wyznanie tych zasad skoncentrowało się w pysznym artykule p. t. „Hanibal ante portas“ znaczonem literami F. Z. pod trzema

krzyżkami, napadającym zaciekle na ochronę żab w ogólności, a biorącym gorąco w obronę słuszną sprawę ochrony gąsienic.

Opinia publiczna zaciekawiona żywo obu paląciami kwestjami, rozchwyciła w okamgnieniu potrójny nakład numeru *Warowni*, naczelny redaktor *Miłośnika* dostał żółtaczki, a sir Fabrycjusz poczęstowany papierosem przez sir Jonatana Moopsa. oświadczył mu z wrodzoną skromnością, że jest to bagatela, o której nie warto mówić, a zresztą co się robi, to się robi jedynie dla idei.

Żywotna kwestja żab oparła się aż o parlament, rozchodziło się tylko o słuszne umotywowanie potrzeby tępienia żab, dla przedłożenia wniosku do sankeji.

W międzyczasie rada nadzorcza towarzystwa ochrony żab, ofiarowała bez żadnych zastrzeżeń sir Fabrycjuszowi miejsce dyrektora w towarzystwie, które tenże bez żadnych zastrzeżeń dla idei przyjął a ponieważ zlanie się stronnictw w obronie sprawy okazało się koniecznem. sir Fabrycjusz Zwikier objął na nowo dział „spraw krajowych“ w redakcyi *Miłośnika*.

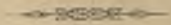
Redaktor *Warowni* dostał żółtaczki a ścisły komitet towarzystwa ochrony żab w trzech dniach odbył jedenaście posiedzeń.

Ponieważ zaś jednocześnie okazała się gwałtowna potrzeba dla umotywowania wniosku i prze-

prowadzenia całej sprawy pomyślnie — działania na miejscu, więc *ad hoc* wybrana komisja z delegacją, której duszą był sir Fabrycyusz Kwikier, udała się na błota na Żabim polu. Pewnego dnia, podczas najgorętszych prac i agitacji na Żabich polach, sir Fabrycyusz Zwikier pośliznął się, wpadł w największą kałużę i zginął na stanowisku wśród żab w błocie.

Po bezowocnych szukaniach wyciągnięto z błota z całego sir Fabrycjusza tylko bekieszę, w której znajdował się pyszny projekt o ochronie żab i tępieniu gąsienic.

Tak Leonspool stracił najwybitniejszego pioniera idei, a sprawa żabia najdzielniejszego obrońcę.



TOWARZYSKIE CNOTY.

LIBRARY OF THE
POLISH ACADEMY OF SCIENCES

Grzeczność.

Często gęsto mówi się o kimś: „to bardzo grzeczny człowiek“. Gdyby się tak mówiło na wyspach Kanaryjskich lub w okolicach Zelandji, mogłoby to być pochwałą, w społeczeństwie jednak tak mocno cywilizowanem jak nasze, podobne zdanie razi trochę uszy, gdyż jest się z góry na to przygotowanym, że każdy dobrze wychowany człowiek, powinien być grzecznym, gdyż na niegrzecznych ma się rozmaite sposoby.

W rzeczywistości jednak jesteśmy nie wiele wymagającymi, i tak do pozyskania tego wdzięcznego epitetu wystarcza, by do trzeciego dnia oddać wizytę, by, gdy się jest zaproszonym na obiad, po skończeniu tegoż emoknąć gospodynię w łapkę, lub zasmarowanego malca uszczypnąć w policzek i powiedzieć: „śliczne dziecko“.

W ogólności zużytkowanie grzeczności wiele zależy od prawa zwyczajowego, a wiele jeszcze więcej od mody.

Starzy ludzie np. mają zwyczaj konstatowania kataru i kichającej osobie mówią: na zdrowie; nowsza generacya brnie w grzeczności dalej i w niepomysłnych lub bolesnych zdarzeniach, by nie dać o nich zapomnieć, daje wyraz swego współudziału kondolencją.

Grzeczność taka nazywa się „łaskawą pamięcią“.

W całym tego słowa znaczeniu, określenie grzeczności jest niełatwym i nawet pani Wilczyńska w swoim *savoir vivre*, podając co wypada a co nie wypada, nie obznajamia nas bliżej z misterjami tejże.

W istocie rzeczy, grzeczność jako taka, zależy od indywidualnych właściwości osoby, i tak jeżeli naprzykład pan X., który z zasady nie zwykł się nikomu kłaniać, ukłoni się wyjątkowo panu Y., nabywa wtedy u niego niezaprzeczone prawo do epitetu: grzeczny.

Ponieważ grzeczność nikomu jeszcze nie zaszkodziła, a najczęściej bardzo mało kosztuje, więc w jarmarku życia przyzwyczailiśmy się do tego towaru, a jako zwykłą zdatkową monetę przy odbycie tegoż, uważa się przedewszystkiem ukłon.

W ukłonie leży cała skala nians, mniejszej lub większej grzeczności, a — każde zgięcie ręki lub poruszenie głowy, stanowi o mierze tejże. Są ukłony, które zdają się mówić: dumny jestem, że się mogę panu ukłonić, są inne mówiące: kłaniam się, bo muszę, ale gdyby nie to, zobaczyłbyś; inne znów: właściwie niewiem z kąąd przychodzę do tego, byś mi się kłaniał; są wreszcie nie nieznaczące, szablonowe, bez myśli, które dodają uroku grzeczności jedynie dodatkiem sakramentalnych bezmyślnych formułek: padam do nóg, unizony sługa, moje uszanowanie lub całuję rączki.

Prawem kaduka wyrobiło się u wielu przekonanie, że grzeczność jest przymiotem arystokracji, podczas gdy przeciwstawienie tejże jest przywarą sfer niższych. Aksjomat ten o tyle może być uważanym za mylny, że napotyka się bardzo często (jednak nie zawsze) ludzi mających pretensję należenia do *haute volée* impertynecko niegrzecznych i na odwrót osobników z *basse canaille*, mogących pod względem form światowych i wymogów grzeczności służyć pierwszym za wzór.

Okoliczność ta jest właśnie powodem, że w obecnych czasach mało kto tem się dziwi, gdy mu się przytrafi napotkać aczkolwiek młodych, jednak bardzo elegackich ludzi, zagląających

śmiało po ulicach paniom pod kapelusz, rozmawiających z całą swobodą w teatrze podczas przedstawienia, lub opowiadających w publicznych miejscach na cały głos w sąsiedztwie kobiet ciekawe epizody z tingel-tanглу lub orpheum.

Zapoznavanie pojęć „co wolno“ a „co wypada,“ a względnie elementarnych zasad wychowania, ma być ostatnim wyrazem w ich mniemaniu dobrego tonu.

Znajdują się znów i tacy, którzy wiedzą co czynić wypada, lecz nie czynią tego jedynie dla tej przyczyny, gdyż są za wygodni i niestety dopiero smutne doświadczenie, odbyte kosztem zapoznanej grzeczności przywraca ich do równowagi.

Pod względem systematycznym podziału grzeczności, są grzeczności rozmaitego rodzaju, właściwe specjalnie li tylko pewnym stanom i fachom.

Inną jest tedy grzeczność wojskowa, pełna sztywnych ruchów z nieodłącznym *servus*, inna kupiecka o ruchach zaokrąglonych przeplatana „ścieleniem się do stópek“ i „całowaniem ruci,“ inna rodowa, pełna zimnej powagi, a inna szmajgelesowska, naszpikowana przesadnymi manierami. W przedmiotowym określeniu grzeczności, jako cnoty społecznej, grzeczność wyrabia całe systemy postępowań towarzyskich, które podciąga się pod rubrykę „z grzeczności“.

A mój święty Boże, co się nie robi z grzeczności? Z grzeczności pożyczają się pieniądze i podpisuje weksle, z grzeczności daje się zgrywać w karty, z grzeczności jest się przyjacielem domu, z grzeczności pozwala się nudzić, z grzeczności nadskakuje się pannom, z grzeczności wreszcie się żeni. Zdarzają się grzeczności, które nieraz „bokiem wyłazą“ i dla tego znów zdarzają się ludzie, którzy przysięgają nie przyjmować od nikogo żadnych a żadnych grzeczności.

Zdarzają się wreszcie grzeczności judaszowskie, w których wewnątrz kryją się obłuda i fałsz i te zebrane w całą wiązanek tworzą politykę salonową.

Polityka ta właśnie normuje regulamin, według którego wyznawcy jej między sobą postępują.

A mianowicie, nonszalansja z równymi, brak tolerancji dla niższych, bezwarunkowy entuzjazm dla wyższych pod jakimkolwiek względem od siebie.

Ostatni ten rodzaj taktyki, zrodził owoc zwany „komplimentem,“ będący niczem innym, jak tylko frazesem słodkim i nudnym jak lukrecja, a w rzeczywistości oddalonym o setki mil od pozytywnej prawdy.

Falanga zbrojna grotami owych komplimentów i armaturą przesadnej grzeczności, stanowi ostatni orszak „za grzecznych“ istot najnudniej-

szych na całej kuli ziemskiej i na tych dopiero namacalnie można się przekonać, że o ile grzeźczość w miarę zastosowana, jest jedną z moralnych cnót chrześcijańskich, o tyle przesadzona nad miarę, może być śmiało i stanowczo zaliczoną w rzędzie klęsk trapiących ludzkość, jako ósma plaga egipska.

Dobry humor.

Spotyka się wiele zdań i definicyj, które określają dobry humor a przecież ani jedno z nich nie jest w zupełności wyczerpującem i całkowicie trafnem. I tak jeden z francuskich pisarzy twierdzi, że dobry humor jest ptakiem, który ogonem do nieba leci. Określenie to jest tylko częściowo prawdziwe, gdyż jedynie rubaszny, trywialny humor jest negacją piękna i parodią ideału. Według innego zdania dobry humor ma być wpływem dobrego materialnego bytu, w rzeczywistości to nie jest prawdą, gdyż jest wielu ludzi, którzy przy najgorszych warunkach, mają całe życie jak najlepszy humor, podczas gdy wielu przy najlepszych warunkach są zwykle w jak najgorszym.

Inne zdanie wreszcie opiewa, że tylko czyste sumienie daje dobry humor, temu trzeba już zupełnie zaprzeczyć, gdyż jest najpewniejszą rzeczą,

że najwięksi urwisze i nicponie mają przeważnie jak najlepszy humor.

Co jednakże jest pewnem to to, że humoru dobrego, nie można ani się wyuczyć, ani naśladować, gdyż jeżeli robiony, jest już sztuczny a zarazem niesmaczny.

Dla towarzystwa dobry humor jest nabytkiem nieocenionym, zależy tylko od tego, czy ten, który go posiada, umie go należycie objawić i w dobry sposób podać.

Najzwyczajniejszym sposobem okazywania dobrego humoru, nadzwyczaj rozkorzenionym w naszym społeczeństwie, jest naciąganie kogoś, czyli tak zwane „branie na kawał“. O wiele przyjemniejszym od tego systemu kpiarzy — jest humor blagi. Humor facecyonistów polegający na powtarzaniu niezliczonej ilości dykteryjek *bons mots*, przygód, konceptów i anegdot, bawi chwilowo, lecz ma tę złą stronę, że potrzebuje coraz to nowego „*dankbares publicum*“ i *à la longue* staje się nudnym.

Dar mówienia o niczem w sposób lekki, zabawny i zajmujący „wesołych facetów“ jest nadzwyczaj przyjemny, lecz o tyle niebezpieczny, że łatwo zeń wpaść w extreme arlekinady, lub inaczey błaznowania.

Dobry humor na zewnątrz zaznacza się zatem przedewszystkiem słowem. Dobry humor słowa

rodzi dowcip, który o tyle może być przyjemnym o ile jest cięty, trafny i nie przechodzi granic przyzwoitości. W tem leży cała różnica między dowcipem trywialnym „ulicy“ a aleganckim salonu.

Następnie objawia się dobry humor gestem w mimice, pędzlem w karykaturze, tonem w lekkiej wesołej muzyce a wreszcie w potędze pióra.

Humor pióra ma to do siebie, że najczęściej najsmutniejsi ludzie piszą najweselsze rzeczy.

W przecięciu humor powieściopisarzy jest formy epicznej i obiektywny, komedyopisarzy sytuacyjny, subiektywny i spostrzegawczy, poetów przeważnie okolicznościowy.

Humorysta *par excellence* powinien być naturalnym i unikać przedewszystkiem tak zwanego „sadzenia się“ na dowcip.

Jak każdy pojedynczy człowiek ma coś odrębnego, co stanowi właściwą jego istotę, tak całe narody posiadają swój właściwy rodowity rodzaj humoru. Przywilej do dobrego, niewymuszonego humoru mają Polacy, objawiając go fantazją i gęstą miną, Niemiec zaznacza go swoją *Gemüthlichkeit*, Francuz w pikantnym dowcipie i w lekkiej gaskonadzie. Towarzystwo ludzkie bezwarunkowo musi mieć choć trochę w sobie humoru, gdyż inaczej byłoby jednym wielkim klasztorem kamedułów.

Przyjemniejsze robi wrażenie, gdy go się zachodzi więcej u mężczyzn, zanadto dobry humor w kobiecie razi, wesołość kobiet powinna być pogodną i wesołą jak lazur niebios, trzpiotowatość przystoi jedynie młodemu dziewczęciu.

Są chwile jednak w życiu, w których nie sposób mieć go zawsze na zawołanie, mogą stać temu na przeszkodzie dolegliwości tak fizyczne jak i moralne, wtedy humor, maskując boleść, występuje nową odmianą, zwaną *Galgenhumorem*.

Dobry humor z natury swej jest zaraźliwym i łatwo udzielającym się w krótkim czasie dokoła, z kąd chwilowo jednakże naraz się zjawia, trudno nieraz nawet w pojedynczych wypadkach oznaczyć.

Zdarzają się osobistości, które pojawieniem tylko samej swej postaci wzbudzają go u innych.

Jest zresztą wiele innych wzbudzaających go powodów, jedni nabierają go na widok pięknej natury, drudzy na widok pięknej kobiety, inni znów na samą myśl pięknego kawałka smacznego pieczystego. U ludzi przedewszystkiem nerwowych niewiedzieć z kąd przychodzi i dlaczego odbiega, naprzemian w jednej chwili potrafią płakać do spazmów i śmiać się aż do rozpuku.

W tem miejscu nie należy przepomnieć podnieconego humoru z „pod dobrej daty“.

Z obowiązku towarzyskiej cnoty i z zasady *noblesse oblige*, powinni go mieć na zawołanie: gospodarz gdy podejmuje gości, dżentelmen gdy się zegra w karty, konkurent gdy rywala szanse lepiej stoją i małżonek, gdy mu „nadskakują“ koło żony. Z reguły zaś humorowi osobistości powodujących się „humorami“ i przystępnych tylko w razie „dobrego“ nigdy ufać nie należy.

Na każdy jednak sposób z całą stanowczością da się powiedzieć, że dobry humor jest klejnotem towarzyskim, który raz wrodzony pozostaje na całe życie i w późnych nawet latach „jowialny staruszek“ dla towarzystwa jest nabytkiem stokroć lepszym, niż nowoczesny z rzadką miną zblazowany elegancki młodzieniec.

Uczynność.

Smiles twierdzi, że jedynie miłość bliźniego jest prawdziwą pobudką uczynności. Bogiem a prawdą i bez Smilesa każdy zwykły śmiertelnik mógłby wpaść na ten sam koncept, gdyby nie pouczające przykłady codziennego życia, wykazujące tyle różnych a przeróżnych uczynności rzekomo pochodzących z miłości bliźniego a w rzeczy samej, mających swe źródła w tak zwykłym egoizmie, że aż, jakby to powiedzieć... że aż nie-dobrze się robi.

Do tej kategorii z podkładem mniej lub więcej egoistycznym, należą przedewszystkiem uczynności „z dobrego serca i z dobrych chęci“. Dobre serce jest jednakże z reguły dobrem na koszt cudzej kieszeni, czego nierzadkim a namacalnym dowodem są kwesty, loterye fantowe, koncerty i bale

z hasłem celów dobroczynnych. Współudział poświęcenia i „dobrego serca“ ogranicza się w tym wypadku na reklamie i propagowaniu, czyli mówiąc językiem złośliwych, na „wydzieraniu ludziom oczu“.

Talent ten specjalny przed innymi posiadają nasze panie. Skłonność do uczynności tego rodzaju jest nieraz u płci pięknej tak stanowczą i energiczną, że przecenia częstokroć własne siły i wchodzi często gęsto w kolizye z obowiązkami kobiety, jako matki, jako żony i kobiety winnej szanować swą własną godność.

Co się tyczy uczynności dobrych chęci, to ta jest frazeologią obiecanek i cacanek nie niekosztujących, mających swój wyraz w sakramentalnem „radbym z duszy, serca,“ a kończących się ostatecznie na wykrecaniu się sianem. System ten jest nieraz nieunikniony w obec ekonomicznych względów — silnego popytu przy zbyt małej podaży. Tej taktyki mianowicie trzymają się ludzie wpływowi, nagabywani zewszad o zużytkowanie swych wpływów na korzyść X-ów, Z-tów i Y-psyliionów. Protekcyja w ostatnich latach naszego wieku i w naszym kątku naszej planety, przybrała tak silne rozmiary, że „hołdując zasadzie“ wszystkich protegować byłoby tem samem, co nikogo nie protegować. Że zaś łaska pańska na pstrym koniu jeździ, więc najczęściej „spodniczkowa“ protekcyja

pomaga do szczęśliwej gwiazdy wyszczególnionego. Pośrednia droga normuje to zwyczajowe prawo utartą formalnością, „wszystko obiecać a niczego nie dotrzymać“.

Z drugiej znów strony tam, gdzie zachodzi możliwość rażącej niesprawiedliwości lub krzywdy uczynność winna być obowiązkiem, a gdy się okazuje kompletny brak tejże, świat słusznie piętnuje ją w tym wypadku mianem „nieuczynności.“

Następuje z kolei uczynność powodowana dumą i próżnością, a robiona szczególnie dla pokazania się, w ślad za czem idą dziękowania, sławienia i zapewnienia, że „pan jest tak łaskaw — lub pani taka dobra“. Nie prawda, ani pan nie jest łaskaw, ani pani nie dobra — ale oboje są próżni i to próżni, aż do śmieszności, a uczynność ich jest tylko „dla oka“ i na to by świat o niej wiele „gadał“.

W zasadzie praktyka ta *anticipando* pobudza potrzebujących tej uczynności do zasługiwania się pochlebstwem, uniżonością, służalstwem i hipokryzją, *post festum* zaś jak uczy doświadczenie, kończy się rozczarowaniem i „czarną“ niewdzięcznością.

W pomniejszem poszczególnieniu rodzajów uczynności zasługuje na wzmiankę uczynność z wyrachowania, jak to mówią, ręka rękę myje — uczynność „doradców“ — uczynność z nudów,

uczynność narzucająca się sama i mieszająca się w nie swoje rzeczy, nieproszona i niewołana. — Uczynność „przyjaciół domu“ należy do rubryki nadzwyczajnej i jest nieraz o tyle użyteczną o ile zazwyczaj niebezpieczną.

Jest wreszcie rodzaj uczynności prawdziwej, szlachetnej, cichej z namaszczeniem kapłańskim i poświęceniem — uczynność w całym tego słowa znaczeniu, bez różnicy czy spełniona w większej sprawie dla podnioślejszej idei ogółu — czy w drobniejszych rozmiarach dla pojedynczej jednostki. Uczynność ta nazywa się dobroczynnością gdy jest połączona z pewną ofiarnością i pomocą dla upadku. Posługuje się ona formami naprzód pożyczki jako pożyczki, pożyczki jako grzeźcznej darowizny, a wreszcie wprost jałmużny.

Pożyczka jest z jednej strony tak mocno warowana prawem wekslowem, a z drugiej tak uświęcona tradycją, że nie zatrzymuję się nad nią dłużej, przechodzę wprost do darowizny która jest znów tak rzadką, że należałoby raczej mówić o jałmużnie gdyby przy niej była zawsze ściśle stosowana zasada chrześcijańska: prawa ręka nie powinna wiedzieć o tem co lewa daje, co znów ma tę wadliwość, że przy rodzaju jałmużny, to jest „jałmużny serca“ jest wprost niemożliwem.

Najlepszym sposobem uwolnienia się od do-brodziejstwa wszystkich wyżej przytoczonych uczyn-

ności, jest wypróbowany środek wiary w siebie samego i własnej pomocy, które prawdziwie i trafnie unormowało stare jak świat przysłowie; „Jak sobie pościelisz, tak się wypisz”. Kto jednakże był w tem niemiłym położeniu korzystania z uczynności ludzkiej, ten mógł się przekonać, że prawdziwa uczynność to już nie etykietalny wymóg konwenansu, ale szlachetny przymiot ducha idący w parze z najpiękniejszymi porywami serca, który jednakże teraz niestety coraz bardziej w zimnym egoizmie zanika i w rzeczywistości występuje tylko na papierze jako temat do nudnego fejletonu.

Wielo-mało-mowność.

Od czasów Adama i Ewy aż po dzień dzisiejszy, ludzkość mówi jednym ciągiem bez przerwy i wyjąwszy wypadku podczas budowy wieży Babilońskiej najrozmaitszymi językami wybornie porozumiewa się między sobą.

Patent na przywilej wynurzania swych myśli mową, posiada od stwórcy na świecie tylko człowiek, znakomicie naśladowają go w tem sroki i papugi częstokroć z lepszym nawet skutkiem – jak niemniej jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że są gatunki zwierząt, które gdyby umiały i mogły przemawiać, mówiłyby więcej przyzwoicie, jak niektórzy ludzie.

Mówić ażeby mówić, potrafi każdy, lecz tak, by go słuchano z przyjemnością, nie każdemu jest danem. W tem leży cała siła sztuki mówienia.

W towarzyskiem pożyciu ludzkości przymiot ten występuje w rozmowie, a raczej pogadance,

którą Niemiec nazywa „Geplauder“, Francuz „conversation“, a Anglik dosadnem wyrażeniem „Small-talk“.

Od warunków zewnętrznych i wewnętrznych codziennego życia zależy, kiedy w tej rozmowie trzeba użyć więcej mowności, kiedy mniej, a kiedy dać jej spokój. Ostatnia ta okoliczność daje się wybornie formułować przysłowiem, które brzmi: jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Ponieważ jednakże społeczeństwo całe nie jest doliną Chartres, więc cnota ta nie może być zasadą i dlatego mowność występuje najczęściej jako kwestya żywotna *par excellence*. Gdy płynie ona potokiem kwiecistych wyrażen podniosłych zdań i wyszukanych frazesów, jest krasomowczą — gdy umie wysłowić ideę, obrazować większą myśl i wzruszyć niemi otoczenie, jest potęgą, która nazywa się darem wymowy — gdy zaś zlepek bezpotrzebnych słów i banalnych nonsensemów zostaje wyrzucony bez żadnego celu w powietrze językową mitrajlezą, jest wtedy paplaniną czyli gadaniem.

Pod względem treści najprzyjemniejszą w towarzystwie jest rozmowa lekka i bez przymusu o niczem, w której to kobiety wytwornie celować umieją, najnieprzyjemniejszymi są debaty o kwe-

stjach religijnych, ktorými domorošli filozofowie popisywać się lubią.

Pod wzgledem formy winna być rozmowa lakoniczna, krótka, mało rozwlekła i prowadzona o szybkim tempie, jak dialog w komedji.

Rozmowa składa się przeważnie z dwóch części, z zapytania i odpowiedzi, po zapytaniu winna następować natychmiast odpowiedź tej miary, co zapytanie, dlatego każda przeciętna mowność bez pewnej *dosis* „*schlagfertigkeit*“ czyli ciętości jest mdłą i niepewną.

Dalszą zaletą tak wielomowności jak i w ogóle każdej mowności, jest wszechstronność tematu do rozmowy. Zdarzają się bowiem pojedynczy jednostronni gaduły, którzy potrafią tylko mówić o jednej rzeczy, n. p. o polowaniu, o polityce, lub o kobietach i żeby rozmowa nie wiedzieć jaki przybrała kierunek, wracają w tej chwili napowrót do swego konika, na którym tylko jeździć umieją.

Do rodzaju wielomowności należy przede wszystkim serja krzykaczy, istot, skrzeezających bez żadnej danej przyczyny po wszystkich miejscach, dalej serja prawdomownych, narzucających się niepowołanie wszystkim z osobna do dawania rad i robienia uwag — długa falanga plotkarzy brukowych, autorów wszystkich codziennych plotek, pogłosek, sensacyjnych wieści i nowinek i — wreszcie niemniejszy zastęp niczem przy da-

nej sposobności niepowstrzymanych „toastowiczów“. Tu przychodzą dalej dwa wielkie działy psychicznej natury, pesymistów, którzy widząc wszystko w czarnych kolorach wszystko i wszystkich — ganią — i następnie optymistów, którzy różowe zapatrywania swoje przenoszą na cały świat zewnętrzny i wszystkiemu nie szczędzą pochwał. Są wreszcie tacy, którzy co chwila przeskakują bezładnie z tematu na temat i tacy, którzy *par force* chcą „udawać przyjemnych“.

Kategorję przeciwnego obozu małomownych stanowią istoty milczące, czyli tak, zwane „ryby“. Małomowność, a raczej milczenie jest częstokroć o wiele wyższą cnotą, aniżeli gadulstwo, jak bowiem z jednej strony kupiec, zachwalający swój towar, konkurent który zdobywa serce panny, adwokat który broni klienta, bezwarunkowo muszą wiele mówić, tak z drugiej strony bez umiejętności milczenia nie miałyby racji, ani pozycja dyplomaty, ani dyskrecja lekarza, ani tajemnica urzędowa biurokraty.

Biorąc na bok pożytek i szkodliwość tego, co się w ogóle mówi, gdyby można spisać to, co jeden człowiek o przeciętnie normalnym wieku przez całe życie „nagada,“ z tej jednej tylko gadaniny możnaby utworzyć wcale poważną bibliotekę — w którejby naprzemian można było odnaleźć i sielankę i farsę i komedję i tragedję.

Ze względu na otoczenie, słowo w ustach człowieka może uczynić wiele dobrego, ale i wiele złego, może być tak samo balsamem. jak też i zatrutym pociskiem i z tego to właśnie drugiego powodu wszedł w modłę litanji: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny* tradycją rozpacznej obawy uświęcony dodatek: „I złego języka chroń nas panie, amen!“



ROZMAITOŚCI.

Zasady mego kuzyna.

Pewnego zimowego wieczora, gdy śnieżycą z zawieruchą szalały na dworze jak opętane, w chwili gdy z całą przyjemnością udawałem się na spoczynek, otrzymałem telegram następującej treści: „Przyjeżdżam pospieszным, oczekuj na dworcu. Smycki“.

Śliczna perspektywa w taką cudowną aurę drałować na dworzec! A niech cię kochany kuzynku z twoim konceptem...! — pomyślałem sobie wsiadając do zasypanych śniegiem sanek, — ładny czas wybrałeś sobie do podróży.

Przywitanie było serdeczne, daliśmy sobie buzi z dubeltówki i na wstępie palnęliśmy sobie po duserze, — ja jemu mianowicie: że wygląda jak rydz, — on zaś natomiast porównał mnie ze śledziem. Szczerość przede wszystkim, zwłaszcza między kuzynami.

Z miejsca zapowiedział, że jeżeli nie zrobi mi ambarasu, to z oszczędności zamiast do hotelu zajedzie do mnie. Tak bez ceremonii — to lubię; przyjąłem go tedy z otwartemi, jak to mówią, rękami.

Ledwo zajechaliśmy do domu i zanim służący Ignacy zniósł walizkę z sanek, Mucio nie-rozebrawszy się z futra, tak jak stał, cały zaśnierzony wyciągnął z kieszeni olbrzymi pugilares i począł w nim coś pilnie notować.

— U mnie każdy cent musi być zapisany — rzekł, widząc, że przypatruję się tej operacyi, — najmniejszy półcencik, ja człowieku żyję z ołówkiem w ręku, wydaje się tu trochę, tam trochę i zapomina o tem a tak zapiszę i wiem patrz np. tutaj: 10. centów pakier, 70. centów fiakier z kolei, 20 centów stróżowi, — a co? czy nie tak?

Pochyliłem z uznaniem głowę i przyznałem mu słuszność, nie mając zresztą żadnego powodu do zaprzeczenia.

Uznanie to moje widocznie mu się podobało, uśmiechnął się bowiem i strzepał śnieg z sumiastych wąsów.

Z uwagi, że Mucio od południa nie w ustach niemiał, poszliśmy bezwzględnie do pobliskiej restauracyi na kolację. Garsoni ujrzawszy pokaźną, wiejską facyatę, na wyścigi tytułowali go „jaśnie hrabią“, czem widocznie rozrzewniony wychylił

na oczekaniu dwie kontuszówki, przetał je parą kiełbasek z chrzanem i zakończył menu małą polędwicą z dużym ruskim kompotem. Ja tymczasem bawiłem się z legawcem znajomego porucznika, rzucając mu po kawałku bułki (rozumie się psu — nie porucznikowi).

— Marnotrawca jesteś bracie, marnotrawca. Któż to daje takie rzeczy psom? Wolisz dać biednemu. Bułka taka małańka kosztuje 2 krajcary, — to rozrzutność. Na każdym kroku powinno się robić oszczędności, — cudzego nie chcę ale swego łatwo nie dam. Taka moja zasada! Mam słuszną, czy nie?

— Naturalnie że masz, cóż bowiem zresztą człowiek wart bez zasady, funt chyba kłaków.

Radykalista mój widocznie lubiał, by mu nie oponować, a zgodność mych zapatrywań tak go rozbroiła, że przywołał garsona i kazał zamrozić pół buteleczki Moeta.

— Ale pół tylko, rozumiesz, pół. krzyczał na całą salę za odchodzącym.

Wszelki początek jest zawsze trudny. W przeciągu godziny wysuszyliśmy sześć buteleczek, ale każdym razem tylko po pół. Humor poprawił się trochę, zapomnieliśmy o śnieżycy a szampańskie rozwiązało języki. Mucio począł się zwierzać: naprzód, że gdyby nie posag żony, toby go dawno dyabli wzięli, — dalej, że propinacya go trochę

podratowała, że właśnie podjął wynagrodzenie i że przyjechał płacić banki a za resztę pieniędzy zakupić lokomobile.

Nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności, by mu nie przyznać, że jest człowiekiem ze wszech miar praktycznym i nad wyraz rozsądnym.

Mucio począł się zapalać, mówił po kolei o ujarzmieniu ducha, o poznaniu samego siebie, o ideach społecznych, o potrzebach krajowych, o umoralnieniu i oświacie ludu.

Byłem nim zachwycony.

-- Ależ Muciu — zawołałem — ty ślicznie mówisz, jak profesor z katedry!

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Cóż ty myślisz sobie, że my na wsi nic nie czytamy, że my się nic nie uczymy, nie pracujemy nad sobą? Mylisz się, ja po całych nocach czytam, ja wertuję, ja układam programy, od których...

Dalej co się dzieje z programami Mucia — nie dowiedziałem się, gdyż przyście kilku znajomych przerwało nam rozmowę.

Biorąc na uwagę, że byli to sąsiedzi Mucia ze wsi i że wszyscy bez wyjątku podjęli już wynagrodzenie za propinację — więc pogadanka z wołów, koni, urodzajów i arendarzów stoczyła się ostatecznie na bakarata i dyabełka z pulą.

Brzdęcki, dusza zabaw w okolicy całej i zawsze pierwszy do wybitki i wypitki wystąpił z propozycją.

— A cobyście na to powiedzieli, gdybyśmy tak poszli zagrać z godzinę krótkiego.

Pomysł ten przyjęto jednogodnie, — choć miałem wszelkie dane przypuścić, że Mucio wyłączy się od gry *in puncto* swoich zasad.

I owszem widocznie leżało to w jego programie.

— A czemu nie miałbym się trochę zabawić? Każda godziwa gra rozwesela umysł i podrażnia nerwy, reakeya czasem dobra.

Szepnąłem mu, gdyśmy wychodzili do ucha, że ma przy sobie wiele pieniędzy i że gotów się zgrać do szczętu.

— O mnie się nie bój, — ja i w grze mam mój osobny system, system prawdopodobieństwa, nigdy nie omylny.

System ten nieomylny widocznie tym razem omylił, gdyż Mucio następnego poranka był trochę kwaśny, co przypisywał niewyspaniu, do śniadania nie wyjechał z żadną maksymą ani sentencją, — poczem pojechaliliśmy do składu maszyn kupować lokomobilę.

Kupno całe rozbiło się o różnicę tylko 50 fl. Mucio uparł się przy swojej cenie i niechciał postąpić ani o centa.

— Tyle warta, jak uciął a co więcej to wyrzucione, lepiej za te pieniądze kupić żonie suknię a dzieciom buciki, czy nie tak?

— A tak! odpowiedziałem z przyzwyczajenia.

Dzień upłynął jak strzała a wieczorem *faute de mieux* zaproponowałem mu dla zabicia czasu koncert na cel dobroczynny.

Począł się wymawiać, że nie jest melomanem.

— Ależ Muciu — odezwałem się nieśmiało — nie chodzi tu tyle o koncert. ile o piękny cel, przecież mówiłeś sam wczoraj, że miłosierdzie jest świętym obowiązkiem społecznym.

Mucio się zachnął.

— Pleciesz duby smalone a nie rozumiesz ekonomii. Jednostki tworzą społeczeństwo, gdy jednostka zacznie sypać na wszystkie strony i wyrzucać pieniądze przez okno, to pójdzie z torbami a społeczeństwo zejdzie na psy. Otóż w tem sztuka, aby umieć ograniczyć swoje wydatki ad minimum.

Sztukę tę Mucio jeszcze tego samego wieczora przeprowadził dwukrotnie, raz gdy wpisywał w notatkę wydatek ośmiu nowych półbutelek — w tym wypadku na odmianę — Muma, — a drugi, gdy z dyabełkowem towarzystwem poszedł na ofiarowany mu rewanż.

Ranek następny był jeszcze gorszy od poprzedniego. Mucio stracił kontenans kompletnie,

nie notyfikował ani jednej zasady a wzdychał i sapał jak zdemontowana mitrajleza.

Chciałem go trochę rozerwać i zaofiarowałem mu moje towarzystwo, na wypadek gdyby zechciał pojechać do Claytona & Schuttlewortha dobić targu z lokomobilą.

Zmieszał się trochę, machnął ręką i przeszedł się po pokoju raz i drugi.

— Słuchajno rzekł po namyśle — niemasz ty jakiego znajomego, porządnego żydka, bo tego wiesz, jakby ci to powiedzieć, moja cała go-tówka fiut!...

To mówiąc złożył symbolicznie dwa palce i dmuchnął dymem cygarowym na cały pokój.

Wiedziałem co to znaczy. Lokomobila i długi bankowe systemem nieomylnym pojechały dyabeł-kową drogą.

Żydek się znajdzie — rzekłem patrząc mu w oczy, ale gdzie twoje zasady?? Gdzie zasady!? Teorya taka piękna a praktyka taka — niech nie dokończę!

Mucio poczerwieniał jak burak.

— Mój kochany, zawołał, powiem ci, że jesteś firecykiem, za słowa chwytać nie jest żadną sztuką, nie ma reguły bez wyjątku, całe społeczeństwa, państwa nawet dobrze rządzące się odstępują nieraz od przyjętych zasad, nie to dopiero marne pojedyncze jednostki. W każdym jednak razie

w gruncie rzeczy zasada pozostaje zasadą, tak jak niebo pozostaje niebem, choć je pokrywają chmury.

Nie było co mówić, umilkłem, choć nie rozumiałem filozofii zasad Mucia — lecz mogłemże nie przyznać kompletnej słuszności końcowej definicyi: że niebo pozostaje zawsze niebem, choć je pokrywają chmury.

Na wystawę paryską.

Pewnego wieczora woła mię mój redaktor do swego gabinetu, fiksuje od stóp do głowy i rzece: jestem z ciebie zadowolony!

Na takie dictum, kłaniam mu się, bąkam pod nosem coś ni w pięć, ni w dziesięć, a redaktor ciągnie tymczasem dalej:

— Wysmarzyłeś się tu podczas kanikuły we Lwowie dosyć, byłeś tylko jeden dzień na wsi, możebyś miał teraz ochotę przejechać się na wystawę do Paryża? Co? he?

Płonę jak pensjon rka, spuszczam w dół oczy i mówię;

— Ta, czemu nie miałbym...

— A wiesz, jak się jedzie, trafisz tam?

— E, to głupstwo, powiadam, rozpytam się po drodze, to i trafię...

— No kiedy tak, masz tu dwa tysiące reńskich i jedź, nie spij się tam, nie zgub się, pisz pilnie sprawozdania i wracaj zdrów.

Tego samego wieczora z sakwojażem, dwoma tysiącami i tuzinem wierzycieli jawię się na dworcu kolejowym.

Na zapytanie znajomych gdzie jadę, odpowiadam krótko lecz trochę z góry:

— Do Paryża!

Znajomi spoglądają na mnie z ukosa, a we wzroku ich mogę najdokładniej wyczytać, że sądzą, iż blaguję, albo że rozbiłem jaką kasę. Mimo to dają mi sprawunki. Ten prosi o modny kapelusz dla żony, tamten o setkę cygar, inny o telegram z wieży Eiffel a znajdują się i tacy którzy domagają się wprost prezentu lub ot jakiej „bagatelki z wystawy“. Przyrzekam wszystko wszystkim, wsiadam do coupé, kłaniam się po raz ostatni z okna — sygnał, świst i jazda:

W wagonie zapalam hawańskie, wyciągam nogi pod same wieszadła, notes z kieszeni i układam plan kampanji paryskiej: pierwszego dnia zwidzenie wystawy i wieży Eiffel, drugiego audjencja u Carnota i interwiew z szachem, trzeciego bankiet dziennikarski i kilka wizyt u Zoli, Dumasa, Daudeta, czwartego sprawunki, piątego Folie Bergeres itd. Następnie rachuję jeszcze raz redakcyjne dwa tysiące i obliczam je na franki. Tak dojeżdżam do Wiednia.

Za Wiedniem napotykam całą masę rodaków jadących także na wystawę. Wszystkie przedziały pierwszej klasy przepelnione nimi.

— Wasz kraj musi być dosyć zamożny — odzywa się do mnie jakiś starszy jegomość cudzoziemiec — musicie mieć pyszne urodzaje, małe podatki, wiele leżącego kapitału, że pozwalacie sobie na podobne przyjemności?

— Co? powiadam — zamożny? U nas pieniędzy jak śmiecia, urodzaje jak nad Nilem, podatek, tak, jakby go nie było, góry kapitałów leżą w bankach angielskich, a każdy z nas żyje jak król z Iwetot.

— A więc jedziecie po to, by coprędzej roztrwonić tę monetę i wrócić na „blank“.

— Przepraszam — mówię — jedziemy po to także, by się czegoś nauczyć, przypatrzeć wynalazkom, postępowi wiedzy, poznać kraj, przemysł, nawiązać stosunki handlowe...

— Tak, nawiązać stosunki to prawdą, ale nie zawsze handlowe — podrywa mój oponent — zresztą co tu wiele mówić i zawracać ludziom głowę, na seło duryty, czytam gazety, wiem co się u was dzieje: bieda, nieurodzaje, posuchy, jesteście sankiuloci, a żyjecie jak Naboby.

Czuję, że zaczyna mię rozbierać, wybucham więc na dobre.

— Mój panie przyjemny, a panu co do nas, a zaśię, pilnuj pan swego nosa, ciesz się, że puszczamy między was nasze pieniądze, a mnie daj święty spokój ze swemi uwagami.

Do samego Paryża dąsamy się jeden na drugiego i nie zamieniamy ani słówka między sobą.

Wreszcie jestem w Paryżu!

Zajeżdżam do Grand hotelu, garsony tytułują mię ekscelencyą, zjadam objad *à la carte* i jadę na wystawę.

Wystawa większa jak poprzednie lwowska i niedawna czerniowiecka a wygląda jak kolosalny jarmark pod Jurem.

Spotykam tu na wstępie kilku Galicjaninów, wszyscy naturalnie uchodzą za hrabiów, wypijam z nimi flaszkę szampańskiego w restauracji rosyjskiej, bo tam najlepsze i dalej na wystawę.

Zwidzam kolejno naprzód pawilon główny ot tak, coś niby mniejszy jak ratusz, a trochę większy jak nasza nowa poczta, dalej pawilony kolonialny i de Pestelistes, obchodzę kolejno pałace: algierski, tunetański, kambodża, i de la Bolivia, przypatruję się Japończykom, rozmawiam z Syngalezami, w pałacu kochinchińskim rzucam kilka duserów Chinkom, wreszcie staję przy wodotrysku Goutau, jestem trochę zmęczony i myślę sobie: teraz pas, reszta na jutro, dziś tylko jeszcze zwidzę wieżę Eiffel., tej nie daruję.

Puszczam się więc windą z pierwszego piętra w górę — do klatki usiadła ze mną cała ćma Anglików, oni *are right* i ja *are right*, oni *yess* i ja *yess*, maszyna zaczyna fungować i *en avant...* pod obłoki! Wyjechawszy na sam „szpic“ wieży, zapisują się w księdze, wysyłam kilka telegramów do przyjaciół i oddycham raz i drugi pełną pierśią, widok przośliczny na tysiące mil dokoła, pałace jak naparstki, wieża notrdamska jak szpilka, — staję blisko przy samej barjerce, opieram się wygodnie i dumam: Boże, Boże co tam moi porabiają teraz we Lwowie ?

Nagle słyszę przez warstwy powietrza cieniuchny głos z dołu jak brzęk komara: Czy mnie oczy mylą, to ty Romku?

Składam kułaki w trąbkę i krzyczę z góry: To ja! Aby lepiej zobaczyć wychyłam się naprzód, pugilares z pieniędzmi wylatuje mi z kieszeni, przechyłam się by go schwytać, tracę równowagę, pocynam lecieć na łeb, na szyję na dół poczem budzę się.

Po przebudzeniu i przetarciu oczu niczego mi nie żal, ani Paryża, ani wystawy, ani nauk moralnych cudzoziemca, ani pałacu kambodży, ani Chine-, ale tych dwóch tysięcy w czerwonym pugilaresie, żal mi ich okropnie

Nie lubię takich snów.

Kongres §. §.

(Fragment z dziejów Olympu).

Zachęczone powodzeniem kongresów na ziemi, hypnotystów, dentystów, archeologów, antropologów i dermatologów, grono uczonych prawników, zamieszkujące od niepamiętnych czasów Olymp, powzięło szczęśliwą myśl zwołania ogólnego zjazdu prawników wszystkich krajów i wszystkich czasów. W skład komitetu, do którego weszli Justynian, Papinianus, Gajus, Aelianus, Flavianus i Pomponius, zaproszono po dłuższych debatach między innymi Labeona, Caeliusa młodszego, Gregorjana i Modestjana.

Miejsce zboru naznaczono na Olympie, a dzień wybrano według kalendarza Juliańskiego, jedenasty po feryach sądowych.

Wszystkie drogi lądowe, morskie, podziemne i nadpowietrzne, prowadzące na Olymp, zaczerniły się od prawniczego ludu, który dzierząc pod pa-

cha naprzemiany komentarze, nowelle, kodeksy i procedury, sporując się po drodze, spieszył na miejsce zebrania.

Rogatki Olympu otwierały się co chwila, celnicy z bezwzględnością przepuszczali przez komorę zwoje pergaminów, stopy aktów, beczki atramentu i paki rylców, podczas gdy usłużny w świątecznych szatach z barwnymi kokardami komitet dokazywał cudów uprzejmości i gościnności.

Jawiła się niepomierna moc pretorów, senatorów, konsulów, włoskich reprezentantów szkoły kryminalistycznej, palestrantów, mecenasów patentowanych i prywatnych prawników. Nie brakło nawet z pierwszej ery galicyjskiej, mandataryuszów i justycyaryuszów. Jedni mieli bogate togi, strojne birety i złote łańcuchy, drugim jurisprudence ciekawie wyglądała z dziur, któremi liczenie okryte były ich szaty. Zależało to od tego, czy interpretowali ustawę przedmiotowo, czy podmiotowo.

Po wyborze prezesa, na którego jednogłośnie uproszono Justynjana, ukonstytuowało się zgromadzenie całkowicie, wybierając wiceprezesami Ulpiana starszego i Caeciliusa młodszego. Dwóch sekretarzy dostarczyła palestra.

Sędziwy Justynjan zagaił otwarcie zjazdu mniej więcej w te słowa: „Cieszę się, że was widzę tu tak licznie zebranych, co prawda, wyglą-

dadacie raczej na kupców weneckich lub perską karawanę, jak na prawników, mimo to przekonuję się z radością, że ziarno, rzucone przezemnie przed wiekami, na żyzną padło glebę. Otwierając kongres, przechodzę do porządku dziennego. Gadjajcie — Słucham !“

Po podzieleniu się zwyczajem parlamentarnym na sekcyę i komisye, sekretarz, założywszy okulary, odczytał wnioski i elaboraty, przedłożone do rozwagi walnemu zgromadzeniu. Według zapiszków stenograficznych specjalnego reportera, brzmiały one następująco: 1) O potrzebie żyranta na wekslu i pożyczce na wieczne nieoddanie (*mutuum quotidiense*). 2) W sprawie posagu panien, których wstępni nie mają monety (*dos galiciana*). 3) Zmiana ustawy gminnej wobec zmian księżycyca (*metamorfosae epactae*), 4) O międzynarodowem prawie transportu kiełbasek (*transportus porci praeparati*). 5) Reforma prawa spadkowego ze względu na bogate niezamężne ciocie, chcące wyjść za mąż (*horribilis pecuniosa femina*) i 6) Jakie środki byłyby korektywą monopolu (*Heidsik champagne*), służącego itd... (*magnus hocus pocus poenalis*).

Następnie uchwalono regulamin i przyjęto zasadę, że referent mówi pięć, a każdy inny mowca trzy minuty. Uchwała ta zrobiła na sprawozdawcach dziennikarskich ogromnie dodatnie wrażenie.

Gdy się uciszono, zabrał głos w kwestyi formalnej człeczyna o tyle z wielkim nosem, o ile krótkimi nogami. Na zapytanie, czy jest mowcą czy referentem — odpowiedział, że jest byłym mandataryuszem, a gdy wygłosił jedno zdanie, w którym okazał sporą ilość fantazyi, nieznaczną ilość energii a nadzwyczaj małą inteligencyę, odebrano mu głos; poczem wystąpiła z kolei rzeczy niepoczesna figura nazwiskiem Claudius Pamfilius, podsędek z Apulii, i zainterpelował zgromadzenie, czy wiadomem mu jest co o doli bezpłatnych elewów fori, dyseypułów notarialae congregationis, i t. p. juczyh indywiduów kunsztu prawniczego. Ponieważ ogół zgromadzenia miał niekonieczne jasne wyobrażenie o tej odmianie generis humani, zabrał głos opasły pontifex, omawiając szeroko potrzebę pomnożenia synekur, a w szczególności zbawiennosć syndykatów. Zgromadzenie przyjęło tę enuncyacyę długimi, przeciągłemi oklaskami, poczem rozpoczęła się parlamentarna pogadanka, płynąca szerokiem korytem, wartkim sposobem, a w swobodnym tonie, na temat miłości w procesie cywilnym, wekslu, szwindlu i lichwie w formach egzegetycznej, praktycznej i systematycznej, w których to debatach kryminalistyczna szkoła włoska nie brała żadnego udziału, a kupka pretorów omawiała ciekawy wypadek kontry na dziewięć bez atout z ptyczką.

Dla odmiany, następnie dwóch prawników z czasów Hadryana palnęło sobie dysertację o restytucyi in integrum, jeden apoplektyczny korreferent przy odwodnem nabyciu (adjudicatio — Zuerkennung) dostał chwilowego zawrotu głowy, poczem zgromadzenie przez aklamację uchwaliło jednogłośnie, że ostateczny czas, wypełnić jeden z główniejszych punktów programu i udać się na bankiet.

Ze względu tylko na prawdę, zaznacza się okoliczność, że podczas bankietu nie mówiono ani o reskryptach, ani stypulacyach, ani mancytacji i numupacji a Gajus starszy wniósł toast na pomyslność prawników trans-tempeńskich, Publilius (ślepy na lewe oko) na rozwój celkowego systemu w kraju, a stary Justynian, zadowolony postępem juryspradencji i rozgrzany ampułkami Falernum, oświadczył gotowość ułożenia nowych Digestów i przyobiecał najsolenniej zwołać przyszły zjazd, tym razem ischyologów, w górnej części zachodniej strony Hadesu.

P a n i J a n o w a.

Przekupka lwowska.

Wzdychała ciężko noc całą — to się budziła, to zasypiała, a mary nocne ciągiem ją prześladowały i czarna rycząca krowa i „wielga rzyka“ i nieboszczyk mąż Jan, pianiusieńki więcej, jak kiedykolwiek za życia.

Rano, wstawszy jeszcze za „pociemka“, myślała długo, nad tymi snami: czarna rycząca krowa to nieszczęście, „wielga rzyka“ zmartwienie, a i nieboszczyk — to nie dobrze, ułożyła jednak sobie z tego terno; krowa 7, nieboszczyk 20, „wielga rzyka“ 65.

— Położę — mówiła — całe cztery szóstaki.

A trzeba jej było tego terna „na gwałt“, na targu szło coraz gorzej, komorne od półtora miesiąca nie płacone, termin taksy do magistratu „za miejsce“ się zbliżał, a jedyny syn Antek, chłopisko dwudziestoletnie, nie robił jej także pociechy.

Miała z nim dosyć kłopotu; nie można było powiedzieć, że jest całkiem głupi, ale w całym Kleparowie uchodził za „nadurowatego, opoja, nierobę i makabundę,” czasem tylko czasem, jak przypieklą bieda, szedł nosić cegły. Musiała więc sama harować na dwie gęby, rano w rynku przy straganie, popołudniu w ogrodzie.

Nie był to jeden z ogrodów Armidy, skrawek pola, na którym rodziły się liche buraki, kapusta, trochę fasoli i ogórków. Tem „hendłowała” mimo to nie „klapowało” nigdy. Piła więc na frasunek i kładła na loteryję zawsze tylko *secco terno*, a „nuż” — myślała — trafię... ta myśl ją podtrzymywała.

Wstawszy teraz, zrobiła porządek i czekała aż „hyrbata” naciągnie, potem poczęła rozbudzać Antka, chłopczyśko się czochrało i nie chciało wstawać, „weg” — mrucał — „weg” i wyciągał się jak długi na tapeczanie. Nie dała za wygranę, „dziugła” go raz i drugi i począł się podnosić.

Ubierać się nie potrzebował, bo spał w całej swojej garderobie, przetarł zaspane oczy, ziewnął na cały głos, podniósł ramiona w tył i stanął w całej okazałości na środku izby. Ładnie wyglądał: był brudny i obdarty jak nieboskie stworzenie, a kłął pod nosem, na czym świat stoi. Janowa starała się jedynaka udobruchać. Poczajno — mówiła — dziś środa, ciągnięcie na „bryńskiej,”

jak wygram terno, to ci kupię pantaliuny, surdut na tandycie i cizemki obkładanne.

Antek spojrział na matkę z niedowierzaniem nasłuchał się już dosyć o tem ternie i napatrzył, jak na to terno poszły w zastaw i jubka futrzana i uberok i kuleczyki z niebieskimi kamykami i korale... gwizdnął więc w dwa palce i legł znów na tapczan.

Ale matka nagliła, spieszno jej było na „kolekturę“ i na rynek. Wypili więc z garnuszka „hyrbate“ i poczęli się rychtować. Janowa wyciągnęła z sieni wózek, położyła nań stół i stołek, worek z kapustą, burakami, ogórkami i kosz z „karafurami“. Antek zaciągnął czapkę na ucha, pluwał w łapę i jazda do miasta.

Zajechali pod kolekturę w Andriollego kamienicy, stara wyciągnęła z za pazuchy supełek z szóstakami i poszła do środka, a Antek pociągnął pod ratusz na miejsce. Postawił stragan, porozkładał worki, skręcił papierusa i szlukował.

Przekupki poczęły go naciągać:

— A co Antek, „wypisałeś“ się już na majstra? a stara gdzie?... czy wygrała terno, czy już kupiła sklep i w którym miejscu?...

Antek się odcinał jak umiał, szafował epitetami i kręcił papirusy, a przekupki „ciągiem“ go gryzły.

Nadeszła wreszcie stara, doleciały ją z daleka te kpinki i poczęła się kanonada, stara miała gębę nie od parady, jak puściła pytel to warto było posłuchać:

— A klempy, wrzeszczała, a co wam moje dziecko zrobiło, a zasię, a wara, doczekam się jeszcze, że pójdziecie kasztanom wodę nosić. pod kościołem rękę wyciągać, patrzaj ich, małpy.

Przekupki znały jej słabą stronę i żyłkę do loterji, poczęły więc w to bić, a najbardziej Mateuszowa, baba rodem z piekła:

— A co wam się dziś śniło Janowa, dobre numery, a będzie terno, a za ile?

Janowa także nie darowała.

— A co komu do tego, krzyczała ty siaka taka, pilnuj swojej córki, takiej jak i ty.

Stawiam, to moje stawiam, zresztą święci garków nie lepią. Antoni, expres, wygrał terno, stróż od aptekarza dwa razy, rzeźniczka Paciątkowska na linckiej tamtego tygodnia, dwa tysiące, lepiej stawiać na loterji, jak takie, jak wasze życie prowadzić, ihi! aby cię zdusiło!

Cięta Mateuszowa nie zapomniała także językę w gębie, poczęła wymyślać aż włosy na głowie stawały.

Janowa sobie. Mateuszowa sobie.

Od słów przyszło do czynu, Janowa rzuciła burakiem, Mateuszowa kapustą, Janowa garnkiem,

Mateuszowa konewką... Naród począł się gapić, przekupki kleły i wrzeszczały, i flegmatyczny nawet Antek nie mógł dłużej wytrzymać. Zakocił rękawy, chwycił Mateuszową za kaftan i jął „haratać“, ale to „haratać na urząd“ — przyskoczyła i Janowa i rozpoczęła się zabawa. Mateuszowa wrzeszczała w niebogłosey, „ratujcie kto żyje“, „ratujcie, zabijają“. Janowa zachęcała syna „a bijże, a dobrze“. Ludzie obstąpili ich do koła, nadleciał strażnik miejski, a po chwili zjawił się i policjant. Rozczepiono bijących się, Janowa miała głowę rozwaloną konewką, Antek obdrapaną gębę, Mateuszowej ciekła krew z nosa. Całą czeredą pociągnęli na policję.

Policjant pędził ich przed sobą w ordynku, naprzód panią Mateuszową, zadowoloną, że może się popisać i zawodzącą w niebogłosey: „oj doloż moja! dolo!“ za nią panią Janową jęczącą: „wiedziałż ja, co ta czarna krowa znaczy, wiedziała“, obok niej stapał z rękami w kieszeni apatyczny Antek, a gawiedź uliczna piszczała i hukała i kupiła się dokoła nich coraz liczniej, coraz gwarniej, coraz tłumniej.

Imieniny szefa.

(Obrazek biurowy).

Pan Telesfor, sekretarz i zastępca naczelnika, przyszedłszy do biura rano o godzinie punktu dziewiątej, był zły, ale to zły jak sto diabłów.

Powód tej złości miał swoje źródło w tej prostej przyczynie, iż pan Kleofos zmarł, jak „kaczan“, a w biurze było zimno, jak w psiarni.

Zadzwoniwszy zwymyślał dwóch woźnych i trzech stróżów i kazał zaraz napalić, ale to napalić tak, żeby było ciepło, jak w bani. Jak powszechnie wiadomo gwałtowne takie urządzenie „bani“ sprowadza za sobą zwykle oprócz egzotycznego gorąca, w dodatku jeszcze zapach, zwany pospolicie „swądem.“ „Swądu“ tego przeważnie obawiają się ludzie posiadający w pierwszym rzędzie nosy, a w drugim głowy, ponieważ zaś p. Nagłówkowski, starszy oficjał, był posiadaczem

pierwszego i drugiego, a oprócz tego cierpiał z powodu więcej jak miernej tuszy na kongestję, więc nikogo nie zadziwiła ta okoliczność, iż znalazłszy się na nagle w sytuacji, grożącej apopleksją, krzyknął naprzód Chryste Panie! a następnie otworzył na oścież okno jedno, drugie i trzecie.

Rozumie się samo przez się, że pan Telesfor nie omieszkał pozamykać je tejże samej chwili.

Położenie było groźne!

Panu Telesforowi było za zimno, panu Joachimowi za gorąco, okrzyki Syberja i parnia krzyżowały się w gorącej atmosferze — finalna kryzys zbliżała się...

W między czasie weszli jeszcze do biura panowie Polikarp Dmuchalski, Kleofas Rubrowicz, Walenty Piórkowski i Zenobiusz Przygrzewalski, ale, że ci byli już to oficjałami trzeciej klasy, już to mniej jeszcze, jak oficjałami, więc mówiąc krótko, nie mieli tu nic „do gadania“.

Kto wie, do jakich rezultatów byłby doszedł spór ów o wysokość temperatury, gdyby losy w chwili najgroźniejszego punktu kulminacyjnego batalji, nie zesłały osobnika najniższego rangą hierarchiczną w całym biurze, bladego, szczupłego i chudego, ale to tak chudego, iż jedynie prawdopodobieństwo nieodzownych potrzeb ludzkich przemawiało za tem, iż używał od czasu do czasu nieznacznej ilości pokarmów.

Pioruny pana Telesfora skierowały się więc natychmiast w tę stronę.

— Panie Upiorkiewicz, cóż to za „nowa moda“? Pan dalej, dalej, będziesz przychodzić o dwunastej!

— Na Bernardynach, panie sekretarzu, dopiero co „wybiła mi“ dziewiąta...

— Pan zawsze masz jakieś wykręty, przerwałś mi, o czem to ja chciałem mówić, panie Upiorkiewicz?

— Nie wiem, panie sekretarzu.

— Pan nigdy nie wiesz, o czem się do pana mówi, pan jesteś literalnie *rein zu nichts*, pan kiedyś tylko, ot tak... — a machnięcie ręką ku oknu, przez które przezierał mroźny świat Boży, były symbolicznem dopełnieniem myśli wypowiadającej, iż pan Upiorkiewicz może wylecieć lekko z biura każdej chwili, jak ptaszek.

Nieborak Upiorkiewicz wobec zapewnienia, że jest *rein zu nichts*, pochylił głowę, machinalnie począł porządkować papiery, ale nie usiadł — następnie przetarł czoło raz i drugi, jakby sobie coś przypomniał wyciągnął się jak żuraw, wychylił długą szyję, a przysłoniwszy dłonią usta, szepnął przytłumionym głosem:

— Panowie zapomnieli...

Żadnej odpowiedzi!

Po chwili od jednego z biurek dało się słyszeć jakieś litościwe: o czem?

— Przecież dziś Jana, imieniny pana naczelnika!

— Bzdurstwa — burknął p. Telesfor — imieniny „starego“ aż w marcu...

— I owszem, przypominam sobie teraz dokładnie — wtrącił p. Joachim, zadowolony ze sposobności do oponowania, — Upiorkiewicz ma rację, dziś imieniny, w kalendarzu Jana „jak byk“.

— Ależ Janów jest kilkadziesiąt. Jana Chryzostoma, w Oleju, Nepomucena, Chrzciciela, Papięza...

— Właśnie tego, naczelnik jest w Oleju.

Partja podzieliły się na imieninową i contra. Pan Polikarp, młodzieniec nudzący się okropnie w biurze, ze względu na dystrakcję wziął gorąco stronę imieninową.

— Nie ma co mówić, dziś imieniny, tamtego roku przecież tańczyłem u naczelnika do białego dnia.

— Ależ tak, tak! — ośmielił się teraz bąknąć poparty Upiorkiewicz — w ten dzień tamtego roku urodził mi się Janek, jest metryka...

— No, jak tak, to się powinszuje — odparł przegłosowany p. Telesfor — to się powinszuje...

Cisza zaległa biuro.

Pan Telesfor myślał nad mową, pan Joachim sapał z gorąca, jak miech kowalski, pan Polikarp czyścił paznokietki, Rubrowicz z Dmuchał-

skim nakręcali zegarki. Przygrzewalski gładził cylinder — Upiórkiewicz zamaszyście jechał piórem po papierze.

Drzwi zaskrzypiały w trzecim pokoju i zatrzasnęły się raz drugi i trzeci, z lewej strony biórek dało się słyszeć przyciszone:

— Pst! *silentium* — Mikado!

Po chwili pan Telesfor dał znak i orszak cały z Upiórkiewiczem na szarym końcu ruszył do naczelnika.

Ugrupowano się w półkole, p. Telesfor wystąpił naprzód pokręcił węża i chrząknął... Była to chwila uroczysta — słyszeć było sere bicie! Mowa trwała dłużej, było tam w niej o chwilach w życiu ludzkim, o gwiazdach błyszczących, o Matuzalowych latach, o dostojenstwach wysokich, sercu ojcowskiem i ziemskim szczęściu.

— Panowie — odrzekł dobry naczelnik, zapalając zwolna cygaro. — Panowie!... Bardzo wam dziękuję za waszą pamięć, ale niestety dziś nie są moje imieniny!

— Dobrze chęci, panie naczelniku! Mówiłem panom to samo, ale Upiorkiewicz nas zbałamucił, zawsze głupstwo palnie.

Naczelnik pociągnął kłęb dymu i dobrotliwie pociągnął za koniec nosa Upiorkiewicza — figle panu w głowie, figle, panie Upiorkiewicz! — rzekł z miłym uśmiechem.

Upiorkiewiczowi rzeczywiście przeleciały przez głowę w tej chwili rozmaite figle w formie niezapłaconego komornego, chorej żony i pięciu małych, w domu piszczących figielków...

Odwrót do biura nastąpił w tym samym ordyńku z Upiorkiewiczem na szarym końcu.

Pan Polikarp zanosił się od śmiechu, nazywając całą historję pysznym kawałem.

Pan Telesfor trzął się ze złości i pokazywał Upiorkiewiczowi palcem przez okno latające ptaszki.

Upiorkiewicz przykucnął nad biurkiem — z cicha tylko szeptał:

— Janek mi się urodził w ten dzień, tamtego roku, pamiętam jak dziś, Janek...

„O k a z y a.“

Nie przesądzam kochany przyjacielu twojej wytrzymałości, wystarcza mi ta pewność, że nie masz ani kataru żołądkowego, ani afektacyi sercowej, ani inklinacyi do migreny. Przypuszczam, że unikasz wesołych towarzystw a tembardziej nie jesteś birbantem i opojem. Twierdzę jednak stanowczo, że wręcz niemożliwem jest, by przynajmniej raz w życiu nie zdarzyła ci się „okazyja.“

Nie mam tu na myśli okazji takiej, jaką miewali nasi ojcowie pod Parkanami lub Podhajcami, ani „okazyji“, którą jechałeś ze szkół na wakacye, ale natomiast, sądzę, że może nią być każda uroczystość familijna, jak imieniny żony, chrzciny pierworodnego, nowy awans lub wreszcie, przyjazd dawno niewidzianego „od serca“ przyjaciela. Przyjaciel ten ma z tobą wiele do pomówienia i naznacza ci *rendez vous* w jakim po-

rządny handelku, ot powiada przegryziemy co i pogadamy.

Wypraszasz się i wymawiasz, że żona czeka z obiadem, że to, że tamto, a wreszcie chcąc nie chcąc (?), posyłasz expressa z biletem do żony, że masz ważne interesa bankowe do załatwienia a sam stawiasz się punktualnie na stanowisku. Po jakiej takiej zakasce pyta się przyjaciel czego się napijesz; ponieważ jesteś wstrzemięzliwym jak Wilhelm pruski, a masz tyle wyobrażenia o wartości i gatunku win, co Francuz o geografii więc odpowiadasz naprzód, że nie, a następnie, że pić będziesz wszystko, byle nie wodę. Że zaś przyjaciel twój także nie należy do rzędu stworzeń lubujących się w tym napoju, więc „obstalujemy” austryaka, którego na poczekaniu pijecie po szklance.

Na zapytanie, jak go znajdujesz, krzywisz się kręcisz nosem i konstatujesz, że nie jesteś chemikiem, nie zdajesz sobie sprawy, czy składa się z enanthetheru, gумы i gliceryny, czy też z alkoholu i kwasu winnego, ale zdaje ci się, że nie złe. W antrakcie zapalacie papierosy i zaczynasz rozprawiać o wyborach, kanikale, cyrku i menażeryi.

Przyjaciel korzystając z twego ferworu, dolewa ci z kolei piątą szklankę, zasłaniasz więc ją ręką i powiadasz: powoli nie tak prędko — mimo to wychylasz tę i następną i przekonujesz się,

że z tem ci nieźle. Poczynacie sobie obydwaj opowiadać dykteryjki i anegdotki, bawicie się znakomicie i dusicie od śmiechu a nie spostrzegasz, jak przyjaciel mrugnął na chłopca i jak nowa butelka pokazuje się na stole.

— No, już co to to nie — powiadasz, przyjaciel bierze cię wtedy za rękę i kilku słowami uspokaja: *so jung kommen wir nicht zusammen* — albo: kropelkę jedną, jak mię kochasz. Dla towarzystwa dał się cygan powiesić, dla przyjaźni więc pijesz kropelkę lecz jednocześnie robisz minę seryo i oświadczasz, że więcej ani krzty *pas valat*. bo żona czeka.

— Gadanie, opowiadania — mówi przyjaciel — powiesz, żeś był ze mną, a jak chcesz, to ci dam karteczkę, bo widzę, że jesteś pod pantoflem. Na takie *dictum* czerwienisz się po uszy, pokręcasz węża dla fantazyi i pijesz dalej. Ręka niewidzialna tymczasem ściąga „trupcy“ a kładzie nowe butelki, których zawartość pod wpływem sytuacji znika w oka mgnieniu. W krótkim czasie przychodzi między wami do tajemniczych zwierzeń, przyjaciel ci się przyznaje, że się kocha na zabój od roku — ty zaś mu opowiadasz o swoich kłopotach familijnych i troskach codziennego życia. Z kolei rzeczy przypominacie sobie szkolne czasy, figle studenckie, wspólne ciekawe awantury i przy-

chodzicie do przekonania, że tak się kochacie, iż żyć bez siebie na przyszłość nie potraficie.

Mimo to wyciągasz zegarek i oświadczasz, że w tej chwili odchodzisz, przyjaciel ani słyszeć o tem nie chce, przyrzekając ci, że zaraz razem obaj wyjdziecie, tymczasem zaś przywołuje gospodarza i prosi o buteleczkę czegoś „*extra*”; niech kosztuje, mówi, co chce a niech będzie dobre. Gospodarz robi na to tajemniczą minę i pod wielkim sekretem przyznaje się, że ma jeszcze jedną jedyną flaszczykę, której by nie dał rodzonemu ojcu, ale dla was gotów zrobić ustępstwo. Po chwili wlewają nektar w zielone kieliszki, gospodarz wacha, ty wachasz, przyjaciel wacha, emokacie, kosztujecie i konstatujecie bukiet.

Poczyna ci być z początku trochę wesoło, później jeszcze więcej, aż wreszcie ni z tego ni z owego zaczynasz recytować baladę Schillera, unosić się nad Szekspirem i gwizdać marsza z Barona cygańskiego.

Przyjaciel nie pozostaje także w tyle i na przemian rozwodzi się o młodości Ramzesa II. ósmnastego króla Egiptu, o stosunku wieży Eiffel do kwestyi serbskiej, przyczem okazuje niekłamana chęć rozbicia flaszką głowy spokojnie pijącemu piwo sąsiadowi.

Dla konsekwencyi zastanawiacie się następnie obydwaj bez różnicy zdań nad wyższością

dusz, wygodą starych pantofli, znikomością mar-
ności świata i podłością rozmaitych kolorów.

Następnie przyjaciel twój przysięga, że za
pół godziny się zastrzeli, a potem powiesi, pod-
czas gdy ty uczuwasz, że wszystko z tobą wiruje
i wpadasz w głęboką apatyę — przyczem zdaje
ci się, jakobyś w wraz z okrętem zatopił się
w morzu, a liczne fale przepływały nad tobą....

Następnie budzisz się... w domu i zaklinasz
na czem świat stoi przed żoną, że na przyszłość
będziesz unikać wszelkich przyjaciół i wszelkiej
„okazyi“.

W XX. stuleciu.

(Idylla przyszłości).

— Nie jestem szczęśliwą i czuję, że nigdy nią nie będę...

— Powtarzam pani raz jeszcze że zupełne wyrzeczenie się szczęścia na ziemi jest rodzajem samobójstwa.

— Ach, ludzisz się pan zawsze jakąś nadzieją, która była, jest i będzie najdzikszą despotką wszystkich krajów i wszystkich czasów.

— Czy pani nigdy nie masz nadziei i planów — na przyszłość?

— Plany i nadzieje są tylko bujną wyobraźnią, ta zaś jest zarazem tak czynnością duszy, jak i umysłu, w tej mierze rozum mi wystarcza.

— A serce?

— Serce uważam jako organ służący do odtleniania krwi, a pana jako najnudniejszą istotę naszej planety (ziewa i zapala papierosa). Czy czy-

tałeś pan fonogram ostatniego przemówienia generalnego mowcy partji niezawisłych?

— Nie miałem jeszcze czasu, wróciłem bowiem przed godziną pociągiem balonowym z okolicy, gdzieśmy obchodzili jubileusz trzydziestoletniej rocznicy pierwszego bankructwa jednego z moich dobrych znajomych, zdaje mi się, że spotkałem panią po drodze w dorożce powietrznej?

— Być może, gdyż wyjeżdżałam na rozprawę do sądu karnego, gdzie jedna z moich koleżanek znakomicie broniła oskarżoną o podwójne dzieciobójstwo. Zabawna historia, choć nie brak jej trochę sensacji, ale... ale... odkręć pan trzeci wentyl na lewo i wypuść trochę kwasorodu, powietrze w pokoju za mało ma tlenu, a jednocześnie zasunij pan telefon operowy — Ada śpiewa dziś niemożliwie, wieczorem za to, wybieram się do teatru Rozmaitości.

— Czy dają nową jaką sztukę?

— Starą jak świat, z tamtego jeszcze wieku komedję Abrahamowicza, rzecz oklepana ale zawsze wyborna, lubię echa z zamarłej przeszłości. Znalazłam dziś w bibliotece kilka numerów *Bluszczu* z r. 1888, patrz pan na żurnal ówczesnej mody, jakie to wszystko ostentacyjne, imponujące, a zarazem pojedyncze... co panu takiego, drżysz pan cały?

— Jestem trochę cierpiący, od kilku dni nie morfinowałem się ani elektryzowałem, zasypiam tylko hipnotyzowany, a teraz czuję dreszcz...

— Pociśnij pan dzwonek elektryczny, nowy mój automat systemu Pappa, przyrządzi nam kokainowego ponczu.

— Dziękuję pani, przed chwilą w bufecie pałacu administracji wypilem parę kieliszków bromowego likieru.

— Byłeś pan zatem w pałacu administracji krajowej?

■ — Tak pani, podałem bowiem o szambelaństwo.

— Jakie są potrzebne dokumenta?

— Dwunastu konsyliarzy po kądzieli i mieczu, do tytułu hrabiowskiego braknie mi w drzewie genealogicznem tylko trzech Stańczyków...

— Czy nie zamyślasz się pan żenić, że się ubiegasz tak o tytuły?

— Być może, przed piętnastu minutami bowiem zakochałem się po uszy.

— Zakochałeś się? To zabawne...!

— Tak pani patrząc na panią przyszedłem do przekonania, że trzeba kochać koniecznie, choćby miłość ta miała przynieść nawet nieszczęście.

— Jesteś pan jak na nasze czasy zanadto platoniecznym, i przypominasz z poematu Schillera poetę, który był wtedy w niebie, jak inni otrzymywali na ziemi dobra doczesne.

— I owszem, spodziewam się, że dostałem w udziale kobietę.

— Kobieta tegoczesna nie może być niczym udziałem, gdyż jest samoistną.

— Stuart Mill twierdzi, że kobieta wtedy dopiero nabiera wartości, gdy stanie obok mężczyzny.

— Przykłady codziennego życia uczą inaczej.

— Niech i tak będzie, każde pokrzywdzone prawo musi mieć swoją sprawiedliwość. zatem mężczyzna staje obok kobiety i prosi ją o jej rękę, dajmy na to, że tym mężczyzną jestem ja, tą kobietą jesteś Pani...

— Więc to formalne oświadczyły, poczekaj pan chwilkę, popatrzę w notatkę, czy komu już nie przyobiecałam mej ręki... nie!.. masz ją pan..

— Sprawa zatem skończona, jutro o jedenastej u mego notaryusza podpisujemy kontrakt.

— Dobrze, lecz pamiętaj pan, że za „Breach of promise“ do trzech dni masz pan wytoczoną skargę.

— Wiem o tem i dlatego jako główny punkt kontraktu umieszczam zastrzeżenie, że koszta ponosimy po połowie.

— Żegnam panią!

— Do widzenia jutro.

Spis rzeczy.

	Str.
Typy karnawałowe:	
Królowa balu	3
Mama i napa	10
Pączek	16
Dobry numer	21
Z ery pokarnawałowej:	
Z pamiętników śledzia	29
W marcu (szkie obyczajowo-historyczny z dziejów Lwowa)	35
Influenza	41
Wiosna	46
Róże	51
Wyścigi	53
L a t e m :	
Do kąpiel	61
W kąpielach	66
Minister świeżego powietrza	73
Na wsi	77
Z letniej noży	82

Jesienia:

Z wakacyj	91
Five o'clock tea	96
Na wystawie obrazów	101

Z galeryi gogów:

Gogo obywatel	111
Ruski gogo	118
Gogo żydowski	123

Z romantyki:

Para oczu (urywek z pamiętnika)	131
Bohater	135
Konkury przyjaciela	140
Słoń	148
Druga młodość	157
Tęsknota	161
Aniołek	165
Numer 5 ¹ / ₂	169
Na rozdrożu	175

T y p y:

Stary kawaler	183
Lwowianka	203
Lwowianin	198
Mecenas	203
Karjerowiec	209
Stara panna	215
Lord (studyum obyczajowe)	220
Fagas (szkie z czasów szkolnych)	227
Pionier idei	233

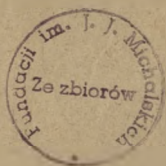
Towarzyskie enoty:

Grzeczność	241
Dobry humor	247
Uczynność	252
Wielo-mało-mowność	257

Rozmaitości:

Zasady mego kuzyna	260
Na wystawę paryzką	273
Kongres §. §.	278
Pani Janowa (przekupka lwowska)	283
Imieniny szefa (obrazek biurowy)	288
Okazya	294
W XX. stuleciu	299

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



13

F
3401